tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 40 (1343)
29.09-5.10.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

DR HAB. MACIEJ NYKA
ZAŚMIECONY KOSMOS

ALKOHOL, PIJAŃSTWO I POLITYKA

PROF. TOMASZ SZLENDAK
TINDER OKIEM SOCJOLOGA

KATARZYNA FIGURA
CHWALILI BARDZIEJ CIAŁO NIŻ DUSZĘ

ZATRZYMAĆ LUDOBÓJSTWO W PALESTYNIE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115
40 >
9 771509 311508

ebrasa.pl e1f36935af

Międzynarodowy Festiwal Filmowy JEONJU Film Otwarcia

Międzynarodowy Festiwal Filmów Niezależnych BUENOS AIRES

Międzynarodowy Festiwal Filmowy HONGKONG

Festiwal Filmowy LUKSEMBURG

Festiwal Filmowy STAMBUŁ

ABSURDALNIE SATYRYCZNA ROZPRAWA O KONDYCJI ŚWIATA

Kontinental '25

reżyseria RADU JUDE

W KINACH OD 3 PAŹDZIERNIKA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl e1f36635af

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Jałowa powtórka z przeszłości

Po wyborach prezydenckich zniknął. I można by to zrozumieć i jakoś wytłumaczyć. Choć jako prezydent Warszawy miał i ma wiele obowiązków. Liderów politycznych, tak jak bokserów, poznajemy po tym, jak szybko wstają po ciosie. Czegoś takiego jak emigracja wewnętrzna nie ma w wielkiej polityce. Rafał Trzaskowski nie może zatem liczyć na specjalne traktowanie. Gdy po trzech miesiącach wrócił do aktywności, oczywiste było pytanie, jaki ma pomysł na przyszłość. Warszawa ma bowiem zbyt wiele problemów, by dokładać do nich hamletyzującego prezydenta z ekipą, w której mało jest orlic i orłów. Ten wóz zacznie buksować albo się wywróci. Coś więc trzeba będzie z tym zrobić. I to szybko, by uprzedzić tych, którzy mają chrapkę na władzę w mieście. Ludzi znanych z przeszłości jako megakombinatorzy i oszuści. Trzeba ich zatrzymać. Ale nie wybierając taką drogę jak w czasie otwierania Campus Academy. Zdumiewający był widok sztabu Trzaskowskiego z kampanii prezydenckiej. Z Barbarą Nowacką i Sławomirem Nitrasem na czele. Zmieniono nazwę i lokalizację, ale obsada została. Najbliżsi doradcy, którzy tak błyskotliwie i skutecznie doprowadzili do porażki w wyborach, których nie można było przegrać, wrócili. Jakby nic się nie stało. Ubrali się w nowe stylówki. Poudawali 20-latków. Innych zmian nie zauważyłem. Powtórzyli te same teksty, które wygłaszają od lat. Nie czują, że to, co robią, jest jałowe. Są jak orkiestra na Titanicu. Tyle że ona nie miała wyboru, a Polacy mają. I nie muszą ich słuchać ani oglądać. Także wielu z tych, którzy głosowali na Trzaskowskiego. Z takimi doradcami i z taką koncepcją można jechać na występy do Ciechocinka. A nie szykować się na wybory.

Smutno było słuchać, gdy w Międzyzdrojach Trzaskowski mówił młodzieży, że jest taka piękna piosenka „Róbmy swoje" i my właśnie robimy swoje. To widać. Zero wniosków z przegranej kampanii. Taka żałosna próba powtórki z przeszłości to pozbawianie zwolenników nadziei, że jednak może być mądrzej.

Skąd ma się brać u wyborców Trzaskowskiego wiara w sens aktywności i walki, jeśli liderzy są ciapowaci i nijacy? Oczekiwania wobec polityków, którzy mają ambicje przewodzenia społeczeństwu, nie są zbyt wygórowane. Polacy chcą od nich czegoś więcej niż umiejętności czytania sondaży i pływania z prądem ich wyników. Nie wybaczają wolt sprzecznych z wyznawanymi przez polityka poglądami. Jak to było w przegranej kampanii.

BĄKOWSKI

eprasa.pl e1f36635af

W NUMERZE

ZAGRANICA
8 **Zatrzymać ludobójstwo w Palestynie**
To nie konflikt, lecz okupacja
28 **Wybory w cieniu amunicyjnych sukcesów**
Czesi a wsparcie dla Ukrainy
30 **Uniwersytety na sprzedaż**
Korespondencja z Francji
34 **Bułgarska fabryka wakacji**
Korespondencja z Bułgarii
38 **Panda podbija świat**
Soft power Chin
60 **Wyspa króla Juliana**
Nie tylko lemury i baobaby

KRAJ
14 **Ziemia obiecana 2.0**
Dwóch sprytnych Jankesów od gazu
17 **Rzeczpospolita pijacka**
W deklaracjach alkohol to zło, ale…
24 **Lasy Partyjne**
Dojna zmiana w Lasach Państwowych

ZDROWIE
20 **Czy hałas nas zabija?**
– rozmowa z dr Dorotą Kalką

OPINIE
37 **Maria Janssen**
Polacy rodacy

SPORT
42 **Upadki i upodlenia**
Piłkarskie zakręty losu

NAUKA
44 **Dlaczego śmiecimy w kosmosie?**
– rozmowa z dr. hab. Maciejem Nyką

KULTURA
48 **Chwalili bardziej ciało niż duszę**
– rozmowa z Katarzyną Figurą
51 **Qulturalia**
52 **Historia zapisana w tkaninach**
Misja Eleonory Plutyńskiej
66 **Władysław Szyszko. W cudzysłowie**

PSYCHOLOGIA
56 **Gody w rytmie softu**
Kto korzysta z apek randkowych

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Jałowa powtórka z przeszłości
23 **Jan Widacki**
Gaudeamus igitur
27 **Andrzej Romanowski**
Wędrując przez Polskę
33 **Roman Kurkiewicz**
Jestem terrorystą!
Mam na to dekret Trumpa
47 **Tomasz Jastrun**
Losy ludzkie
59 **Wojciech Kuczok**
Jak ominąć korki na dachu

44
NAUKA

DLACZEGO ŚMIECIMY W KOSMOSIE?
– rozmowa z dr. hab. Maciejem Nyką

48
KULTURA

CHWALILI BARDZIEJ CIAŁO NIŻ DUSZĘ
– rozmowa z Katarzyną Figurą

60
ZAGRANICA

WYSPA KRÓLA JULIANA
Nie tylko lemury i baobaby

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. BASHAR TALEB/AFP/EASTNEWS

eprasa.pl e1f36635af

Zbigniew Derdziuk – tajemniczy prezes ZUS

W ZUS są od lat niedobory kadrowe. Zadań nieustannie przybywa, także tych niecovidowych. Ciągła biegunka legislacyjna. E-zwolnienia, e-składka, abolicje, miliardy zawiadomień do płatników, trzynastki dla emerytów, wyrównania dla kolejnych grup wymyślanych przez rząd, emerytury dla matek czworga dzieci. Myślicie, że to się samo robi?

Komputery są coraz starsze, systemy przeciążone na maksa. Patrzysz w kręcące się kółeczko i szlag cię trafia, bo robota się nie posuwa. A jeszcze słyszysz zachwyty, jak to automaty zasiłki wypłacają. Powiem krótko: automaty dodały pracownikom roboty w najgorszym okresie – można by powieść o tym napisać. A góra wierzy w takie historie i myśli, że ludzie już nie są potrzebni. Jednak jest też druga strona medalu: trzeba zauważyć, że całkiem sporo rzeczy robi się niepotrzebnie. Na przykład dzwoni pani z ZUS, że trzeba napisać oświadczenie, że pracownik jest nadal zatrudniony. Pada odpowiedź, że przecież nie mają wyrejestrowania, więc chyba oczywiste, że jest zatrudniony. Ale ona potrzebuje mieć to na piśmie.

Albo urząd skarbowy: proszę napisać, czym się zajmuje firma. Wiadomo, że w CEIDG jest zgłoszenie PKD, ale oni potrzebują dokładniej i na piśmie. I tak w koło. Rozumiem, że nie zawsze to wina urzędników, ale faktem jest, że często płaci się ludziom za kompletnie zbędną biurokrację, a ktoś na tę budżetówkę musi się składać. *Michał Czarnowski*

•

Od lat podejmowane są próby zlikwidowania ZUS, przecież dysponuje olbrzymimi pieniędzmi Polaków. Jak dotąd, mimo wielu prób, żadnemu rządowi to się nie udało, na szczęście. Oto mamy kolejną próbę, bo jak z jednej strony się nie udało, to z drugiej trzeba go kopnąć, prawda? Kolega ze Stanów chwalił mi się, że u nich pracuje się do śmierci. Powiedziałam: „Tak, do śmierci lub do czasu, kiedy zabraknie ci sił lub się rozchorujesz. I co wtedy?". „Opowiadasz – rzekł. – Wszyscy tak pracujemy i jakoś mamy siłę". I co? Niedługo po tej rozmowie wysiadł mu kręgosłup. Ot tak, z dnia na dzień, podobno bez wyraźnej przyczyny. Z trudem wstawał, ledwo chodził, w pełnym gorsecie i z wielkim bólem. Na wiele miesięcy został bez źródła dochodu, więc również bez pomocy lekarskiej. Co z nim teraz się dzieje? Nie wiem. Przestał się odzywać. Nie mam pojęcia, czy ma za co żyć, czy nie stracił domu. *Małgorzata Markiewicz*

Do jakiego narodu Polacy są najbardziej podobni kulturowo?

PYTANIE TYGODNIA: Do jakiego narodu Polacy są najbardziej podobni kulturowo?

Po pierwsze, naród – warto pamiętać, że możemy o nim mówić dopiero od XIX w. Wtedy powstaje idea, że każdy naród powinien tworzyć swoje państwo, chociaż Polacy różnią się, także kulturowo, między sobą, a w Polsce mieszkają przedstawiciele i przedstawicielki innych narodów i grup etnicznych. Po drugie, podobieństwo kulturowe. Współczesne teorie antropologiczne mówią jasno: nigdy nie byliśmy bardziej zunifikowani, a zarazem bardziej podzieleni kulturowo. Cały świat zna popularny napój gazowany, a w Polsce do dziś nie mamy zgody, czy sałatka jarzynowa ma być z jajkiem, czy bez. Choć zauważamy różnice, podobieństw szukamy dziś w poprzek tradycyjnych kategorii: mogą nas łączyć sposoby spędzania wolnego czasu, miłość do kiszonek, potrzeba bezpieczeństwa i sny o wolności.

Miranda Zarzycka, antropolożka, Warszawskie Obserwatorium Kultury

ZDJĘCIE TYGODNIA

Andrzej Bargiel jako pierwszy na świecie bez wspomagania tlenem zjechał na nartach z wierzchołka Mount Everestu do wysokości bazy. 16 godzin zajęła mu wspinaczka, na szczycie najwyższej góry Ziemi spędził zaledwie kilka minut. Więcej w felietonie na s. 59.

FOT. BARTEK PAWLIKOWSKI, BARTEK BARGIEL/ MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e1f36635af

872,6 tys. emerytów w Polsce ciągle pracuje.

•

Średnia wieku Polki rodzącej pierwsze dziecko wynosi dziś **29 lat**.

•

Prawie 444 tys. emerytów ma emeryturę mniejszą od najniższej, czyli **1878 zł brutto**, ze względu na krótszy staż pracy.

•

Zaufanie do Kościoła katolickiego spadło z 58% we wrześniu 2016 r. do 35,1% we wrześniu 2025 r. A nieufność wzrosła z 24,2% do 47,1% (sondaż IBRiS dla PAP).

•

Komisja badająca działalność TVP i Polskiego Radia w latach 2015-2023 w przygotowanym raporcie opisała metody i mechanizmy psychologiczne niszczenia przeciwników. W składzie komisji byli m.in. **Klementyna Suchanow, Andrzej Krajewski, prof. Tomasz Grzyb, dr Mikołaj Małecki, Magdalena Dropek, Katarzyna Antoniak i Dobrosław Rola**.

•

Decyzją sądu Zbigniew Ziobro 29 września ma zostać przymusowo doprowadzony na posiedzenie komisji ds. Pegasusa.

•

W roku akademickim 2024/2025 studiowało w Polsce **105 tys. studentów z zagranicy** (8,3% wszystkich studentów). Prawie połowa to Ukraińcy.

•

Od 1 stycznia 2026 r. minimalne wynagrodzenie za pracę wyniesie **4806 zł** brutto, a stawka godzinowa **31,40 zł**.

•

Film Agnieszki Holland „Franz Kafka" będzie reprezentował Polskę w walce o tegorocznego Oscara.

•

Barbara Elmanowska została laureatką **Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza** za powieść „Woliera" (wydawnictwo j).

•

To może być największa afera deweloperska w Polsce. Firma HREIT SA od 8 tys. osób wyłudziła pieniądze na mieszkania. Prezes spółki Michał Sapota został aresztowany na trzy miesiące.

•

Ewa Pajor, piłkarka reprezentacji Polski i FC Barcelony, otrzymała Nagrodę im. Gerda Müllera dla najskuteczniejszej piłkarki Europy.

•

Organizacja Dzikie Karpaty poinformowała o wycięciu w Nadleśnictwie Stuposiany, w otulinie Bieszczadzkiego Parku Narodowego, jodły, której wiek oceniono na 337 lat.

•

Największy areał winnic na świecie mają: Hiszpania (930 tys. ha), Francja (783 tys. ha) i Chiny (753 tys. ha).

•

W Polsce ponad **1,3 mln domów ogrzewa się tzw. kopciuchami**. A wszystkich domów ogrzewających się głównie węglem jest 3,3 mln.

•

160 mln zł dywidendy za 2024 r. otrzyma spółka Ringier Axel Springer, wydawca m.in. Onetu, „Faktu" i „Newsweeka Polska" (**„Press"**).

•

W 2024 r. wypłacano miesięcznie ponad 516 tys. rent z tytułu niezdolności do pracy, w tym 128,3 tys. rent wypadkowych.

•

W 2024 r. w uprawie ekologicznej w Polsce znajdowało się 691 tys. ha (prawie 5%). Najwięcej w Zachodniopomorskiem (138 tys. ha) i tam obszar takich upraw zwiększa się najszybciej.

PRZEBŁYSKI

Wiceprezydent Wiśnicki i przetargi

Jacek Wiśnicki. Nazwisko, które niewiele mówi nawet mieszkańcom stolicy. Choć to od 2 stycznia wiceprezydent Warszawy ds. społecznych, komunikacji społecznej i współpracy z organizacjami pozarządowymi. W rubryce sprawy załatwione nie ma za wiele wpisów. Z posady zrezygnował, gdy Trzaskowski wycofał swoje stanowisko w kwestii wprowadzenia nocnej prohibicji. Ale czy teraz, gdy Trzaskowskiemu, znanemu ze stałości ocen, znowu się odmieniło, Wiśnicki wróci? Oby nie. Gdy mówił, że nie może być dalej twarzą polityki społecznej, to chyba żartował. Marny był. Męczyło go nawet czytanie skarg, a co dopiero odpisywanie petentom. Może nie wie, bidula, że to obowiązek urzędnika, żadna łaska jaśnie pana. Mamy z Wiśnickim takie doświadczenia po przetargu na wydawanie Warszawskiego Miesięcznika Seniorów „Pokolenia". Zobaczyliśmy jeden z tych przetargów tak sprytnie ustawionych, by wygrała właściwa oferta. Wszystko pod bokiem Wiśnickiego. A skargami na urząd miasta można wytapetować boisko.

W Zakopanem siostrzyczki budują, gdzie chcą

Sprytu biznesowego karmelitankom bosym z Zakopanego mogą pozazdrościć najcwańsi deweloperzy. A obłudą siostrzyczki przebijają nawet weteranów partii Kaczyńskiego. Robią dokładnie co innego, niż mówią. Głoszą, że ich życie to ubóstwo i rezygnacja z dóbr materialnych. Modlitwa i izolacja. Zakaz rozmów z ludźmi spoza zakonu. To wersja dla garstki górali. Bo kto uwierzy, że bez wielu intryg i zabiegów można szykować wyprowadzkę klasztoru z centrum Zakopanego i budowę nowego we wsi Stróża (powiat myślenicki)?

A gdzie tu ekstrabiznes? Stary klasztor ma być pensjonatem. A na miejscu ogrodu siostrzyczki chcą postawić trzy budynki wielofunkcyjne z garażami podziemnymi. Potrzebują tylko warunków zabudowy. Rada miejska Zakopanego pewnie im nie odmówi.

Rolnik z Podlasia: chcemy własnego banku

Od lat domagamy się powołania polskiego banku dla polskich rolników. Bo to paranoja, że ta ogromna branża jest skazana na korzystanie z usług francuskiego BNP Paribas czy hiszpańskiego Santandera (sprzedanego austriackiej grupie Erste). Do tego Crédit Agricole i inni. Mają się świetnie. Zarabiają na rolnikach, dojąc ich za każdą usługę.

Coraz więcej rolników protestuje i domaga się powołania Państwowego Banku Rolnego. Banku dostosowanego do cyklu pracy na roli, a nie schematów kredytów konsumpcyjnych. Jan Ogił ze Stowarzyszenia Dla Powiatu uważa, że taki bank „mógłby wpłynąć na stabilizację cen i większą kontrolę nad rynkiem".

Taki bank oczywiście powstanie. Może lewica weźmie to na sztandary, skoro PSL nie chce?

FOT. FACEBOOK (2), TVP3 BIAŁYSTOK

eprasa.pl e1f36635af

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy warto przywrócić egzaminy wstępne na studia?

SEBASTIAN GONCERZ,
przewodniczący Porozumienia Rezydentów

Centralny system rekrutacji w formie jednolitego egzaminu, mimo wad, jest bardziej sprawiedliwy. Trudniej w nim wykorzystać znajomości, co może się zdarzać, gdy egzaminy przygotowuje uczelnia i ktoś może zdobyć pytania w nieuczciwy sposób. System ten jest również częściowo korygowalny. Uważam też, że jeśli mamy rekrutację centralną, to poza przyjęciem na studia powinna one równie mocno weryfikować wiedzę, zależnie od kierunku. W przypadku studiów medycznych problem polega na tym, że powstaje wiele nowych kierunków i zdarza się, że na medycynę można się dostać z wynikiem zaledwie 15% z matury rozszerzonej – pod warunkiem że kandydat zapłaci wysokie czesne. Jest to poważna nieprawidłowość. Wynika ona jednak nie z wad samej matury czy centralnego systemu egzaminowania, lecz z faktu, że dopuszczono do tworzenia wielu kierunków, często wątpliwej jakości, w tym licznych płatnych, które obniżają próg przyjęć, bo można się na nie dostać praktycznie z dowolnym wynikiem, jeśli tylko zapłaci się odpowiednio dużo.

PROF. MIKOŁAJ JASIŃSKI,
Wydział Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego

Decyzja o przywróceniu egzaminów wstępnych na studia budzi wiele kontrowersji. Z jednej strony, mogłyby one poprawić jakość selekcji kandydatów, która obecnie jest niewystarczająca, z drugiej – ich powszechne wprowadzenie zrujnowałoby funkcjonujący system rekrutacji. Ogromna liczba kierunków i częste zmiany wyboru dokonywane przez maturzystów sprawiłyby, że egzaminy odbywałyby się w tym samym czasie, wchodziłyby ze sobą w kolizję i w praktyce okazałyby się niewykonalne. Istnieją jednak rozwiązania pośrednie, które już dziś przynoszą efekty. Przykładem są testy kompetencji, wprowadzone m.in. na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego czy w SGH, które realnie podniosły poziom przyjmowanych studentów. Warto więc rozwijać tego typu narzędzia, zamiast wracać do przestarzałych rozwiązań, które w obecnych realiach byłyby nie tylko niemożliwe, ale i szkodliwe.

PROF. BOLESŁAW NIEMIERKO,
pedagog, Wydział Psychologii w Sopocie Uniwersytetu SWPS

Matura ogólnokształcąca wraz z wynikami kilku przedmiotów szkolnych uzyskanymi na poziomie rozszerzonym nie wystarcza wielu uczelniom zawodowym i niektórym uczelniom elitarnym do selekcji kandydatów. Potrzebne bywają nie tylko oryginalne próby uzdolnień, lecz także rozmowy z kandydatami, przekonujące wewnątrzszkolną komisję o motywacji do zdobycia potrzebnych kompetencji. Należy zostawić uczelniom decyzję o treści i formie tej części egzaminu i zobowiązać je do ogłaszania jej maturzystom.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl e1f36635af

Zatrzymać ludobójstwo w Palestynie

Roman Kurkiewicz

Ludobójstwo w Gazie trwa nieprzerwanie mimo globalnego sprzeciwu, mocnego głosu ONZ i innych organizacji międzynarodowych oraz liczonych w milionach protestów na całym świecie. Izrael nie reaguje na nic, wszak ma za plecami Stany Zjednoczone z Donaldem Trumpem. Zastygły w uporze jak owad w bursztynie ustami swojego premiera Netanjahu powtarza propagandową mantrę: „Izrael ma prawo do obrony", „Żadnego państwa palestyńskiego nie będzie", „IDF jest najbardziej moralną armią świata". W ostatnich dniach opublikowano raport specjalny komisji śledczej ONZ, który potwierdza, że Izrael dopuścił się ludobójstwa na Palestyńczykach w Strefie Gazy.

Ludobójcze intencje

Pojęcie ludobójstwa, które stworzył polski żydowski prawnik Rafał Lemkin w reakcji na Zagładę Żydów europejskich dokonaną podczas II wojny światowej przez hitlerowskie Niemcy, weszło do zapisów prawa międzynarodowego w latach 40. Zapewne do głowy mu nie przyszło, że potomkowie ofiar Zagłady zostaną kiedyś o takie zbrodnie oskarżeni.

W ludobójczej agresji Izraela po 7 października 2023 r. – kilka tysięcy bojowników Hamasu z Gazy przedarło się wówczas przez zasieki i ogrodzenia i rozpoczęło walkę, w której, jak dziś się podaje, zginęło ok. 1,2 tys. Izraelczyków, w tym 800 cywilów (izraelskie dane nie mogą być potwierdzone przez niezależne gremia, organizacje, media – nie mają one wstępu do Gazy) – śmierć poniosło już co najmniej 65 tys. osób, w tym ok. 20 tys. dzieci, spośród których 12 tys. nie miało ukończonych 12 lat. Ponad 20 tys. dzieci straciło jednego lub oboje rodziców. Miesięcznik „Lancet" uważa, że dane te (źródłem jest Ministerstwo Zdrowia Gazy) są radykalnie zaniżone.

Cała populacja Gazy (2,4 mln osób) została wygnana ze swoich domostw i wysiedlona. Ponad 90% budynków leży w gruzach. Zniszczone są szpitale, szkoły, uniwersytety, meczety i cmentarze, o infrastrukturze handlowej czy gastronomicznej nie wspominając. Gaza de facto jest zrównana z ziemią. Od października 2023 r. do 19 września br. odnotowano w niej 440 zgonów spowodowanych niedożywieniem, w tym 147 dzieci.

Represje dotykają także Palestyńczyków mieszkających na Zachodnim Brzegu: w 2025 r. zniszczono tam więcej palestyńskich domów niż łącznie w ciągu ostatnich 60 lat. Od 27 maja 1,4 tys. Palestyńczyków zostało zabitych przez Izrael podczas próby zdobycia żywności; od października 2023 r. w izraelskich więzieniach osadzono ponad 1,5 tys. palestyńskich dzieci. Również od października 2023 r. liczba palestyńskich więźniów politycznych sięgnęła bezprecedensowych 18 tys., przy czym w wyniku tortur i/lub złego traktowania zmarło ich co najmniej 76, w tym 46 ze Strefy Gazy.

Ponadto Izrael zabił w Gazie więcej dziennikarzy, niż zginęło łącznie podczas wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych, w I i II wojnie światowej, wojnie koreańskiej i w Wietnamie (także konflikty w Kambodży i Laosie), w wojnie w Jugosławii w latach 90. i 2000. oraz w wojnie w Afganistanie po 11 września 2001 r.

W najważniejszej jak dotąd polskiej książce poświęconej Gazie, „Gaza. Rzecz o kulturze eksterminacji" Pawła Mościckiego, pada stwierdzenie, że w sprawie ludobójstwa najtrudniejsze jest udowodnienie ludobójczych intencji rządzącym i decydentom. Co właściwie niewyobrażalne, nieogarniona buta izraelskich elit politycznych pcha je tymczasem do mówienia o tym expressis verbis. Przytoczmy kilka wypowiedzi najwyższych funkcjonariuszy państwa. Minister obrony Izraela Jo'aw Galant: „Ogłaszam totalną blokadę Strefy Gazy. Odcinamy wszystko. Zero elektryczności. Zero jedzenia. Zero paliwa. Takie metody są konieczne, bo naszymi wrogami są ludzkie zwierzęta". Jisra'el Kac, minister energii: „Cała ludność cywilna w Gazie musi natychmiast opuścić ten obszar. Wygramy. Nie dostaną ani kropli wody, ani jednej baterii, dopóki nie opuszczą tego miejsca". Minister finansów Becalel Smotricz: „Nie ma półśrodków… Rafah, Dajr al-Balah, Muchajjam an-Nusajrat – całkowita zagłada. (…) Nie ma dla nich miejsca pod słońcem". Nissim Vaturi, wiceprzewodniczący Knesetu: „Teraz wszyscy mamy jeden wspólny cel – wymazanie Strefy Gazy z powierzchni ziemi". Gen. dyw. Ghassan Alian: „Nie będzie prądu ani wody [w Gazie], będzie tylko zniszczenie. Chcieliście piekła, dostaniecie piekło".

W konsekwencji do maja 2025 r. Izrael zrzucił na Gazę w ponad 11 tys. nalotów ponad 100 tys. ton „trotylu"

Gaza de facto jest zrównana z ziemią. Od października 2023 r. do 19 września br. odnotowano 440 zgonów z niedożywienia.

eprasa.pl e1f36635af

Ogólnokrajowy strajk „Zablokujmy wszystko" w solidarności z Palestyńczykami. Rzym, 22 września 2025 r.

(szacunkowe dane). To 10-krotnie więcej niż moc bomby zrzuconej przez USA na Hiroszimę. I wielokrotnie więcej niż siła alianckich bombardowań Drezna, Kolonii i Hamburga.

Potwornym paradoksem jest, że firmy produkujące pociski użyte do ataku na konwój humanitarny World Central Kitchen – mimo że był poprawnie oznakowany i poinformował Izraelczyków o swoim przejeździe, zabici zostali wszyscy uczestnicy, w tym polski wolontariusz Damian Soból – bez żenady reklamowały swoje produkty na międzynarodowych targach broni w Kielcach, gdzie wystawiało się 10 izraelskich firm zbrojeniowych. W tej sprawie osobiście, we współpracy z propalestyńską inicjatywą Kaktus, złożyłem w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Kielcach oficjalne doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa „pomocnictwa w ludobójstwie" przez pracowników izraelskich firm zbrojeniowych obecnych na targach. Policja przesłuchała kilku z nich. Sprawa jest w rękach prokuratury. To pierwsza taka interwencja wobec Izraelczyków, którzy reklamowali swoje produkty jako „przetestowane w boju" i używane właśnie w ludobójczej operacji IDF „Swords of Iron" (Żelazne miecze).

Konflikt? Nie – okupacja!

Samo określenie konflikt wprowadza w błąd, bagatelizując istotę nadużyć Izraela. Tymczasem relacje społeczności palestyńskiej – tej mieszkającej w Gazie i tej na Zachodnim Brzegu (w tzw. Autonomii Palestyńskiej) – znajdują odniesienie w przepisach prawa międzynarodowego. Te zaś precyzują: to okupacja, która trwa od wojny w 1967 r. I niemal wszystkie zapisy o obowiązkach państwa okupacyjnego Izrael łamie systematycznie od samego początku. Sztandarowym przykładem jest tzw. polityka nielegalnego osadnictwa. Zachodni Brzeg zamieszkuje obecnie ponad 750 tys. nielegalnych osadników izraelskich, którzy dokonują nieustannie aktów przemocy, kradzieży, dewastacji i mordów na ludności palestyńskiej. Wszystko to pod osłoną izraelskiej armii, policji i służb specjalnych. Izrael ma wobec okupowanych obowiązki, z których się nie wywiązuje, nie ma natomiast żadnego „prawa do obrony". Prawo do obrony, w tym militarnej, mają natomiast wedle prawa międzynarodowego Palestyńczycy (czyli także Hamas). Wynika to z zapisów konwencji haskiej i genewskiej.

Samo określenie terroryzm jest uznaniowe i nieprecyzyjne. Szafuje nim tak potężny gracz świata polityki jak USA, które same jako państwo spełniają wszystkie warunki takiej oceny. Oto więc światowy terrorysta i jego totumfacki – Izrael decydują o tym, kogo napiętnować tym określeniem. Działania Mosadu, izraelskiej agencji wywiadowczej, wyczerpują wszelkie znamiona tego, co definiuje się jako terroryzm. W Polsce wznowiono właśnie

eprasa.pl e1f36635af

książkę Ronena Bergmana, izraelsko-amerykańskiego dziennikarza (w tym „New York Timesa"), „Powstań i zabij pierwszy. Tajna historia skrytobójczych akcji izraelskich służb specjalnych". Nieprzerwanie od lat 50. Izraelczycy prowadzą akcje podkładania bomb i mordowania tych, których uznają za wrogów.

Hamas, który wyrósł z tradycji działalności Braci Muzułmanów, przez większą część swojego funkcjonowania był organizacją służby publicznej: opieki zdrowotnej, edukacyjnej i pomocy społecznej. Jego wojskowe skrzydło, Brygady al-Kassam, powstało po niepowodzeniu porozumień z Oslo z 1993 r. o wzajemnym uznaniu Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny (wcześniej traktowanej jako organizacja terrorystyczna). Przypomnijmy, że za wypracowanie porozumienia Icchak Rabin, Szimon Peres oraz Jasir Arafat otrzymali Pokojową Nagrodę Nobla w 1994 r. Same porozumienia tylko zabetonowały pejzaż politycznej i wojskowej okupacji, tworząc oskarżany potem przez lata o korupcję system rządów palestyńskich, zwany Autonomią Palestyńską. Fatah przegrał z Hamasem demokratyczne wybory w 2006 r., rok po opuszczeniu przez izraelskich osadników Strefy Gazy.

Dwuwładza palestyńska (Hamas – Gaza, Fatah – Zachodni Brzeg) przez lata służyła władzom Izraela do legitymizacji tezy, że nie wiadomo, z kim należy prowadzić rozmowy na temat przyszłości Palestyńczyków. Istnienie Hamasu odgrywającego rolę polaryzacyjną było do tego stopnia korzystne dla kolejnych gabinetów Beniamina Netanjahu, że prowadził on skrytą formę jego wsparcia. Jeśli nie umożliwiał, to z całą pewnością nie zakłócał wsparcia finansowego,

Co Polska powinna zrobić w sprawie ludobójstwa w Gazie?

DR MAGDALENA GAWIN,
filozofka, Uniwersytet Warszawski

Sytuacja w Strefie Gazy jest prosta i zarazem złożona. Prosta, bo zgodnie z raportami m.in. ONZ w Gazie ma miejsce katastrofa humanitarna, która wynika z działań Izraela i jego sojuszników. Niedowiarkom polecam raport izraelskiej organizacji B'Tselem zatytułowany „Our Genocide" (Nasze ludobójstwo). Pojęcie ludobójstwa coraz częściej pojawia się w kontekście działań Izraela wobec Palestyńczyków, zarówno w Gazie, jak i na okupowanym Zachodnim Brzegu. Prawo międzynarodowe jest w tej kwestii jasne. Każde państwo, które ratyfikowało Konwencję w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, jest zobligowane do działań w celu zapobieżenia możliwemu ludobójstwu. Tutaj przez politykę sytuacja staje się jednak złożona. USA wspierają Izrael i blokują w ONZ rezolucje dotyczące wstrzymania działań wojennych w Strefie Gazy. Polska jest zależna od pomocy USA w związku z zagrażającą nam wojną z Rosją. Wydawałoby się zatem, że najlepszą strategią będzie bierność. Na nią nie możemy sobie jednak pozwolić. Z perspektywy etycznej sytuacja jest nieakceptowalna. Nie ma zgody na zabijanie dzieci ani głodzenie ludności cywilnej.

Druga rzecz: w świecie zachodnim sytuacja w Gazie wywołuje przemoc o podłożu antysemickim i islamofobicznym, na co również nie powinno być zgody. W Europie wrze. Społeczeństwa buntują się przeciwko polityce wspierania działań Izraela względem Palestyńczyków. Także opinia publiczna w USA zmienia podejście do działań Izraela. Reszta świata patrzy. Albo-albo. Tytuł przewrotny, gdyż odsyła do Kierkegaardowskiego skoku wiary. Uważam, że Polska nie powinna „skakać" – przeciwnie, szczególnie mając w pamięci nasze trudne doświadczenia historyczne. Dlatego zajęcie stanowiska jest konieczne. Ze względu i na teraźniejszość, i na pamięć przyszłych pokoleń.

DR AHMED ELSAFTAWY,
polski lekarz pochodzenia palestyńskiego, kierownik Oddziału Chirurgii Plastycznej i Chirurgii Ręki w Trzebnicy

Polska jako kraj należący do Unii Europejskiej i wspólnoty międzynarodowej nie może pozostawać bierna wobec faktu, że w Strefie Gazy dochodzi do zbrodni, które coraz częściej są nazywane ludobójstwem przez ekspertów prawa międzynarodowego, a ostatnio przez samą ONZ. Polska powinna jednoznacznie i odważnie

eprasa.pl e1f36635af

Palestyńczycy szukają przedmiotów nadających się do użytku po izraelskim nalocie na Chan Junus, 6 kwietnia 2025 r.

jakie Hamas otrzymywał np. z Kataru – mówili o tym publicznie posłowie Knesetu.

Marek Edelman, jeden z przywódców powstania w getcie warszawskim w 1943 r., człowiek wychowany politycznie przez socjalistyczną i antysyjonistyczną partię Bund, miał odwagę wiele lat później napisać list do walczących Palestyńczyków, nazywając ich bojownikami. W Izraelu był de facto persona non grata, źle się wpisywał w ideologię opartą na instrumentalizacji Zagłady i na zbrodniczej przemocy wobec Palestyńczyków.

Syjonizm i antysemityzm

Prawda jest odwrotna. Syjonistyczny projekt autorstwa Theodora Herzla, austriackiego żydowskiego prawnika i dziennikarza, publicysty i polityka, zakładający utworzenie na terenie Palestyny państwa żydowskiego, z powołaniem się na przekazy Biblii potraktowanej jak zapis umowy notarialnej, był od początku projektem kolonizacyjnym i nacjonalistycznym, wyrastającym z trendów politycznych końca XIX w.

Projekt ten, fałszywie określany metaforą „ziemia bez ludzi dla ludu bez ziemi", wsparła później (1917) tzw. deklaracja Balfoura, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych. W liście do Lorda Rothschilda ogłoszono: „W imieniu Rządu Jego Królewskiej Mości z przyjemnością przekazuję Panu następującą deklarację sympatii z dążeniami żydowskich syjonistów, jaka została przedstawiona i przyjęta przez Gabinet. Rząd Jego Królewskiej Mości przychylnie zapatruje się na ustanowienie w Palestynie narodowego domu dla narodu żydowskiego i dołoży wszelkich starań, aby umożliwić osiągnięcie tego celu, przy czym jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że nie uczyni on nic, co mogłoby zaszkodzić obywatelskim czy religijnym prawom istniejących w Palestynie społeczności nieżydowskich oraz prawom i statusowi politycznemu, z jakich Żydzi korzystają w każdym innym kraju".

Otóż w projekcie tym nie było nawet śladu nie tyle praw, ile istnienia społeczności Arabów palestyńskich, żyjących na tych terenach od setek lat (zresztą w zgodzie z mniejszością żydowską, której obecność choćby w Jerozolimie trwała nieprzerwanie). O prawie do jakiegokolwiek samostanowienia nie wspominając.

Fala deklaracji uznających prawo Palestyny do swojego państwa to raczej puste gesty.

Brytyjczycy konsekwentnie wspierali politykę syjonistyczną do 1939 r., budując solidne podstawy powstania przyszłego państwa żydowskiego. Późniejszy epizod terrorystycznego buntu wobec Brytyjczyków (którego kulminacją był zamach na siedzibę brytyjskiej administracji, hotel King David w Jerozolimie, 22 lipca 1946 r.;

---

opowiedzieć się po stronie prawa, życia i godności ludzkiej. Milczenie lub ograniczanie się do ogólnikowych komunikatów stanowi w praktyce przyzwolenie na zbrodnie i czyni nas współwinnymi przez zaniechanie. Dodatkowo, jeśli Polska chce być postrzegana jako państwo konsekwentnie broniące prawa międzynarodowego i praw człowieka, nie może pozwolić sobie na wybiórczość. Tym bardziej nie może być miejsca na zapewnianie parasola ochronnego zbrodniarzom wojennym, wobec których Międzynarodowy Trybunał Karny wydał czynne nakazy aresztowania, jak miało to miejsce w styczniu br. Tolerowanie takich wizyt czy wręcz przyjmowanie tych ludzi z honorami podważa naszą wiarygodność i ośmiesza system międzynarodowej sprawiedliwości. Nie można się godzić z wyrokiem MTK w sprawie niektórych zbrodniarzy, takich jak Putin, a jednocześnie udawać, że inne wyroki nas nie obowiązują, tylko dlatego, że tak podpowiadają nam sympatie polityczne czy doraźne interesy.

W tym kontekście jeszcze mniej zrozumiałe i nie do przyjęcia moralnie jest goszczenie na targach zbrojeniowych firm, których sprzęt jest wykorzystywany do popełniania zbrodni wojennych. Jak można w czasie dokonywanego ludobójstwa otwierać przestrzeń do promocji i handlu bronią, która następnie służy do zabijania cywilów? Dlaczego takie firmy utrzymują możliwość uczestnictwa w przetargach MON? Polska nie może przykładać ręki do legitymizowania zbrodni przez normalizację handlu śmiercią. To nie jest kwestia „biznesu" czy „sojuszy", ale sprawdzian moralnej spójności i prawnego zobowiązania wobec ofiar.

Polska powinna wykorzystać swoją pozycję w UE i NATO do nacisków dyplomatycznych na rzecz zawieszenia broni, dopuszczenia pomocy humanitarnej i ochrony cywilów. Niezbędne jest też działanie na forum ONZ, gdzie Polska może współtworzyć rezolucje potępiające ludobójstwo i domagające się sankcji wobec Izraela. W wymiarze praktycznym Polska mogłaby zorganizować korytarze humanitarne i przyjąć rannych cywilów, np. dzieci z Gazy, na leczenie. Wreszcie Polska powinna wyraźnie zaprzestać polityki podwójnych standardów: skoro potępiamy rosyjskie zbrodnie wojenne w Ukrainie, musimy równie stanowczo potępiać izraelskie zbrodnie w Palestynie.

GLOBAL MOVEMENT TO GAZA POLAND,
międzynarodowa inicjatywa pomocy humanitarnej

Polskie społeczeństwo nie może być bierne wobec ludobójstwa na Palestyńczykach. Brak działań jest zgodą i przyzwoleniem na zbrodnie. Polki i Polacy powinni się solidaryzować z walką o życie i godność Palestyńczyków. Stoimy przed wyborem jako społeczeństwo i ludzkość. Syjonistyczne zbrodnie podważają podstawy naszego człowieczeństwa i porządek międzynarodowy, mający takim zbrodniom zapobiegać. Musimy się mobilizować, organizować wokół Palestyny i edukować. Wszystkie

eprasa.pl e1f36635af

zginęło wtedy 91 osób) był tak naprawdę próbą włączenia projektu syjonistycznego do zjawiska i trendu buntów antykolonialnych. Obecna deklaracja o uznaniu palestyńskiej państwowości zamyka klamrą ten krwawy 100-letni rozdział palestyńskiej wojny o samostanowienie.

Reakcje i działania społeczności palestyńskiej od zawsze były zatem oparte na strachu przed wywłaszczeniem i wysiedleniem. Dziś pojawiają się pomysły całkowitej etnicznej czystki na potrzeby deweloperskiej ofensywy izraelsko-amerykańskiej i stworzenia tam, wedle słów Donalda Trumpa, Riwiery Bliskiego Wschodu. Minister finansów Izraela Smotricz publicznie mówi, że plan podziału oczyszczonej z Palestyńczyków Gazy między Izrael i USA leży już na biurku Donalda Trumpa. I dodaje: „Wykonaliśmy naszą część roboty, zainwestowaliśmy w wyburzanie, a wyburzanie jest zawsze najdroższe".

Tymczasem Izrael zawsze wali pałką antysemityzmu, kiedy brakuje mu argumentów na obronę przestępstw i zbrodni. Dostają nią także ci spośród społeczności żydowskiej, którzy krytykują działania państwa, mówiąc: „Nie w moim imieniu!".

Jeszcze bardziej ponurym zabiegiem jest skrajnie instrumentalne wykorzystywanie Zagłady do uzasadnienia zbrodniczych działań rządów Izraela. Chodzi o jej umetafizycznienie (jedyna taka zbrodnia w historii, nieporównywalna do niczego), czyli pozbawienie jej historycznego i ludzkiego wymiaru, co ma czynić niepokalanymi intencje i działania Izraela. Hasło „Nigdy więcej" traci uniwersalistyczny przekaz. „Nigdy więcej, nigdzie, nikomu" miałoby się ograniczać tylko do Żydów. Za dzisiejsze zbrodnie w Gazie odpowiadają konkretni ludzie, nie dlatego, że są Żydami, tylko dlatego, że są członkami skrajnie prawicowego, fundamentalistycznego, faszyzującego gabinetu Beniamina Netanjahu albo dowódcami wojskowymi.

W Polsce szczególnie mocno wybrzmiewa milczenie świata nauki, a konkretnie środowisk badaczy i badaczek Zagłady.

A co tam w Polsce?

Polska – jej władze i elity – w kontekście tego pierwszego w historii ludobójstwa relacjonowanego na żywo wypada marnie, mizernie i tchórzliwie. Reakcja polskich władz (premiera, ministra sprawiedliwości) na ewentualność przyjazd do Polski na 80. rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz premiera Netanjahu i ministra obrony Galanta, za którymi Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wydał listy gończe, uznając, że można ich oskarżyć o zbrodnie ludobójstwa, pozostanie wstydem już na zawsze. Polska ratyfikowała statut rzymski powołujący MTK i jest zobowiązana podporządkować się jego decyzjom. Tymczasem Donald Tusk i Adam Bodnar publicznie wystawili coś w rodzaju listu żelaznego ściganym zbrodniarzom. Większą wiarą w polski wymiar sprawiedliwości (jeden sprawiedliwy i odważny sędzia, jeden prokurator i policjant?) wykazał się zatem Netanjahu, nie ryzykując przyjazdu. W tych dniach jego samolot lecący do USA na posiedzenie ONZ starannie omijał przestrzeń powietrzną krajów europejskich.

---

oczy muszą być skierowane na Gazę. Cały system, który umożliwił ludobójstwo i je wspierał, nie może pozostać niezakwestionowany. Społeczeństwo w Polsce powinno naciskać na rząd, aby wprowadził pełne embargo na handel bronią z Izraelem i sankcje gospodarcze oraz zniósł ułatwienia wizowe dla obywateli izraelskich. Polska powinna uruchomić ewakuacje medyczne ze Strefy Gazy i umożliwić wyjazd rodzin polskich obywateli. Konieczne jest także doprowadzenie do aresztowania i pociągnięcia do odpowiedzialności izraelskich zbrodniarzy wojennych. Nasz kraj powinien popierać w ONZ rezolucję „Zjednoczeni dla pokoju", otwierając m.in. drogę do międzynarodowej akcji militarnej w celu przeciwdziałania ludobójstwu. Musimy zapewnić bezpieczeństwo, wsparcie konsularne i dyplomatyczne polskiej delegacji Globalnej Flotylli Sumud, płynącej do Gazy, by przełamać nielegalną blokadę i dostarczyć pomoc humanitarną, rewolucyjną nadzieję oraz wyrazy solidarności znad Wisły. Ludobójstwo i okupacja Palestyny muszą się zakończyć.

CAFÉ BUND,
żydowsko-polska grupa obywatelska

Wobec licznych apeli międzynarodowych, palestyńskich i izraelskich organizacji praw człowieka rząd RP nie ma prawa zwlekać z odpowiedzią – musi zacząć aktywnie działać na rzecz natychmiastowego zawieszenia broni i wypuszczenia wszystkich zakładników. Działając na forum ONZ, organów Unii Europejskiej i Komitetu Ministrów Rady Europy, nie poprzestając na słowach, powinien – tak jak Włochy czy Hiszpania – zapewnić ochronę polskim członkom Globalnej Flotylli Sumud na wodach międzynarodowych, zwiększyć fundusze dla organizacji humanitarnych działających w Gazie i domagać się dostępu prasy do Gazy. Na wzór Słowenii Polska powinna oficjalnie potwierdzić, że międzynarodowy nakaz aresztowania Netanjahu zostanie wyegzekwowany na jej terytorium. Jednocześnie nie możemy zapomnieć o Palestynie po zawieszeniu broni. Jeśli Polska rzeczywiście popiera francusko-saudyjską deklarację nowojorską (zakładającą powstanie suwerennego państwa palestyńskiego), powinna aktywnie się przyłączyć do jej wyegzekwowania, nawet jeśli rząd Izraela się sprzeciwi. Jako Café Bund zwracamy się do MSZ z apelem i publikujemy wspólny list z innymi grupami żydowskimi, by wesprzeć flotyllę w jej pokojowej misji.

Rozmawiał
Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl e1f36635af

Husam S. Zomlot, ambasador Misji Palestyńskiej w Wielkiej Brytanii, na ceremonii podniesienia flagi palestyńskiej. Londyn, 22 września 2025 r.

Fala deklaracji uznających prawo Palestyny do swojego państwa (Wielka Brytania, Australia, Kanada, Francja) to raczej puste gesty, za którymi nie idą konkretne ani bolesne dla Izraela decyzje, takie jak sankcje, blokady i inne reperkusje, którymi bez problemu i zwłoki obłożono Rosję po ataku na Ukrainę.

W Polsce szczególnie mocno wybrzmiewa milczenie świata nauki, a konkretnie środowisk badaczy i badaczek Zagłady. Zupełnie jakby nie zrozumieli na podstawowym poziomie, co badali przez całe życie i co z tego wynika dla ludzkości, a nie dla społeczności żydowskiej, od której często są uzależnieni finansowo.

Jaskółką zmiany była rozmowa Hanki Grupińskiej z prof. Jackiem Leociakiem, który stwierdził: „W pewnym sensie największym wrogiem Izraela jest dziś Izrael. I ten układ polityczny z USA, który stawia na rozwój przemysłu zbrojeniowego i ekspansję terytorialną jest jednoznaczną przyczyną nastrojów antyizraelskich, które mogą się stawać antysemickimi". A na pytanie: „Nie jesteśmy antysemitami, prawda? Podzielamy potępienie dla działań Izraela w Gazie", profesor odpowiedział: „Prawda. Tak".

Jak ukarać zbrodniarzy?

Jak zatem można zatrzymać ludobójstwo w Gazie? Jak umożliwić Palestyńczykom proces samostanowienia? Jak powstrzymać nielegalne osadnictwo i przemoc izraelską na Zachodnim Brzegu? Jak dać Gazie pokój i uruchomić proces dźwignięcia z ruin jednego z najstarszych w historii miast?

Pytamy o to w momencie, kiedy w stronę Gazy płynie kilkadziesiąt statków z pomocą humanitarną i medyczną, z lekarzami, wolontariuszami i aktywistami z kilkudziesięciu krajów, w tym z Polski (poseł Franek Sterczewski). Statki były już kilkukrotnie atakowane przez drony (izraelskie, amerykańskie?), na razie bez ofiar. W bezprecedensowy sposób dwa kraje Unii Europejskiej i członkowie NATO, Hiszpania i Włochy, wysłały na pomoc Globalnej Flotylli Sumud trzy okręty wojenne, które odtąd towarzyszą jej w rejsie.

Nie sposób sobie wyobrazić, że dojdzie do militarnego starcia. Świat ma do wykonania dużo prostsze ruchy: natychmiastowe, jak najszerzej zakrojone sankcje polityczne i gospodarcze. Bojkot Izraela na wszystkich możliwych i funkcjonujących dotąd polach współpracy: ekonomicznej, kulturalnej i sportowej.

Jak słusznie zauważa w książce „Gaza. W obliczu historii" włoski historyk Enzo Traverso, Zachód nie wytrzymał próby, jaką jest reakcja na transmitowane na żywo ludobójstwo w Gazie. Jego miejsce zajęły kraje globalnego Południa, na czele z RPA, która podejrzenie zbrodni ludobójstwa sformułowała jeszcze w grudniu 2023 r. Zachód powoli i bez energii budzi się z proizraelskiej maligny żyrowanej przez USA. Ludobójstwo w Gazie to jedna z ostatnich odsłon mrocznej historii Zachodu – kolonializmu. Pisze o tym Paweł Mościcki: Izrael to nieodrodny syn europejskiej kolonizacji i orientalizmu.

Scenariusz prawny jest gotowy: Netanjahu, Galant i inni odpowiedzialni powinni stanąć przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze. Odpowiedzialność musi iść od góry w dół. Izrael powinien ponieść koszty odbudowy Gazy. Być może, aby zadośćuczynić za zbrodnie ludobójstwa, powinien wybrzmieć postulat demilitaryzacyjny – choć to właśnie przemysł wojenno-policyjny jest kołem zamachowym tego kraju. Pamiętamy też, że Izrael jest mocarstwem atomowym, niepoddanym żadnemu mechanizmowi kontroli. Czas to zmienić.

Wątkiem, który tu jeszcze się nie pojawił, jest istota systemu politycznego Izraela, który nie jest demokracją, ale etnokracją i w konsekwencji systemem apartheidu. Być może scenariusz końca apartheidu w RPA w latach 90. powinien narzucać sposób wyjścia z tego błędnego koła nienawiści, przemocy i zbrodni.

Trzeba sobie też jasno powiedzieć, że państwo funkcjonujące wedle zbrodniczych reguł, niezważające na żadne głosy społeczności i instytucji międzynarodowych i popełniające zbrodnię ludobójstwa, nie ma racji bytu. Wbrew temu, co mówi kolonialna retoryka uprawiana do dziś przez Netanjahu, to Izrael stoi teraz po stronie barbarzyństwa. Czy potrafiłby inaczej? Z całą pewnością nie pod tymi rządami.

Roman Kurkiewicz

FOT. ANDREAS SOLARO / AFP/EAST NEWS, ANADOLU/ABACAPRESS/EAST NEWS, AP/FRANK AUGSTEIN/EAST NEWS

eprasa.pl e1f36635af

Ziemia obiecana 2.0

Jak dwóch Jankesów naciągnęło nas na miliardy dolarów

Marek Czarkowski

Panowie Michael Sabel i Bob Pender nie czytali „Ziemi obiecanej" Władysława Reymonta, za to do perfekcji opanowali działanie wedle słynnego z niej cytatu: „Ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic (…). To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, by założyć wielką fabrykę".

Historia zaczęła się 26 czerwca 2018 r., gdy Piotr Woźniak, prezes Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa SA, oraz Sabel i Pender, założyciele spółki Venture Global LNG, w trakcie odbywającej się w Waszyngtonie Światowej Konferencji Gazowej podpisali porozumienie dotyczące warunków dostaw 2 mln ton skroplonego gazu ziemnego rocznie z nieistniejących jeszcze w Luizjanie terminali Calcasieu Pass LNG i Plaquemines LNG. Pierwsze statki z amerykańskim błękitnym paliwem miały trafić do Świnoujścia w 2022 r.

„To dla nas zaszczyt, że wśród naszych partnerów znalazło się PGNiG, jeden z liderów rynku energetycznego w tej części Europy", dumnie oświadczyli prezesi Sabel i Pender. „Zakup LNG w USA pozwoli nam nie tylko na dalszą dywersyfikację naszego portfela importowego od 2022 r., ale także umożliwi rozwój naszych kompetencji tradingowych i obecność jako globalnego gracza na rynku LNG", wtórował im prezes Woźniak.

Choć w 2018 r. Venture Global na realizację tych inwestycji zebrała tylko 525 mln dol., to prezesi mieli plan! Legenda głosi, że Sabel, by namówić inwestorów, jeździł po Teksasie starym chevroletem i tłumaczył im, że eksport LNG będzie lukratywnym biznesem. Mimo że spółka nie posiadała własnego terminalu, zawarła kontrakty na dostawy gazu z takimi koncernami jak Shell, BP, włoski Edison, chiński Sinopec czy hiszpański Repsol. Dla banków była to gwarancja, że interes jest pewny i można udzielić spółce kredytów.

28 września 2018 r. PGNiG i Venture Global LNG zawarły dwa 20-letnie kontrakty na dostawy 2 mln ton skroplonego gazu w formule Free on Board, czyli że strona polska będzie odbierała gaz swoimi statkami i będzie mogła sprzedać go na wolnym rynku.

Umowy te w późniejszych latach były aneksowane i obecnie Orlen (który wchłonął PGNiG) powinien każdego roku odbierać 5,5 mln ton LNG z Luizjany. Tyle że, jak mówią przedstawiciele naszego narodowego producenta paliw, „spółka Venture Global realizuje swoje zobowiązania w ograniczonym zakresie w porównaniu do tego, co zapisano w kontraktach".

By uzupełnić braki w dostawach, Orlen zmuszony był kupować gaz na wolnym rynku, często po bardzo wysokich cenach.

Za tym uprzejmym zwrotem kryje się brzydka prawda. Zgodnie z umową zawartą w 2018 r. dostawy gazu dla PGNiG (obecnie Orlenu) powinny się rozpocząć w 2022 r. Tymczasem pierwszy statek z LNG od Venture Global zjawił się w Świnoujściu… pod koniec kwietnia 2025 r.

By uzupełnić braki w dostawach, pojawiające się w związku z tym, że Amerykanie nie realizowali swoich zobowiązań z 2018 r., Orlen od trzech lat zmuszony był kupować gaz na wolnym rynku, często po bardzo wysokich cenach. Ile go to kosztowało? Szacunki mówią o dodatkowych ok. 900 mln dol. tylko w 2022 r. Łącznie do 2025 r. mogło to być znacznie więcej. Dokładne wyliczenia nie są znane, gdyż zarówno Orlen, jak i Venture Global zasłaniają się tajemnicą handlową. Wiadomo, że jeśli Amerykanie nadal będą prowadzili taką politykę, Orlenowi przyjdzie wydać kolejne miliardy.

Do 2024 r. nasz narodowy gigant siedział cicho jak mysz pod miotłą. Dopiero w ubiegłym roku przyłączył się do pozwu przeciwko Venture Global LNG, który wcześniej skierowały do Trybunału Arbitrażowego w Londynie koncerny Shell, BP, Edison i Repsol. Bo Amerykanie także tych kontrahentów zawiedli. Z wielkim dla siebie zyskiem.

Jak to się robi w Luizjanie

Na świecie wielomiliardowe inwestycje w branży gazowej, paliwowej czy energetycznej finansowane są z kredytów, których gwarancją są długoterminowe kontrakty.

Gdy w 2019 r. u ujścia rzeki Missisipi ruszyła budowa terminalu Calcasieu Pass, spółka założona przez panów Sabela i Pendera miała i kontrakty, i kredyty. Pierwszy ładunek LNG z nowo wybudowanego terminalu odebrał w połowie lutego 2022 r. gazowiec Yiannis. Wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze i kontrahenci Venture Global LNG zaczną odbierać swój towar zgodnie z zapisami w umowach.

24 lutego 2022 r. Rosja zaatakowała Ukrainę i ceny surowców energetycznych, w tym gazu ziemnego, ostro ruszyły w górę. W pewnym momencie za 1000 m sześc. gazu w kontraktach spotowych (czyli z natychmiastową dostawą) trzeba było w Europie płacić 2 tys. dol.

Jeśli tuż przed wybuchem wojny tona skroplonego gazu kosztowała w USA ok. 244 dol., to po

eprasa.pl e1f36635af

regazyfikacji (czyli zamianie gazu płynnego w lotny) za 1000 m sześc. trzeba było zapłacić 175,68 dol. Po wybuchu wojny w Ukrainie ceny gazu ziemnego, w tym skroplonego, wzrosły pięcio-, a nawet sześciokrotnie. Tylko frajer, widząc, co się dzieje, zrezygnowałby z nadzwyczajnych zysków. A prezesi Michael Sabel i Bob Pender frajerami nie byli. Ich spółka nawet nie zaczęła realizować kontraktów, za to sprzedawała LNG przez terminal Calcasieu Pass po znacznie wyższych cenach spotowych, zarabiając na tym krocie.

uniemożliwiały rozpoczęcie regularnych dostaw w ramach umów długoterminowych.

I najważniejsze – w kontrakcie z PGNiG znalazł się zapis o tzw. okolicznościach nadzwyczajnych. Spółka Venture Global twierdziła, że jej terminal znajduje się w fazie „rozruchu technicznego", co jest „okolicznością nadzwyczajną", dlatego objęte

Prezesi Sabel i Pender dowodzili, że kontrakt z PGNiG (ale nie tylko) pozwala ich spółce na sprzedaż LNG na rynku spotowym do czasu uruchomienia pełnej komercyjnej działalności terminalu. Co zależało od decyzji amerykańskich urzędników Federalnej Komisji Regulacji Energetyki. A że przy tym dobrze zarabiano… Cóż, nie było w tym nic osobistego.

Agencja Reutera podała, że w latach 2022-2023 Venture Global zarobiła ponad 19 mld dol. na sprzedaży LNG.

Od prawej: prezesi Venture Global Michael Sabel i Robert Pender oraz prezes PGNiG Piotr Woźniak na konferencji prasowej w Muzeum Gazownictwa w Warszawie, 17 października 2018 r.

W 2022 r. Venture Global nawet nie kiwnęła palcem, by zgodnie z umowami z lat 2018 i 2021 dostarczyć Orlenowi gaz. Gdy zarząd płockiego koncernu chciał od Jankesów wyjaśnień – i nie tylko on, bo lista tak brzydko potraktowanych kontrahentów była znacznie dłuższa – usłyszał, że, po pierwsze, pojawiły się problemy operacyjne związane z fazą rozruchu terminalu Calcasieu Pass. Po drugie, jak firma tłumaczyła opóźnienia, usterki systemu elektrycznego w terminalu

umowami dostawy gazu nie muszą być realizowane!

Pojawiło się pytanie, czy renomowana międzynarodowa kancelaria prawna, która w 2018 r. doradzała stronie polskiej przy kontraktach z Amerykanami, rzeczywiście nie zauważyła tego punktu. Były pracownik PGNiG, z którym rozmawiałem, powiedział, że nad treścią umowy pracowały osoby świetnie zorientowane w tym, co było w niej zapisane, i wiedziały, jakie mogą być tego konsekwencje.

Wyszło też na jaw, że od początku realizacji tej inwestycji Amerykanie zakładali, iż proces rozruchu Calcasieu Pass, ze względu na innowacyjne rozwiązania, może trwać długo, a osiągnięcie pełnej wydajności będzie zależało od uzyskania końcowych zgód na uruchomienie wszystkich systemów. O czym, jak sądzę, prezes PGNiG nie wiedział.

Z dostępnych danych wynika, że tylko w 2022 r. amerykańska spółka osiągnęła przychody rzędu 6,45 mld dol., eksportując gaz z terminalu Calcasieu Pass. Agencja Reutera podała, że w latach 2022-2023 Venture Global zarobiła ponad 19 mld dol. na sprzedaży LNG.

Gdy w 2022 r. okazało się, że Amerykanie nie realizują kontraktów z PGNiG, zarząd Orlenu z prezesem Danielem Obajtkiem na czele miał się wściec, lecz musiał siedzieć cicho. To była decyzja polityczna. Przypomniano sobie, że podpisanie umowy z Venture Global zostało szeroko nagłośnione w mediach.

Premier Mateusz Morawiecki zapewniał: „Współpraca z naszymi przyjaciółmi, jakimi są Amerykanie, to prosta ścieżka do suwerenności energetycznej. Te kontrakty na 20 lat, z partnerami, do których także i rząd amerykański ma zaufanie, dają nam pewność, że te dostawy będą realizowane". I dodawał: „Gaz ze Stanów Zjednoczonych jest wynegocjowany po bardzo dobrych cenach. Nie ma tutaj żadnych pozacenowych elementów. Po to wybudowaliśmy terminal LNG w Świnoujściu, żeby uniezależniać się coraz bardziej od tego dyktatu cenowego,

eprasa.pl e1f36635af

czy mówiąc wprost – od rosyjskiego szantażu cenowego".

Również administracja waszyngtońska akcentowała wzmocnienie współpracy transatlantyckiej oraz profity płynące z ekspansji ich sektora LNG na rynki europejskie.

W tym czasie według badań opinii publicznej Polacy uznawali bezpieczeństwo energetyczne za priorytet i popierali dywersyfikację kierunków dostaw gazu ziemnego i ropy naftowej. Wobec tego fakt, że spółka Venture Global LNG nie wywiązywała się ze swoich zobowiązań i zmusiła Orlen do zakupów gazu po znacznie wyższych cenach, był mocno kompromitujący. Poza tym w 2022 r. Polska znalazła się w bardzo trudnej sytuacji.

W Ukrainie trwała wojna. W kwietniu 2022 r. Gazprom wstrzymał dostawy gazu do naszego kraju, tłumacząc to odmową strony polskiej regulowania zobowiązań w rublach, co było konsekwencją dekretu prezydenta Władimira Putina, nakazującego rozliczenia za dostawy ropy i gazu w tej walucie. Nie działał jeszcze gazociąg Baltic Pipe, którym miał do nas trafiać gaz z szelfu norweskiego.

W Europie i na świecie z powodu wojny ceny gazu ziemnego dramatycznie wzrosły, a państwa ostro rywalizowały o zapełnienie magazynów z myślą o jesienno-zimowym sezonie grzewczym 2022/2023. Nie wiadomo, ile dokładnie płacił wówczas Orlen za dostawy. Szacunki mówią, że było to 1450 dol. za 1000 m sześc. gazu. Kilka razy więcej, niż gdyby Amerykanie wywiązali się z umowy.

Konsekwencje tego były ponure. O ile w kraju ceny gazu dla odbiorców indywidualnych zostały zamrożone, o tyle ceny dla przemysłu wzrosły średnio o 400-500% w stosunku do roku 2021. W niektórych miesiącach na Towarowej Giełdzie Energii zdarzały się ceny gazu wyższe nawet o 900%!

Najbardziej widoczną konsekwencją ich wzrostu było wstrzymanie produkcji nawozów azotowych przez puławskie Azoty oraz należący do Orlenu Anwil. W kosztach ich produkcji 70% to cena gazu ziemnego.

Dopiero w ubiegłym roku Orlen zdecydował się na działanie, czyli dołączył do innych firm, które zwróciły się do trybunału arbitrażowego. Wsparcia ze strony rządu i naszej dyplomacji nigdy nie było. Sprawa nie zainteresowała też posłów. Nasza klasa polityczna uznała to za spór biznesowy, w który lepiej się nie mieszać.

Marne szanse

Nie liczyłbym, że Orlen osiągnie cokolwiek w Trybunale Arbitrażowym Międzynarodowej Izby Handlowej (International Chamber of Commerce, ICC) w Londynie. W sierpniu br. brytyjsko-holenderski koncern Shell przegrał sprawę przeciw amerykańskiej spółce. Reprezentujący go prawnicy dowodzili, że Amerykanie złamali umowę o dostawach, aby zarobić na wyższych cenach gazu. Venture Global zaś twierdziła, że opóźnienie w dostawach było spowodowane usterką systemu elektrycznego w terminalu LNG Calcasieu Pass. Sędziowie trybunału arbitrażowego przyznali im rację. Po czym prezes Venture Global Michael Sabel wyraził przekonanie, że po tej wygranej równie pomyślnie zakończą się inne postępowania.

Opisany przypadek nie jest niczym nadzwyczajnym w polsko-amerykańskich relacjach biznesowych. W 2005 r. nasz narodowy przewoźnik, PLL LOT, podpisał umowę z koncernem Boeing na dostawę ośmiu samolotów Boeing 787 Dreamliner. Maszyny miały być dostarczone do 2008 r. Dostarczono je w 2014 r. Opóźnienie było spowodowane problemami technicznymi i organizacyjnymi amerykańskiego koncernu. Nic mi nie wiadomo o karach umownych, jakie Boeing zapłacił naszym liniom.

Historia powtórzyła się w przypadku kontraktu z 2017 r. na dostawę 18 samolotów Boeing 737 MAX 8. Znów doszło do opóźnień, spowodowanych dwiema katastrofami samolotów tego modelu, należących do Lion Air oraz Ethiopian Airlines.

Samoloty Boeing 737 MAX 8 zostały uziemione, a LOT wystąpił o zapłatę kar umownych. Wtedy okazało się, że w umowie leasingowej (LOT pierwotnie te samoloty leasingował) znalazła się klauzula wyłączająca odpowiedzialność Boeinga za opóźnienia wynikające z wad technicznych lub uziemienia samolotów przez organy regulacyjne. Sprawa trafiła do sądu w Seattle. LOT domaga się od Boeinga 250 mln dol. Życzymy mu powodzenia.

Marek Czarkowski

eprasa.pl e1f36635af

Rzeczpospolita pijacka

Politycy od lewa do prawa są przeciwko pijaństwu, ale w godzinie próby nie podniosą ręki na narodową tradycję

Andrzej Sikorski

Ostatnie wydarzenia w Radzie m.st. Warszawy wywołały powszechne wzburzenie, a lokalny spór o nocną prohibicję (zakaz sprzedaży alkoholu w sklepach) stał się głównym tematem we wszystkich mediach. Głos zabrał nawet Donald Tusk, który stwierdził, że „nie jest zadowolony z tego, co się zdarzyło", i dał jasno do zrozumienia, że popiera wprowadzenie ograniczeń antyalkoholowych. A przecież to partyjni podwładni Tuska pod wodzą szefa klubu radnych KO Jarosława Szostakowskiego doprowadzili do awantury, ośmieszając przy okazji Rafała Trzaskowskiego.

Według plotek wolta radnych KO była zagrywką polityczną Marcina Kierwińskiego, który jest szefem stołecznych struktur Platformy. Podobno minister spraw wewnętrznych i administracji chciał pokazać Trzaskowskiemu, że to on rządzi w Warszawie, inna zaś wersja mówi o tym, że chodziło o utarcie nosa „lewakom", czyli radnym z klubów Lewicy i Miasto Jest Nasze, którzy byli inicjatorami antyalkoholowych ograniczeń.

Tymczasem, jak wynika z konsultacji społecznych zorganizowanych przez ratusz oraz prowadzonych cyklicznie badań sondażowych, większość mieszkańców stolicy popiera nocne ograniczenia sprzedaży alkoholu.

Wynik głosowania w Radzie m.st. Warszawy daje pewną nadzieję mieszkańcom jedynie dwóch dzielnic. 18 września radni przyjęli stanowisko dotyczące pilotażu zakazania nocnej sprzedaży alkoholu w Śródmieściu i na Pradze-Północ.

Rozsądek Czarzastego

Posłowie Lewicy poszli za ciosem i w odwecie przygotowali projekt ustawy Stop Alko Lobby, w którym znalazły się zapisy m.in. o nocnym zakazie sprzedaży alkoholu w całej Polsce, zakazie sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych i zakazie reklamy alkoholu.

„Wszyscy widzimy po nocach ludzi pod sklepami alkoholowymi. Zachowują się w sposób uwłaczający godności, przede wszystkim ich. Ale widzimy, że nic nie robimy w sprawie braku rozpijania młodego pokolenia, widzimy, ile jest wypadków samochodowych po gorzale, widzimy, ile jest ludzi na SOR-ach. Widzimy, jak tracimy po prostu rozsądek w tej sprawie. I nikt nic w tej sprawie nie jest w stanie zrobić. (…) Rozmawiamy o wódzie, rozmawiamy o rozpijaniu polskiego społeczeństwa, rozmawiamy o czymś, co powinno mieć swój kres", mówił Włodzimierz Czarzasty.

Troska o trzeźwość narodu

Gdyby zapytać jakiegokolwiek polityka (z wyjątkiem Sławomira Metzena i jego partyjnych towarzyszy) o stosunek do alkoholu, każdy powie, że jest to zło, z którym trzeba walczyć. W 2017 r. Sejm z inicjatywy posłów PiS przyjął uchwałę „w sprawie zwiększenia troski o trzeźwość Narodu". Napisano w niej m.in.: „Ofiarami nadużywania alkoholu i choroby alkoholowej są nie tylko osoby chore, ale całe rodziny, w których najbardziej cierpią najmłodsi. Regułą jest, że alkoholizm jednego z członków rodziny staje się epicentrum całego rodzinnego życia. Jej członkowie, skupiając się na pomocy osobie uzależnionej, na

FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI/REPORTER

eprasa.pl e1f36635af

przeciwdziałaniu negatywnym skutkom nałogu, zaniedbują pozostałe obowiązki, przede wszystkim rodzicielskie. Co więcej, systematycznie rośnie spożycie wśród młodych kobiet, również przyszłych matek. W historii Polski troska o trzeźwość była związana z dążeniem do wolności, do odrodzenia Narodu, a także z obroną godności Polaków. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wzywa do zwiększenia troski o trzeźwość Narodu i apeluje do Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, samorządów, Kościołów, związków wyznaniowych i organizacji pozarządowych o podjęcie w roku 2017 systematycznych działań na rzecz troski o trzeźwość Narodu".

Pod auspicjami władz państwowych i hierarchów Kościoła powołano Narodowy Kongres Trzeźwości, którego celem było opracowanie Narodowego Programu Trzeźwości. W komitecie honorowym zasiedli m.in. kardynałowie Stanisław Dziwisz i Kazimierz Nycz, prymas Polski Wojciech Polak, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki, prezes PiS Jarosław Kaczyński, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, wiceszef MSZ Jan Dziedziczak, szef Komitetu Stałego Rady Ministrów Henryk Kowalczyk i minister środowiska Jan Szyszko.

Do krucjaty antyalkoholowej przystąpił Andrzej Duda. Co prawda, prezydent nie pojawił się na inauguracyjnych obradach Narodowego Kongresu Trzeźwości, w których wzięli udział liczni duchowni, politycy, samorządowcy, lekarze, specjaliści od uzależnień, ale przesłał list do uczestników. List był osobliwy, gdyż nie padły w nim słowa alkohol i alkoholizm, można więc było odnieść wrażenie, że głowa państwa w przesłaniu odnosi się ogólnie do wszystkich uzależnień. Być może Duda nie chciał akcentować szkodliwości spożywania alkoholu, bo sam „nie jest abstynentem" i „podchodzi do sprawy normalnie", jak przyznał w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim.

Trzeźwy jak polityk

Narodowy Program Trzeźwości został ogłoszony 13 lutego 2018 r., „w roku 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości". Odwołując się do słów Jana Pawła II, władze państwowe i kościelne skierowały przesłanie do Polaków: „Nie ma wolności bez trzeźwości! Nie ma przyszłości człowieka i Narodu bez trzeźwości!".

Antyalkoholowy program był rewolucyjny. Wśród postulatów znalazły się: zakaz sprzedaży alkoholu młodzieży do lat 21; podniesienie cen alkoholu; zakaz reklamy piwa; zakaz sprzedaży alkoholu w godz. 22-6; zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych; likwidacja stoisk monopolowych w części sklepów spożywczych; likwidacja budek z alkoholem; zakaz sprzedaży wódki w tzw. małpkach, czyli butelkach o pojemności poniżej 100 ml; przymusowa edukacja antyalkoholowa funkcjonariuszy publicznych pełniących funkcje z wyboru (prezydenta RP, prezydentów i burmistrzów miast, wójtów, radnych, senatorów i posłów); wprowadzenie w szkołach obowiązkowych lekcji o szkodliwości picia alkoholu; wprowadzenie zakrojonych na szeroką skalę antyalkoholowych kampanii medialnych; wprowadzenie surowych kar za łamanie zakazów i ograniczeń.

W kwietniu 2019 r. zorganizowano w Sejmie konferencję „Odpowiedzialność parlamentarzystów i władzy za trzeźwość Narodu. Wdrażanie Narodowego Programu Trzeźwości". Patronat nad imprezą objął marszałek Sejmu, choć nie pojawił się na konferencji. „Można śmiało stwierdzić, że trzeźwość stanowi jeden z fundamentów życia osobistego, rodzinnego i narodowego. Oznacza bowiem wewnętrzną i zewnętrzną

Większość mieszkańców stolicy popiera wprowadzenie nocnego ograniczenia sprzedaży alkoholu.

KRAKOWSKIE DNI ŚWIECKOŚCI

Tegoroczne Dni Świeckości, których patronem jest „Przegląd", zdominuje tematyka utraconego bądź w polskim przypadku nieprzebytego „Oświecenia". Gdzie jesteśmy dzisiaj, u progu drugiej ćwierci XXI w.? Jakie miejsce zajmuje i jaką rolę odgrywa nauka w społeczeństwie? Jak układają się relacje z religią katolicką, która została podniesiona niemal do roli religii państwowej?

Stowarzyszenie Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej

Piątek, 3 października
Pałac Nieśmiertelności, ul. Krakowska 13, I piętro
godz. 17.00
- Nauka i religia. Czy współczesne uniwersytety to właściwe miejsca dla religii i teologii? Czy rolą nauki nie powinno być również obalanie religijnych mitów i dogmatów?

Prof. Krzysztof Dołowy; Artur Nowak

Sobota, 4 października
Lokal Stowarzyszenia Kuźnica, al. Słowackiego 44
godz. 10.30-12.30
- Nauka i społeczeństwo. Jakie są oczekiwania społeczne pod adresem nauki i instytucji naukowych. Jak postrzegana jest rola środowiska naukowego. Czy realizuje ono misję społeczną w sferze upowszechniania wiedzy?

Maciej Podgórski, Fundacja Teraz Nauka; Wojciech Rzehak, nauczyciel Ponury Polonista, scenarzysta filmu „Kler"

godz. 13.00-15.00
- Nauka i polityka. Czy rządzącym potrzebna jest nauka, czy potrafią z niej korzystać, zarządzać nią, stawiać cele i wykorzystywać efekty?

Edwin Bendyk, Fundacja Batorego; Paweł Dybicz, tygodnik „Przegląd"

eprasa.pl e1f36635af

suwerenność, wolność duchową i życie zgodne z najcenniejszymi wartościami. (…) Doprecyzowanie i ulepszenie polskiego prawa, zaangażowanie instytucji państwowych w profilaktykę oraz eliminację uzależnień przynieść może jedynie wymierne korzyści", napisał w liście do uczestników obrad Marek Kuchciński.

Alkoholowi lobbyści

Wydawać by się mogło, że skoro wszyscy są za, to proponowane rozwiązania szybko zostaną wprowadzone w życie. Nadzieje rozwiał Krzysztof Brzózka, prezes Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych.

„Od zawsze próbuję przepchnąć przez Sejm trzy rzeczy: całkowity zakaz reklam alkoholu, ograniczenie sprzedaży w całej Polsce w godz. 22-6 i wprowadzenie ceny minimalnej na alkohol. Z tego pakietu niczego nie udało się załatwić. Za rządów PO Rostowski mi mówił wprost: »Nie, nie, nie, jesteśmy liberałami, a cena minimalna to jest zawracanie głowy«. Arłukowicz to samo: »Butelka wódki za 32 zł? Niech się pan uspokoi i nie wprowadza w Polsce prohibicji«. Jak się zmienił ustrój i nastało PiS, to myślałem, że z nimi będzie łatwiej. Gdzie tam! Opowiadają, że są prospołeczni, że chcą ograniczyć spożycie alkoholu, ale jak przychodzi do głosowań, to wszystko zostaje po staremu. (…) Znałem pisowskiego posła Szynkowskiego vel Sęka, w Poznaniu był kiedyś szefem komisji rozwiązywania problemów alkoholowych. Zaczęliśmy razem działać. Związek Miast Polskich też nas wspierał. Ustawa z ograniczeniami godzin sprzedaży poszła do Sejmu i – nawet nie wiadomo kto, kiedy i jak – została zmasakrowana w komisjach. (…) Strach przed wzięciem się za problem rozpasania alkoholowego jest u nas apolityczny. W każdej partii są posłowie skłonni bronić lobby alkoholowego i rozwodnić każdą regulację", mówił prezes PARPA w rozmowie z portalem Gazeta.pl (kwiecień 2019).

Wywiad wywołał wściekłość w środowisku PiS. Wkrótce minister zdrowia Łukasz Szumowski odwołał Krzysztofa Brzózkę ze stanowiska prezesa PARPA. Jak donosiły media, Brzózka był już od jakiegoś czasu szykowany do odstrzału, a to dlatego, że swoimi publicznymi wystąpieniami podpadł lobby alkoholowemu.

„Głośno mówiłem o tym, że w Sejmie rządzą lobbyści. Bo jeżeli za pieniądze ze sprzedaży alkoholu robi się konferencję dla młodzieży, o tym, że przemysł alkoholowy jest skuteczniejszy od edukacji w Polsce, to jest to oczywiste. Mam świadomość tego, jakim przeciwnikiem jest przemysł alkoholowy", podkreślał odwołany szef PARPA.

Pół litra na rozgrzewkę

Jednym z takich jawnych lobbystów jest Jan Krzysztof Ardanowski, były minister rolnictwa, doradca prezydenta Andrzeja Dudy i poseł PiS. Tuż przed wyborami w 2019 r., aby zdobyć poklask wyborców na wsi, polityk forsował pomysł zalegalizowania produkcji alkoholu w gospodarstwach rolnych; inicjatywa została okrzyknięta prześmiewczo programem Bimber+. Z kolei podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy Ardanowski wywodził, że „polska wódka to nasze dobro narodowe, z 500-letnią tradycją, jest częścią polskiego stołu, naszej kultury, pełnoprawnym produktem naszego rolnictwa" i „powinniśmy być dumni z polskich wyrobów spirytusowych".

To Ardanowski miał wymusić na Jarosławie Kaczyńskim, aby zablokował rządowy pomysł ograniczenia sprzedaży alkoholu w czasie pandemii COVID-19. Restauracje i bary były zamknięte, ale ludzie nie przejmowali się lockdownem, organizując popijawy i spotkania towarzyskie w domach. A chodziło o to, żeby do minimum ograniczyć kontakty międzyludzkie i przenoszenie śmiertelnego wirusa. Podobne rozwiązania wprowadzono w wielu krajach, m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, Niemczech czy Portugalii. Ardanowski ostrzegł prezesa PiS, że utrudniony dostęp do alkoholu może wywołać gniew suwerena, poza tym spadną wpływy z akcyzy do budżetu.

Posłowie PiS szybko zapomnieli o walce z pijaństwem. Narodowy Program Trzeźwości poszedł w odstawkę, a w 2022 r. rząd zlikwidował Państwową Agencję Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, łącząc ją z Krajowym Biurem ds. Przeciwdziałania Narkomanii, i utworzył Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom, które zajmuje się wszelkimi uzależnieniami, w tym od hazardu.

Naród pije na potęgę, alkohol jest powszechnie dostępny i bardzo tani. Statystyczny obywatel (a więc licząc nawet abstynentów, starców, obłożnie chorych i niemowlęta) wypija rocznie średnio ok. 11 litrów spirytusu. Na jeden punkt sprzedaży alkoholu przypada ok. 300 osób. W 2023 r. na alkohol Polacy wydali ok. 65 mld zł, co – jak skrupulatnie wyliczyli statystycy – stanowiło 1,9% PKB kraju. Według szacunków w 2019 r. za przeciętną płacę można było kupić 866 litrów piwa albo 213 półlitrowych butelek wódki, względnie 206 butelek wina. Po pięciu latach było to już 1109 litrów piwa, 251 butelek wódki lub 330 butelek wina.

Rząd mógłby oczywiście ograniczyć sprzedaż alkoholu, podwyższając np. akcyzę, ale prezydent Karol Nawrocki, który szczyci się sprawnością fizyczną szlifowaną na siłowni, zapowiedział ustami swojego ministra, że „nie podpisze żadnej ustawy podwyższającej podatki". Jak powszechnie wiadomo, wódka to towar pierwszej potrzeby, idealny na rozgrzewkę. A po treningu piwo uzupełnia elektrolity i minerały.

Andrzej Sikorski

Statystyczny obywatel wypija rocznie ok. 11 litrów spirytusu. Na jeden punkt sprzedaży alkoholu przypada ok. 300 osób.

eprasa.pl e1f36635af

Czy hałas nas zabija?

Długi kontakt z głośnymi dźwiękami negatywnie wpływa na zdrowie

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Jak długotrwała ekspozycja na hałas wpływa na psychikę człowieka?

– Hałas miejski – nadmierny poziom dźwięków pochodzących głównie z transportu, działalności przemysłowej i społecznej w miastach – obok zanieczyszczeń powietrza jest jednym z głównych czynników środowiskowych negatywnie oddziałujących na nasz rozwój i zdrowie. Zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Dane Europejskiej Agencji Środowiska pokazują, że ponad 20% populacji Unii Europejskiej jest narażone na długotrwały hałas transportowy przekraczający poziom uznawany przez WHO za szkodliwy, 55 dB Lden (Lden, day-evening-night noise level, oznacza poziom hałasu w ciągu całej doby – przyp. red.).

Czyli nie chodzi wyłącznie o utratę słuchu?

– Według badań długotrwała ekspozycja na hałas miejski zwiększa ryzyko nadciśnienia tętniczego, chorób sercowo-naczyniowych oraz zaburzeń snu, które wtórnie prowadzą do obniżenia ogólnej kondycji zdrowotnej. Warto dodać, że nawet niskie poziomy hałasu nocnego (większe lub równe 40 dB) nasilają fragmentację snu, obniżają jakość regeneracji i sprzyjają zmęczeniu psychicznemu. Hałas oddziałuje również na zdrowie psychiczne. Podnosi poziom stresu i drażliwości oraz zwiększa ryzyko zaburzeń nastroju, w tym depresji i lęku. Mechanizmem leżącym u podstaw tych efektów jest m.in. aktywacja osi podwzgórze-przysadka-nadnercza i zwiększone wydzielanie kortyzolu. W dłuższej perspektywie może to prowadzić do wyczerpania zasobów psychicznych i somatycznych organizmu.

DR DOROTA KALKA

– psycholożka, seksuolożka, kierowniczka Zakładu Psychologii Wspomagania Rozwoju na Uniwersytecie SWPS w Sopocie.
Dr Dorota Kalka zajmuje się psychologią wspomagania rozwoju człowieka z uwzględnieniem obszaru zdrowia, w tym psychoseksualnego, a także psychologią kliniczną dzieci i młodzieży. Interesuje się jakością życia dzieci z zaburzeniami rozwojowymi, bada czynniki istotne dla dobrostanu człowieka. Jest współautorką kilkunastu metod diagnostycznych stosowanych w poradniach psychologiczno-pedagogicznych w całej Polsce.

Gdy długo siedzę w głośnym miejscu, czuję irytację.

– Tak może być w wyniku przebywania w głośnym miejscu. Szczególnie istotnym skutkiem ekspozycji na hałas jest zjawisko tzw. irytacji hałasowej (noise annoyance), które wiąże się z poczuciem stałego przeciążenia bodźcami i ograniczoną możliwością regeneracji. Prowadzi ono do obniżenia jakości życia, pogorszenia samopoczucia oraz trudności w funkcjonowaniu poznawczym. Badania populacyjne wskazują, że mieszkańcy obszarów o wysokim natężeniu hałasu transportowego częściej zgłaszają bezsenność, przewlekłe zmęczenie, problemy z koncentracją oraz podwyższony poziom lęku. Ponadto zarówno dzieci, jak i dorośli narażeni na hałas miejski osiągają gorsze wyniki w testach poznawczych. Sugeruje to jego negatywny wpływ na zdolność do koncentracji, pamięć roboczą i ogólną zdolność uczenia się.

Jak hałas wpływa na rozwój dziecka, powiedzmy mieszkającego w dużym ośrodku miejskim powyżej 100 tys. mieszkańców?

– Dzieci dorastające w takich miastach jak Gdańsk, Warszawa czy Wrocław codziennie stykają się z podwyższonym poziomem hałasu. Źródłem są głównie ruch uliczny, komunikacja publiczna, a także liczne budowy. Dźwięki te mogą się wydawać elementem naturalnego pejzażu miasta, jednak badania jasno pokazują, że mają one poważne konsekwencje dla zdrowia i rozwoju najmłodszych. Hałas ma wielowymiarowy, negatywny wpływ na rozwój dzieci – są one szczególnie wrażliwą grupą w porównaniu z dorosłymi, ponieważ ich układ nerwowy znajduje się w fazie intensywnego rozwoju, a zdolności adaptacyjne są ograniczone.

eprasa.pl e1f36635af

Czyli dzieci potrzebują do prawidłowego rozwoju ciszy?

– Uważam, że dla rozwoju istotne jest to, co umiarkowane, dzieci potrzebują różnorodności, ale ciągłe przebywanie w hałasie nie sprzyja rozwojowi. Hałas maskuje sygnały mowy, co utrudnia dzieciom rozwój fonologiczny i percepcję językową, prowadząc do opóźnień w rozwoju językowym. Badanie przeprowadzone na grupie dzieci w wieku od 22 do 30 miesięcy wykazało, że jedynie te, które przebywały w cichym otoczeniu, bez rozmów w tle, efektywnie zapamiętywały nowe słowa. U dzieci hałas wywołuje reakcję stresową – podnosi poziom kortyzolu i adrenaliny. Konsekwencje to chroniczne zmęczenie, problemy ze snem oraz obniżenie koncentracji. Co w praktyce oznacza trudności w nauce, gorsze samopoczucie psychiczne i większą podatność na rozdrażnienie.

Na lekcjach w szkole jest cisza.

– I tutaj mamy paradoks, bo hałas w szkołach okazuje się szczególnie niebezpieczny. Na lekcjach z założenia panuje cisza, która jednak ustępuje hałasowi w czasie przerw. Badania wykazały, że nie sam średni poziom hałasu, lecz jego zmienność i nagłe skoki mają najgorszy wpływ na rozwój poznawczy – pamięć roboczą, uwagę i zdolność uczenia się. Dzieci uczęszczające do szkół przy ruchliwych trasach rozwijają się pod tym względem wolniej niż ich rówieśnicy uczący się w cichszym otoczeniu. W konsekwencji dzieci mieszkające w głośnym środowisku miejskim mają trudniejszy start edukacyjny i większe ryzyko problemów zdrowotnych.

Fotele z wysokimi odgradzającymi oparciami w razie potrzeby pomagają się odseparować od innych.

Czy hałas na przerwach może również wpływać na poziom skupienia u ucznia?

– Choć przerwy między lekcjami pełnią ważną funkcję regeneracyjną, ich przebieg nie zawsze sprzyja koncentracji. Wysoki poziom hałasu na korytarzach szkolnych może znacząco zmniejszać zdolność uczniów do skupienia się po powrocie do klasy. Głośne rozmowy, bieganie czy dźwięki dzwonka powodują przeciążenie układu nerwowego, co utrudnia szybkie przestawienie się z trybu zabawy na tryb pracy. Szczególnie dotkliwie odczuwają to dzieci bardziej wrażliwe sensorycznie oraz uczniowie z trudnościami w koncentracji, u których powrót do stanu uwagi wymaga dodatkowego czasu. Dlatego coraz częściej podkreśla się znaczenie tworzenia tzw. cichych stref w szkołach czy organizowania spokojniejszych aktywności podczas przerw. Takie rozwiązania pozwalają zachować równowagę między naturalną potrzebą odpoczynku a warunkami sprzyjającymi efektywnemu uczeniu się.

Coraz częściej podkreśla się znaczenie cichych stref w szkołach czy potrzebę spokojniejszych aktywności na przerwach.

Kto jest dziś najbardziej zagrożony długotrwałym hałasem?

– Na skutki hałasu miejskiego narażony jest człowiek w każdym wieku – dzieci, nastolatki, dorośli, zwłaszcza pracujący w hałasie, seniorzy. Większość młodzieży, jak wspomniałam, regularnie doświadcza ponadto ekspozycji na hałas w środowisku szkolnym.

A co ze słuchaniem muzyki w celach relaksacyjnych?

– Ekspozycja na hałas rekreacyjny, np. głośną muzykę przez słuchawki, może się wiązać dodatkowo z pogorszeniem funkcji słuchowych. Istotnym skutkiem jest także wzrost ryzyka problemów psychicznych – nastolatki narażone na długotrwały hałas częściej doświadczają objawów depresji, lęku i przewlekłego stresu.

Mówiliśmy już o dzieciach i nastolatkach. A co z osobami starszymi?

– Osoby starsze stanowią grupę szczególnie narażoną na negatywne skutki hałasu środowiskowego. Z wiekiem organizm się osłabia, co czyni seniorów bardziej podatnymi na stresory środowiskowe, w tym nadmierne natężenie dźwięku. Długotrwałe przebywanie w hałasie wiąże się ze zwiększonym ryzykiem zaburzeń poznawczych oraz demencji. Badania wskazują, że długotrwała ekspozycja na hałas komunikacyjny zwiększa ryzyko łagodnych zaburzeń poznawczych o 36% , a także choroby Alzheimera o 30% w populacji osób powyżej 65. roku życia. Hałas drogowy oddziałuje też negatywnie na funkcje wykonawcze – zdolność

FOT. SWPS, URZĄD MIASTA ST. WARSZAWY

eprasa.pl e1f36635af

do kategoryzowania czy płynność słowną. Dodatkowo osoby starsze z demencją wykazują szczególną nadwrażliwość na otoczenie akustyczne – hałas może u nich prowadzić do pobudzenia, dezorientacji, zaburzeń komunikacyjnych oraz wzrostu poziomu stresu.

Wraz z wiekiem potrzeba ciszy jest większa?

– U seniorów poziom hałasu tła przekraczający 50 dB(A) (wartość z literą A, od krzywej korekcyjnej A, oznacza dźwięk skorygowany o wrażliwość ludzkiego ucha – przyp. red.) znacząco obniża zrozumiałość mowy i komfort przebywania w środowisku społecznym. Istnieje ponadto związek między hałasem komunikacyjnym a zwiększoną częstością występowania objawów depresyjnych i lękowych u osób starszych. Niedosłuch – powszechny w starszym wieku – dodatkowo potęguje podatność na skutki hałasu i wiąże się z kilkukrotnie wyższym ryzykiem rozwoju depresji.

Szczególnie istotnym problemem jest zaburzony sen – u osób starszych naturalnie skraca się faza snu głębokiego, a hałas dodatkowo pogarsza jego jakość, co przekłada się na pogorszenie regeneracji organizmu. Także kobiety w ciąży stanowią jedną z grup szczególnie wrażliwych na oddziaływanie hałasu środowiskowego.

Jak to?

– Badania wskazują, że przewlekła ekspozycja na hałas komunikacyjny, zwłaszcza przekraczający poziom 65 dB, może się wiązać z większym ryzykiem wystąpienia powikłań ciążowych, takich jak nadciśnienie ciążowe czy stany przedrzucawkowe. Hałas działa stresogennie, prowadząc do aktywacji wspomnianej osi podwzgórze-przysadka-nadnercza oraz wzrostu poziomu kortyzolu, co może negatywnie wpływać na rozwój płodu. Badania sugerują ponadto, że wysoki poziom hałasu w miejscu zamieszkania zwiększa ryzyko niskiej masy urodzeniowej i wcześniactwa.

Mieszkańcy obszarów o wysokim natężeniu hałasu transportowego częściej zgłaszają bezsenność i podwyższony poziom lęku.

Czy można jakoś rozładować stres wynikający z hałasu?

– Całkowite wyeliminowanie hałasu w codziennym życiu jest niemożliwe, ale są skuteczne sposoby na ograniczenie jego negatywnego wpływu. Jednym z najprostszych jest wprowadzenie krótkich chwil ciszy – zamknięcie oczu, skupienie się na spokojnym oddechu czy krótka medytacja pozwalają układowi nerwowemu szybciej się zregenerować. Dobrym wsparciem mogą być spacery na świeżym powietrzu, zwłaszcza w parkach czy w lesie, gdzie naturalne dźwięki przyrody pomagają obniżyć poziom napięcia. Coraz większą popularność zdobywają również techniki mindfulness, które uczą świadomego kierowania uwagi i redukowania stresu.

Nie zawsze jednak można wyjść do lasu, np. jeśli siedzimy w biurze.

– W miejscach pracy czy nauki warto korzystać z rozwiązań praktycznych: ochronników słuchu, słuchawek wygłuszających lub muzyki relaksacyjnej, która maskuje hałas i pomaga odzyskać koncentrację. Z kolei w domu pomocne jest tworzenie oaz ciszy – przestrzeni bez włączonej elektroniki, w których można się wyciszyć i odpocząć. Regularne stosowanie takich strategii sprawia, że organizm łatwiej sobie radzi z nadmiarem bodźców akustycznych.

Jak zadbać o dobrostan psychiczny, żyjąc w hałaśliwych warunkach?

– Hałas jest znakiem naszych czasów – towarzyszy nam niemal wszędzie, od ulicy po dom. Nie mamy pełnej kontroli nad otoczeniem, ale możemy decydować, jak o siebie zadbamy. Wymienione sposoby redukcji stresu są zarazem sposobami dbania o swój dobrostan. Chwila ciszy, spacer wśród drzew czy świadome odłączenie się od zbędnych bodźców to drobne działania, ale mają ogromne znaczenie. Warto je traktować nie jako luksus, lecz codzienną praktykę – inwestycję w spokój, zdrowie i równowagę wewnętrzną.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

NAGRODY IM. NORWIDA – LAUREAT W PRACY

24 września, w rocznicę urodzin Cypriana Kamila Norwida, rozdano noszące jego imię nagrody Samorządu Województwa Mazowieckiego. Przyznawane są artystom w czterech kategoriach: literatura, plastyka, muzyka i teatr, a od 2012 r. także w kategorii dzieło życia.

W tym roku laury trafiły w ręce Justyny Sobolewskiej za książkę „Jadwiga. Opowieść o Stańczakowej", wirtuozki klawesynu Małgorzaty Sarbak, ilustratora, malarza i scenografa Józefa Wilkonia oraz aktorki Agnieszki Przepiórskiej za monodram „Ocalone". Wszyscy nominowani i nagrodzeni byli obecni na gali w Teatrze Polskim w Warszawie, zabrakło jedynie laureata w kategorii dzieło życia – Jana Englerta. Był w pracy, w Teatrze Polonia grał w spektaklu o jakże wymownym tytule „Żar".

(tm)

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/ EAST NEWS

eprasa.pl e1f36635af

Z Galicji

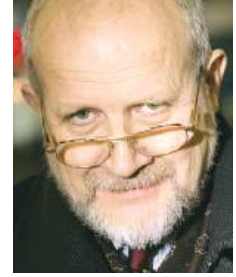

Jan Widacki

Gaudeamus igitur

Już niebawem w ponad 400 uczelniach w Polsce rozpocznie się nowy rok akademicki. W ponad 400 uczelniach publicznych i niepublicznych rozlegnie się hymn „Gaudeamus igitur". W niektórych odśpiewają go chóry, a w innych poleci z taśmy. Nie wiem, w ilu uczelniach słowa będą zrozumiałe dla studentów i… dla kadry naukowej. W ponad 400 uczelniach na inauguracji roku akademickiego pojawią się rektorzy w czerwonych togach z mucetami z gronostajowych futerek (częściej z króliczych udających gronostaje). Ilu z nich wie, co symbolizuje toga, jaka jest jej tradycja? I dlaczego akurat gronostaje? A jakie to ma znaczenie? – mógłby ktoś zapytać. Ano ma. Jeden rektor regionalnej szkoły wyższej do rektorskiej togi nosił zbójnicką czapkę i, jak sądził, w ten sposób manifestował związek uczelni z regionem. Pomieszały się biedakowi dwa porządki: tradycja akademicka i atrybuty stroju zespołu regionalnego. Jeśli można do rektorskiej togi zamiast biretu nosić zbójnicką czapkę, to czy w rejonie uprzemysłowionym berecik z antenką też by można? Albo bardziej nowocześnie – kolorowy kask ochronny? Jeśli nosi się togę, nie znając jej znaczenia i nie przywiązując do niego wagi, to po co ją się nosi? Aby było kolorowo i wesoło? To już błazeńska czapka byłaby bardziej odpowiednia. Byłoby zaiste weselej.

Nowy rok akademicki rozpocznie niemal 1,3 mln studentów. Z tego ok. 40 tys. studentów medycyny. Ktoś powie: to dobrze, Polsce potrzeba lekarzy. Ale czy wszystkie uczelnie kształcące lekarzy dysponują odpowiednią kadrą naukową, zapleczem laboratoryjnym i klinicznym? Czy są w stanie wykształcić prawdziwych lekarzy, takich którym bez strachu można powierzyć opiekę nad zdrowiem swoim i najbliższych? Samorząd lekarski ma wątpliwości i protestuje. Ministerstwo Zdrowia zdaje się też. Ale nowe kierunki lekarskie wyrastają w różnych przedziwnych niepublicznych szkołach wyższych, specjalizujących się dotąd w kosmetologii i bezpieczeństwie narodowym, a poprzednio w stosunkach międzynarodowych, które ostatnio przestały być modne.

Ilu mamy studentów prawa, tego nie wie chyba nikt. Może minister nauki i szkolnictwa wyższego, ale tej wiedzy nie upublicznia. Sztuczna inteligencja podaje, że prawo można studiować na ponad 50 uczelniach. To „ponad" jest dość tajemnicze, może to być liczba od 1 do 80, bo niektóre dane wskazują, że studia prawnicze oferuje aż 130 uczelni! Można prawo studiować na uniwersytetach Jagiellońskim czy Warszawskim, ale równie dobrze w niepublicznej szkole wyższej, która dotąd kształciła ochroniarzy. Jej absolwenci też będą magistrami prawa. Choć tu jest szansa, że poziom ich wiedzy uniemożliwi im zdanie egzaminu na aplikację i przynajmniej na razie nie będą nas sądzić, bronić ani oskarżać. Tyle że narobią bałaganu w administracji i w obrocie gospodarczym.

Nowy rok akademicki rozpocznie także ok. 82 tys. studentów psychologii na ponad 80 (!) uczelniach, z których tylko 16 gwarantuje zdaniem Komitetu Psychologii PAN odpowiedni poziom studiów. No i co? Nic. Wszystko wskazuje na to, że opiekę psychologiczną nad narodem sprawować będzie pięciokrotnie więcej psychologów niedouków niż porządnie wykształconych. Część z tych dyletantów bez trudu wpisze się na listy biegłych sądowych, bo sądy potrzebują biegłych psychologów, a doświadczony psycholog za godzinę psychoterapii zarobi trzykrotnie więcej niż za godzinę opiniowania jako biegły, więc nie chce być biegłym i o wpis na listę nie będzie się ubiegał.

Dziś bardzo łatwo otworzyć niepubliczną uczelnię. Jeszcze łatwiej utworzyć na niej dowolny kierunek studiów. Nie potrzeba do tego odpowiedniej kadry naukowej. Jeszcze niedawno, aby uruchomić kierunek studiów, uczelnia musiała dysponować minimum kadrowym, które stanowiło co najmniej sześcioro specjalistów z danej dziedziny posiadających habilitację. Teraz można nie mieć ani jednego, wszystkie zajęcia mogą być prowadzone przez kadrę zatrudnioną na umowę o dzieło. Poziom zajęć dydaktycznych, w coraz większym zakresie online, nie podlega w zasadzie żadnej zewnętrznej kontroli. Z opinią PAN czy PAU nikt się nie liczy (vide opinia w sprawie kształcenia psychologów) ani o nią nie pyta. Mechanizmy kontrolne będące w gestii Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego czy Polskiej Komisji Akredytacyjnej najwyraźniej nie działają należycie, aby nie powiedzieć, że w ogóle. Nawet nie edukacja stała się towarem, ale dyplom. Z wszystkimi tego konsekwencjami.

Aby nie było wątpliwości, nie mam nic przeciw uczelniom niepublicznym! Wśród 10 najlepszych w rankingu szanghajskim uniwersytetów światowych aż sześć, z Harvardem na czele, jest prywatnych. Dobrze, że w Polsce są uczelnie niepubliczne, ale ich poziom naukowy, jakość oferowanej przez nie dydaktyki, musi być poddany kontroli państwa. Realnej, a nie w dużej mierze fikcyjnej. Zbyt łatwo uzyskuje się zgodę na uruchomienie kierunku studiów i uprawnienia do nadawania stopni naukowych. W efekcie zalewa nas naukowa tandeta. A uczelnie niepubliczne zbyt często oddalają się od ideału Harvardu, zbliżając się niebezpiecznie do modelu Collegium Humanum. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e1f36635af

Lasy Partyjne

Jak Lasy Państwowe stały się państwem w państwie

Marek Józefiak

– To jest taka córka leśniczego – rzucił prof. Jan Szyszko do Mariusza Błaszczaka, wręczając mu kopertę przed posiedzeniem Rady Ministrów. – A to kamera Polsatu. – Minister Błaszczak odwrócił się i pomachał do kamery. Jan Szyszko nie zmieszał się zbytnio, rzucił w stronę dziennikarzy „Uwielbiamy" i kontynuował: – Ona prosiła, żebym panu to przekazał, dobra? Niech pan to przeczyta – prosił minister.

Ta tragikomiczna scenka, która obiegła polskie media w czerwcu 2017 r., uchyliła rąbka tajemnicy, jak za rządów Zjednoczonej Prawicy załatwiało się różne korzyści dla Lasów Państwowych. Kilkadziesiąt sekund nagrania ściągnęło na Szyszkę gromy. Ten szedł w zaparte.

W wywiadzie dla Polskiego Radia na pytanie o to, kim była owa córka leśniczego, odpowiedział: „Córką leśniczego była »Inka« […] i niedawno postawiliśmy jej pomnik". Szyszko wplątał w swoją wpadkę bohaterkę AK zamordowaną po wojnie przez komunistyczną bezpiekę. Tą bezczelną wypowiedzią ściągnął na siebie kolejną falę krytyki, w tym ze środowisk konserwatywnych. Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego stwierdził: „Trudno sobie wyobrazić większe polityczne świństwo niż wycieranie sobie gęby pomordowanymi za Polskę bohaterami dla próby wybielenia sprawy pachnącej na kilometr prymitywną lewizną".

Historia śmierdziała na tyle, że ministra Szyszki wyparli się nawet partyjni koledzy. Minister Błaszczak publicznie zapewnił, że nie otworzył koperty, odesłał ją do Ministerstwa Środowiska i czeka na kontakt drogą formalną. Premier Beata Szydło stwierdziła z kolei, że to był „wypadek przy pracy, który w ogóle nie powinien się zdarzyć". Zapowiedziała, że sprawa zostanie wyjaśniona. Oczywiście nic podobnego się nie wydarzyło.

Kilka dni później, gdy prowadziłem Marsz dla Puszczy w Warszawie, zaintonowałem przyśpiewkę: „Córka leśniczego nie ciełaby niczego". Tłum chętnie ją podchwycił.

Politycy PO złożyli do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Prokurator – według relacji Onetu – zaufany ministra Zbigniewa Ziobry, odmówił wszczęcia postępowania.

„Córka leśniczego" stała się jednym z symboli upadku Lasów Państwowych po roku 2015. Był to czas bezprecedensowego upolitycznienia, nepotyzmu i traktowania LP jak prywatnego folwarku. Jeden z ekspertów z branży mówi:

– Jak rządził Tomaszewski, to myślałem, że gorzej być nie może. Potem przyszedł Konieczny i zacząłem tęsknić za Tomaszewskim. A potem pojawił się Józef K. i zacząłem tęsknić za Koniecznym.

Wraz z nastaniem dobrej zmiany dokonano błyskawicznej wymiany dyrektorów regionalnych. Marek Bodył, redaktor naczelny czasopisma „Drwal", mówi:

– Styl i zakres zmian był bezprecedensowy. O ile wcześniej również dochodziło do zmian kadrowych, to w wielu miejscach utrzymywali się powszechnie szanowani leśnicy o wysokich kompetencjach, których partyjna miotła nigdy nie wymiatała z fotela. Tym razem maksymalnie

eprasa.pl e1f36635af

skorzystano z możliwości, jakie daje ustawa o lasach, powoływania ludzi na stanowiska, a nie wybierania w drodze konkursów.

Anna Malinowska, wieloletnia rzeczniczka Lasów Państwowych, trafiła do LP z konkursu, w 2008 r. Przez 13 lat pracy w dyrekcji generalnej była jedną z niewielu osób, które trafiły tam tą drogą. Jej zdaniem upolitycznienie to jedna z największych bolączek trapiących LP.

– Źli ludzie z politycznymi plecami są w stanie w tym systemie wyrządzić ogromną krzywdę. Jeśli nie mogą zrobić krzywdy tobie osobiście, to będą się mścić na bracie, siostrze albo szwagrze. – Opowiada o wysoko postawionym leśniku, który wrócił na ważne stanowisko po 2015 r.: – Gnębił pracownicę, którą sam zatrudnił za swoich poprzednich rządów w jednej z dyrekcji regionalnych. Wyżywał się na niej, bo nie chciała mu za poprzedniej władzy wynosić dokumentów i donosić na szefostwo. Niebezpieczny człowiek.

Choć była rzeczniczka zastrzega, że wśród ludzi z politycznego nadania zdarzali się też tacy, którzy byli rzetelni i pracowici, to nowy pracownik „polityczny" częściej zwiastował kłopoty.

Wspomina jednego, wyjątkowo trudnego:

– Dostałam kiedyś pracownika, i była to propozycja „nie do odrzucenia", który pod własnym nazwiskiem obrażał na Twitterze posłanki opozycji. Całe szczęście sam odszedł. Mimo to Anna Malinowska powtarza, że największą siłą Lasów są ludzie:

– Nie znam drugiej firmy, w której pracownicy tak utożsamialiby się z miejscem, gdzie pracują – mówi.

Jednak silne utożsamianie się leśników z firmą ma też swoje ciemne strony. Leśnicy są hermetyczną grupą, w której nadal zdarza się źle pojęta solidarność zawodowa. Malinowska wspomina, że nawet w przypadkach ujawnionych w mediach skandali z udziałem pracowników Lasów nie zawsze było oczywiste, że zostaną wobec nich wyciągnięte konsekwencje:

– Nawet w głośnej sprawie żubra, którego zastrzelił nasz pracownik, musiałam tłumaczyć, że takiego pracownika trzeba się pozbyć. Był pewien opór: „Przecież nie ma jeszcze wyroku"… – opowiada.

Leśnicy są hermetyczną grupą, w której nadal zdarza się źle pojęta solidarność zawodowa.

Za PiS zaczęły się błyskawiczne kariery ludzi z partyjnego klucza. Jeden z moich rozmówców stwierdził, że w jego regionie „partyjne legitymacje miała większość nadleśniczych".

– Jeden z nowych dyrektorów regionalnych zaraz po powołaniu udzielił wywiadu prasie leśnej – opowiada Marek Bodył. – Na pytanie o to, jakie ma plany, bo to trudna dyrekcja, z wieloma konfliktami społecznymi, odpowiedział, że nie ma planów, tylko będzie realizował instrukcje z Warszawy. Co to jest za menedżer?!

Solidarna Polska na bazie leśnej administracji próbowała zbudować swoje struktury partyjne. Wysokie stanowiska zaczęli obejmować ludzie bez odpowiednich kompetencji, dlatego wiele osób zostało zatrudnionych jako „pełniący obowiązki".

Solidarna Polska na bazie leśnej administracji próbowała zbudować swoje struktury partyjne.

Bodaj najbardziej spektakularną karierę zrobił w tym czasie Józef K. Późniejszy dyrektor generalny Lasów Państwowych w 2015 r. miał 57 lat i był leśniczym w nadleśnictwie Brynek w województwie śląskim. Mówiąc oględnie, był już raczej u schyłku kariery i nadal piastował szeregowe stanowisko w Służbie Leśnej. Ludzi na podobnym stanowisku było w kraju koło 6 tys. Awans z podleśniczego na leśniczego zajął mu osiem lat. Nie miał doświadczenia w zarządzaniu ludźmi, całe życie przepracował jako podleśniczy i leśniczy. Aż nagle jego kariera nabrała magicznego rozpędu.

Józef K. zaczął prężnie działać w partii Zbigniewa Ziobry i w 2015 r. zdobył mandat radnego sejmiku województwa śląskiego z listy PiS. W marcu 2017 r. awansował na inżyniera nadzoru w sąsiednim nadleśnictwie Świerklaniec – odtąd zajmował się kontrolą pracy leśniczych. Po zaledwie 10 miesiącach przeskoczył od razu na posadę regionalnego dyrektora Lasów Państwowych w Katowicach, omijając po drodze kilka szczebli kariery. Miał być już wówczas przymierzany na stanowisko szefa całych Lasów, ale najwyraźniej postanowiono jednak nie przeginać.

Józef K. objął stery nad Dyrekcją Generalną LP „dopiero" w kwietniu 2021 r., kilka miesięcy po tym, jak Solidarna Polska przejęła pełną kontrolę nad Lasami. Poprzedni dyrektor z nadania PiS – Andrzej Konieczny – kupił sobie trochę czasu, obsadzając parę ważnych stanowisk ziobrystami, ale ruchy te nie uratowały go przed dymisją. Afera z wykupem leśniczówki za niecałe 10 tys. zł miała służyć za pretekst do wymiany dyrektora. Mimo odwlekania awansu Józef K. i tak przez ponad rok był pełniącym obowiązki dyrektora generalnego, gdyż zapewne nie miał wystarczającego doświadczenia.

Politycy w zielonych mundurach

Wiosną 2023 r. szef Lasów Państwowych Józef K., mając na sobie leśny mundur i stojąc na tle leśników w zielonych mundurach, ogłosił na konferencji prasowej, że leśnicy są gotowi wygrać wielką batalię wyborczą. Mówił: „Myślę, że polska prawica pokaże swoją wielką moc". Chodziło o jesienne wybory parlamentarne. Rubikon upolitycznienia Lasów Państwowych został przekroczony. W trakcie tej samej konferencji doszło też do komicznej wymiany zdań między dziennikarką „Gazety

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e1f36635af

Wyborczej" Justyną Dobrosz-Oracz a szefostwem LP. Józef K. zapytany o wycinkę w Puszczy Karpackiej stwierdził, że to dziennikarka wymyśliła sobie takie pojęcie. Gdy Dobrosz-Oracz zauważyła, że pojęcie Puszcza Karpacka jak wół widnieje w internetowej Encyklopedii Leśnej Lasów Państwowych, rzecznik LP Michał Gzowski stwierdził, że wpis jest nieaktualny, bo „nauka idzie do przodu". Kabaret. Wymiana zdań stała się przyczynkiem do powstania fali publikacji medialnych o Puszczy, a filmik stał się hitem internetu. Na moim profilu na Twitterze klip miał ponad 160 tys. wyświetleń.

Upolitycznienie to jedna z największych bolączek trapiących Lasy Państwowe.

W 2023 r. politycy Suwerennej Polski sięgnęli raz jeszcze po sprawdzony mechanizm obrony LP przed „zamachem" i zebrali podpisy pod „obywatelską" inicjatywą „W obronie polskich lasów". Tym razem w skórę złego wilka, przed którym trzeba chronić lasy, ubrano Unię Europejską i jej plany dotyczące ochrony przyrody. Straszono, że „Unia chce przejąć polskie lasy", przez co Polacy nie będą mogli zbierać grzybów. Przed unijnymi planami przestrzegał sam Jarosław Kaczyński na rodzinnym pikniku latem 2023 r. Michał Woś mówił z kolei: „Nikt lepiej niż polski leśnik [nie] będzie wiedział, jak zarządzać polskimi lasami, a jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, konkurencję, lobby i finanse".

Choć politycy Suwerennej Polski często występowali w zielonych mundurach, już mało kto wierzył, że w tej sprawie chodzi o Lasy Państwowe i samych leśników. Maskarada przestała działać, a media relacjonowały tę kampanię jako działanie polityków, a nie leśników.

Kampania opierała się na kłamstwie – tzw. eurościsła ochrona przyrody, która ma objąć dziesięć procent powierzchni Unii Europejskiej, jest łagodniejszą formą ochrony przyrody niż ochrona ścisła, znana choćby z części polskich parków narodowych. Dla lasów oznacza ona wyłączenie z gospodarki leśnej, ale dopuszcza w lasach zbieranie grzybów czy odbywanie spacerów. Ręcznie sterowana przez polityków akcja była karykaturą obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej. Do nadleśnictw na Dolnym Śląsku spłynęły służbowe sugestie zebrania minimum 500 podpisów w każdym nadleśnictwie. „To tylko po jednej liście na pracownika" – pisał pełniący obowiązki dyrektora RDLP we Wrocławiu. Nie wszyscy leśnicy poddawali się politycznym prikazom, ale i tak partyjne kierownictwo ogłosiło sukces po zaledwie dwóch tygodniach. Zebrano 500 tys. podpisów. Część osób, które podpisały się pod inicjatywą, czuła się potem oszukana – byli przekonani, że podpisują inicjatywę przeciw wycinkom. Wprowadzeni w błąd ludzie zgłaszali się do organizacji ekologicznych i mediów.

Niedoszły park narodowy im. Michała Wosia

W 2022 r. Michał Woś zaczął forsować utworzenie parku narodowego na Śląsku, w pobliżu Raciborza, swojego rodzinnego miasta. Sprawa była kuriozalna. W 2021 r. z okazji smutnej rocznicy 20 lat bez nowego parku narodowego ukazała się mapa autorstwa Piotra Kluba z Dziedzictwa Przyrodniczego, pokazująca rozmieszczenie historycznych projektów parków narodowych, które kurzyły się na półkach w różnych instytucjach ochrony środowiska. Niektóre projekty można by wdrożyć od razu, posiadały bogatą dokumentację i były nawet ujęte w rządowych strategiach. Część okazała się mniej zaawansowana lub w fazie pomysłów, a po innych ślad niemal zaginął, jakby ktoś specjalnie chciał się ich pozbyć – jak w przypadku projektu Mazurskiego Parku Narodowego.

Ze wstępnej analizy wynikało, że tylko na podstawie tych historycznych planów liczba parków narodowych mogłaby się podwoić, a ich powierzchnia potroić. Tym samym doszlusowalibyśmy do europejskiej średniej, czyli ok. 3% terytorium objętego tą najwyższą formą ochrony przyrody.

Na powołanie czekały parki o wybitnych walorach przyrodniczych, takie jak Turnicki na Pogórzu Przemyskim, Park Narodowy Puszczy Bukowej pod Szczecinem czy Puszczy Boreckiej na Mazurach. Na powiększenie czekały też niemal wszystkie istniejące parki – z Białowieskim, Bieszczadzkim i Babiogórskim na czele. W samym województwie śląskim istniały dwa niezrealizowane projekty – utworzenia Jurajskiego Parku Narodowego w północnej części Jury Krakowsko-Częstochowskiej oraz poszerzenia wspomnianego Babiogórskiego Parku Narodowego w Beskidzie Żywieckim. Tymczasem Michał Woś forsował powołanie parku w swoim okręgu wyborczym, gdzie trudno było uzbierać nawet tysiąc hektarów terenów cennych przyrodniczo – czyli spełnić minimum ustawowe dla parku narodowego. Wskazywały na to plany parku, które wyciekły do mediów.

Śląski Park Narodowy miał mieć dwa razy mniejszą powierzchnię od dotychczas najmniejszego Ojcowskiego. Pomysł opierał się na dołączeniu do istniejącego rezerwatu chroniącego staw Łężczok – ważnego miejsca życia ptaków – oddalonego o kilka kilometrów fragmentu lasu. Emerytowany leśnik, który wcześniej zarządzał tymi lasami, nie ukrywał zdziwienia pomysłem i sugerował w rozmowie z „Gazetą Wyborczą", że pilniejsze jest objęcie ochroną Bieszczadów. O dziwo, w tym jednym przypadku Lasy Państwowe nie protestowały przeciwko zamianie lasu w park narodowy. Ale mimo to pomysł wdrożony nie został.

Fragmenty książki Marka Józefiaka *Polska Rzeczpospolita Leśna, czyli jak Lasy Państwowe stały się państwem w państwie*, W.A.B., Warszawa 2025

eprasa.pl e1f36635af

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Wędrując przez Polskę

Już chyba w każdym mieście mamy rondo Żołnierzy Wyklętych. W Krakowie jest ono zarośnięte dorodnymi krzewami – koleżanka mówi, że ukrywa się tam Ostatni Wyklęty. W innych miastach podobne ronda są wystrzyżone na łyso, więc tam na pewno nikt się już nie ukrywa. Ale Wyklęci zagnieździli się też w kościołach. W kościele Mariackim w Złotoryi tablica ku ich czci została opatrzona cytatem z Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Co ma Baczyński do Wyklętych – to może wyjaśnić tylko IPN.

Osaczają nas Wyklęci, lecz osacza nas też Katyń. A raczej Katyń łącznie ze Smoleńskiem. W Trzebnicy pod bazyliką św. Jadwigi Śląskiej wznosi się olbrzymi krzyż z napisem: „Bóg, honor, ojczyzna. Katyń 1940, Smoleńsk 2010”. Ten napis obraża moją pamięć rodzinną. Czyż bowiem mój wuj, Władysław Armata, jedna z tysięcy ofiar Katynia, ma być zrównany z ofiarami katastrofy lotniczej? Tymczasem o innym mym wuju, Stanisławie Dydo, działaczu WiN, rozstrzelanym w roku 1948 we Wrocławiu, wiadomo, że nie prowadził walki z bronią w ręku i że nie chciał być zrównywany z „leśnymi”. Ale cóż, Katyń złączony ze Smoleńskiem – to „polityczne złoto”, a kult Wyklętych stworzono „na pomieszanie dobrego i złego”.

Polska przestrzeń przestała być neutralna, stała się ideologiczna.

Tak kłamliwej propagandy nie widzieliśmy od czasu stalinizmu. Historia również w PRL była służką polityki, ale rządzący, zwłaszcza po roku 1956, jakoś jednak się powściągali. Mieli kompleks władzy niechcianej, narzuconej, niepochodzącej z wyborów, za to cieszącej się poparciem obcego mocarstwa – akurat tego, które zrobiło Katyń. Dlatego, mimo wszelkich serwitutów, starali się utrzymać miarę. Warszawa nigdy nie miała pomnika Lenina! Nie miała nawet ulicy, placu czy parku jego imienia. W całej PRL pomników Lenina było zaledwie kilka, w tym ten najsłynniejszy, gigantyczny, w Nowej Hucie, dłuta Mariana Koniecznego – akurat artystycznie bardzo udany. Dziś – czy można sobie wyobrazić najmniejsze choćby miasteczko bez pomnika Jana Pawła II? W Polsce jest takich pomników 700-800, w Krakowie – 17. Wszystkie są kiczowate, a niektóre okropne.

Porównuję Lenina z Janem Pawłem? Nie, porównuję sytuacje. Bo pomników papieży nigdy u nas nie stawiano. Tylko jeden taki monument, ukazujący Jana XXIII, odsłonięto w roku 1968 we Wrocławiu, i to z inicjatywy władz partyjnych, ku niezadowoleniu Kościoła. Dziś powstające spontanicznie pomniki Jana Pawła II czemu właściwie służą? Mają być świadectwem katolickości naszego kraju? Ależ Polska od czasów średniowiecza nie była wyłącznie katolicka. Mają ukazywać dumę z rodaka? Ależ wielu mamy wielkich rodaków, także świętych Kościoła katolickiego, a nikomu nie sprawiliśmy aż tylu upamiętnień. Więc może chodzi o zasługi w tzw. obaleniu komunizmu? Ależ takich zasług miał więcej Jacek Kuroń, kontestujący system konsekwentnie i cierpiący za to w więzieniach prawie dziesięć lat (nie doczekał się w Polsce pomnika, a jego głaz pamiątkowy w Warszawie już dwukrotnie sprofanowano). Może więc upamiętnienia Jana Pawła II mają być argumentem w polskich sporach o aborcję? Ano z pewnością, choć i tak najważniejsze, że Polacy po prostu potrzebują mitu. Problem w tym, czy ten akurat mit służy całości społeczeństwa.

Pomników Lecha Kaczyńskiego (lub Lecha i Marii Kaczyńskich) też mamy sporo, choć znacznie mniej niż JP2, bo tylko… kilkadziesiąt. Co jednak znaczy, że jest ich więcej niż pomników Józefa Piłsudskiego. I pewnie słuszna jest ta dysproporcja, skoro w podziemiach wawelskich przy olbrzymim, pysznym i ukwieconym sarkofagu Kaczyńskich mała, wąziutka trumna Piłsudskiego wygląda nieledwie jak intruz. Wyklęci zmarginalizowali akowców, a Kaczyński zmarginalizował Piłsudskiego! Przy czym na pomnikach nieszczęsnego prezydenta pojawia się często napis „Profesor Lech Kaczyński”. Jak widać, tu też nie sposób obejść się bez kłamstwa. Lech Kaczyński nie był profesorem.

Do czegośmy doszli, widać najlepiej właśnie w podróży przez Polskę. To, co w Krakowie lub Warszawie jest mimo wszystko jakoś ukryte, przysłonięte ogromem zabudowy, na prowincji bije po oczach. Polska przestrzeń przestała być neutralna, stała się ideologiczna. Polskie dziedzictwo zostało nagięte do wzorca wykutego w IPN. Mijam miasta i wioski, widzę plakaty, oznajmujące, że w wyborach prezydenckich „wygrała Polska”, i zastanawiam się, czy to jest w dalszym ciągu mój kraj. Duszno się robi w Polsce, proszę państwa.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e1f36635af

Wybory w cieniu amunicyjnych sukcesów

Populistyczne hasła w Czechach trafiają na podatny grunt

Chrystian Ślusarczyk

W przededniu wyborów parlamentarnych w Czechach (3-4 października) prowadzi ruch ANO. Partia Andreja Babiša sprzeciwia się inicjatywie amunicyjnej, która wspiera Ukrainę i wzbudza uznanie na świecie.

Czechy – w odróżnieniu od coraz bardziej miotającej się politycznie Słowacji czy Węgier Orbána – od początku wojny w Ukrainie zdecydowanie wspierają Kijów. Stojący na czele koalicji Spolu premier Petr Fiala był jednym z pierwszych europejskich przywódców, którzy odwiedzili Kijów już na początku wojny. Od tego czasu odbywają się spotkania na najwyższym szczeblu, którym towarzyszą gesty wsparcia ze strony Czech.

Rząd w Pradze nie ma problemów z tym, by udowodnić światu, po czyjej jest stronie. Dzięki chwalonej od USA po Japonię tzw. inicjatywie amunicyjnej Czechy zyskały poklask za granicą jako czołowy sojusznik Ukrainy. Warto zaznaczyć – o czym od początku informowana była czeska opinia publiczna – że dla kraju koszty takiego wsparcia są minimalne. Korzyści gospodarczo-podatkowe natomiast ogromne.

Motorem wsparcia amunicyjnego dla Ukrainy były prywatne firmy zbrojeniowe, nieźle sobie radzące, a po inwazji z lutego 2022 r. prosperujące wręcz znakomicie. Czeski prywatny przemysł zbrojeniowy cieszył się nawet większym wzrostem, niż zakładano. Rząd w Pradze promował inicjatywę amunicyjną na arenie międzynarodowej, podkreślając, że Praga jest czołowym dostawcą broni dla Kijowa.

Warto pamiętać, że czeski przemysł zbrojeniowy, zbudowany na potężnej bazie przemysłowej z epoki komunistycznej, po 2020 r., a po 24 lutego 2022 r. w szczególności, odzyskał siłę po burzliwej prywatyzacji z lat 90. Jego rozwój długo hamowała nadszarpnięta reputacja – skandale związane z eksportem broni do stref wojennych i reżimów totalitarnych.

W ramach inicjatywy amunicyjnej Czechy dostarczyły Ukrainie niemal 2 mln sztuk pocisków artyleryjskich. To ponad dwa razy więcej, niż na ubiegłorocznej konferencji bezpieczeństwa w Monachium zapowiadał szef czeskiego państwa. Tym samym prezydent Petr Pavel dotrzymał słowa z nawiązką. I przekonał świat, że przy wsparciu USA, Niemiec i Szwecji uda się wspomóc walczącą Ukrainę pokaźną partią pocisków. Jak informował czeski portal natoaktual.cz, dzięki wsparciu Pragi dysproporcja siły ognia Rosja-Ukraina zmalała z niepokojącego 8-1 do 2-1!

Godnym naśladowania pomysłem Pragi jest uruchamianie fabryk czeskiej broni bezpośrednio w Ukrainie. Przykładem może być rozpoczęcie produkcji spełniających standardy NATO karabinów CZ Bren 2 na licencji firmy Česká zbrojovka a.s. przez ukraiński państwowy koncern zbrojeniowy Ukroboronprom. Z kolei inna znacząca firma, Ukrajinśka Bronetechnika, rozpoczęła produkcję pocisków kaliber 155 na licencji innej czeskiej firmy zbrojeniowej – Czechoslovak Group.

Portfolia produkcyjne dwóch czeskich gigantów: Czechoslovak Group i rozwijającej się w zawrotnym tempie STV Group, były ściśle powiązane z potrzebami obronnymi Ukrainy. Obie firmy koncentrują się na remontach ciężkiego uzbrojenia z czasów sowieckich. We wczesnej fazie konfliktu Czechy szybko odpowiedziały na prośby Ukrainy, przekazując jej sporą część radzieckiego sprzętu z tamtych lat, m.in. czołgów, wyrzutni rakiet i śmigłowców. Ten dobrze znany Ukraińcom sprzęt został przez nich wykorzystany najlepiej, jak tylko się dało. Łączna wartość darowizn Pragi dla Kijowa sięgnęła 300 mln euro. W zamian za aktywne wsparcie walczącej Ukrainy czeska armia otrzymała znaczącą natowską rekompensatę: Waszyngton przekazał nowe amerykańskie śmigłowce, a Berlin kilkanaście niemieckich czołgów. Praga mogła też liczyć na amerykańskie i unijne wsparcie finansowe. Według czeskiego Ministerstwa Obrony łączna wartość rekompensaty wyniosła 1,2 mld euro. Wymiana ta była wyjątkowo opłacalna i dla budżetu państwa, i dla sektora obronnego.

Zarabiają nie tylko dwaj giganci. Znaczne korzyści finansowe odniosło też pięć czeskich firm zbrojeniowych pełniących funkcję pośredników, zarabiając na zaopatrzeniu i transporcie.

Wśród potencjalnych koalicjantów ANO nie brakuje eurosceptyków postulujących referendum na temat dalszego członkostwa Czech w Unii.

eprasa.pl e1f36635af

Miliarder Andrej Babiš zbudował sobie wizerunek przede wszystkim człowieka biznesu.

To, co z sukcesami zadziałało na zewnątrz, nie przekłada się na własne podwórko polityczno-społeczne. Z każdym mijającym po 24 lutego 2022 r. miesiącem opozycja przedstawiała wsparcie zbrojeniowe jako zbyt kosztowne i nieuzasadnione. Przed zaplanowanymi na 3 i 4 października wyborami parlamentarnymi sytuacja u naszych sąsiadów staje się coraz bardziej złożona i upolityczniona. Za nami pięć miesięcy ostrej (jak na warunki czeskie) kampanii. Przekonywanie elektoratu obracało się wokół trzech kluczowych tematów: bezpieczeństwa i wojny w Ukrainie, roli i miejsca Czech w UE oraz bilansu (niejednoznacznego) rządów gabinetu Fiali.

Coraz bardziej populistyczny ruch ANO, który od pewnego już czasu prowadzi w sondażach i ma stworzyć nowy rząd, otwarcie sprzeciwia się inicjatywie amunicyjnej, uważając, że „nasz naród zawsze powinien być na pierwszym miejscu". Jednym z największych przeciwników inicjatywy amunicyjnej jest wiceprzewodniczący ANO Karel Havlíček. O potrzebie pilnej rezygnacji z dozbrajania Ukrainy wypowiedział się na łamach tygodnika „Respekt" i serwisu Novink: „Sytuacja się zmieniła. I dlatego nie powinniśmy kontynuować naszej inicjatywy". Havlíček podkreślił, że Ukraina od jakiegoś czasu szybciej traci swoje terytoria i teraz jedynym racjonalnym wyjściem jest nacisk na negocjacje pokojowe. Taka argumentacja coraz bardziej przemawia do czeskiego wyborcy, co pokazują najnowsze sondaże.

Za październikową zmianą władzy przemawiają także bolesne dla rządu Fiali odpryski tzw. afery bitcoinowej. Choć wielu Czechów nie do końca zdawało sobie sprawę, na czym ona polegała, skandal ten w ostatnich tygodniach mocno trząsł sceną polityczną. Ministerstwo Finansów miało przyjąć sporą darowiznę w kryptowalucie od osoby powiązanej ze światem przestępczym, a następnie błyskawicznie bitcoiny sprzedać. Ten pośpiech – co nie dziwi – wzbudził podejrzenia. Resort oskarżono o brak przejrzystości w działaniach i pranie brudnych pieniędzy (kilkaset milionów koron). Efektem afery bitcoinowej była dymisja ministra sprawiedliwości Pavla Blažka. Jego następczyni Eva Decroix zapowiedziała niezależne śledztwo.

Afera ta, wraz z ogłaszaną rezygnacją z dozbrajania Ukrainy i w połączeniu z tradycyjnym czeskim pacyfizmem, powoduje, że wszystkie pracownie sondażowe wskazują partię ANO jako zdecydowanego wygranego październikowych wyborów. Na populistyczne ugrupowanie gotowych jest zagłosować 32-33% Czechów, a w wypadku zwycięstwa partia Andreja Babiša mogłaby próbować utworzyć rząd samodzielnie lub w porozumieniu z ugrupowaniami o zbliżonych, populistyczno-prawicowych poglądach. Wśród potencjalnych koalicjantów ANO nie brakuje eurosceptyków postulujących przeprowadzenie referendum o dalszym członkostwie w Unii i wcale nie tak nierealnym czexicie…

Jak zauważa Instytut Nowej Europy, rządząca obecnie koalicja Spolu (Obywatelskiej Partii Demokratycznej – ODS, chadeków KDU-ČSL i TOP 09) akcentuje odpowiedzialność, doświadczenie rządowe i proeuropejskość, ale mierzy się z trudnościami komunikacyjnymi oraz kolejnymi skandalami. Może więc liczyć na najwyżej 20-procentowe poparcie. Warto zaznaczyć, że od lat czeskie sondażownie są niezwykle skuteczne, a przedstawianie przez nie prognozy różnią się nieznacznie od realnych wyników. Mimo że dzisiejsza scena polityczna jest wyjątkowo otwarta na nowe ruchy protestu, takie jak Stačilo! (Wystraczy!) czy Motoristé sobě (Zmotoryzowani dla siebie), i mimo że wybory odbędą się w atmosferze rosnącej presji gospodarczej, napięć geopolitycznych i polaryzacji, niespodzianki przy urnach nikt nie przewiduje.

Czeski system polityczny opiera się na proporcjonalnej ordynacji wyborczej do 200-osobowej Izby Poselskiej, przy obowiązujących progach 5% dla partii i 8-11% dla koalicji. W tym roku po raz pierwszy możliwe będzie głosowanie Czechów mieszkających poza granicami kraju.

O tym, czy po wyborach czeska polityka amunicyjna będzie kontynuowana, najprawdopodobniej zadecyduje sam Babiš, miliarder pochodzenia słowackiego, doświadczony polityk, który zbudował sobie wizerunek przede wszystkim człowieka biznesu. I tu pojawia się zasadnicze pytanie: jak człowiek biznesu miałby wprowadzać w życie narrację „naszego narodu"? I to na tle gigantycznych korzyści finansowych z przepływu broni na linii Praga-Kijów. Czy dziwne próby łączenia typowo populistycznych haseł z gospodarczymi sukcesami zbrojeniówki nie doprowadzą do politycznego pata? ■

FOT. DAVID W CERNY/REUTERS/FORUM

eprasa.pl e1f36635af

Uniwersytety na sprzedaż

Sytuacja finansowa francuskich uczelni jest krytyczna. To przestroga dla innych państw wspólnoty europejskiej

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Szkolnictwo wyższe w Europie coraz bardziej ulega presji i logice rynku. Zmniejszający się ustawicznie poziom finansowania ze strony państwa, rosnące deficyty budżetowe uczelni, deregulacja zawodu nauczyciela akademickiego, a także marginalizacja badań naukowych nieprzynoszących bezpośredniego zysku to symptomy wspólnego ogólnoeuropejskiego kryzysu.

Na przykładzie Francji, gdzie w ostatnich latach cięcia objęły budżety dziesiątek uczelni, widać, jak wyraźnie państwo wycofuje się z finansowania szkolnictwa wyższego. Uniwersytety publiczne, jeszcze niedawno powszechnie dostępne, oferujące wysoką jakość nauczania, dziś zmuszone są do ograniczania zajęć, redukcji kadry i szukania prywatnych źródeł dochodu.

Dlaczego tnie się wydatki na szkolnictwo wyższe?

Francja, podobnie jak wiele innych krajów europejskich, zmaga się z narastającym kryzysem finansów publicznych. W obliczu wciąż rosnącego długu publicznego oraz deficytu (Komisja Europejska uruchomiła procedurę, według której Francja musi podjąć kroki w celu zmniejszenia deficytu budżetowego do poziomu 3% PKB) rząd francuski ogłosił w ubiegłym roku cięcia budżetowe szacowane na ok. 10 mld euro, które mają być stopniowo zwiększane. Według oficjalnych informacji dług publiczny Francji to 110% majątku narodowego, a deficyt wynosi ok. 6% PKB.

Jednak zamiast szukać rozwiązań po stronie progresywnych podatków, władze często wybierają ograniczanie wsparcia dla instytucji publicznych. Choć przykład pochodzi znad Sekwany, trend ten nie jest odosobniony. Również w Polsce i w innych państwach Unii Europejskiej obserwujemy podobne napięcia między potrzebą inwestowania w edukację a próbami ograniczania wydatków na nią. To rodzi pytanie, czy Europa nie zapomina dziś o znaczeniu uniwersytetów jako filarów rozwoju społecznego i gospodarczego.

Troska państwa o szkolnictwo wyższe zmniejszała się z roku na rok od początku prezydentury Emmanuela Macrona. Oznacza to sukcesywną redukcję zajęć na uczelniach, trudne

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e1f36635af

Zatwierdzony plan finansowy Sorbony zakłada cięcia w wysokości aż 13 mln euro. To uderza w codzienne funkcjonowanie uczelni i w jej przyszłość.

warunki pracy wykładowców i studentów (w wielu placówkach studenci skarżą się np., że w salach wykładowych latem jest gorąco, a zimą tak zimno, że są często proszeni o przynoszenie koców), a w niektórych przypadkach także realne ryzyko wprowadzenia czesnego. Uczelnie, w tym tak prestiżowe jak Sorbona czy Sciences Po, alarmują o deficytach, zawieszonych projektach badawczych i braku środków na utrzymanie nowych kampusów.

Na temat dramatycznej sytuacji uczelni we Francji alarmuje w szczególności francuska lewica. Deputowany Arthur Delaporte skierował do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i Badań Naukowych interpelację, w której wskazał na rosnący kryzys jednej z najważniejszych instytucji naukowych w Europie, Uniwersytetu Paris 1 Panthéon-Sorbonne.

Choć sprawa dotyczy jednej uczelni, ma wymiar symboliczny i ujawnia głębszy problem, z jakim zmaga się dziś francuskie szkolnictwo wyższe.

W interpelacji czytamy, że decyzje budżetowe podjęte przez poprzedniego rektora Akademii Paryskiej postawiły Sorbonę w dramatycznej sytuacji. Zatwierdzony plan finansowy zakłada cięcia w wysokości aż 13 mln euro. To uderzenie nie tylko w codzienne funkcjonowanie uczelni, ale również w jej przyszłość: napięcia finansowe zaczynają realnie paraliżować działalność dydaktyczną i naukową – już teraz została wstrzymana większość inwestycji.

Tymczasem uczelnia jest aktywnie funkcjonującym ośrodkiem akademickim, w którym kształci się ponad 45 tys. studentów, a cięcia budżetowe oznaczają dla nich np. zmniejszenie liczby godzin wykładowych, co wpływa bezpośrednio na jakość wykształcenia.

Konsekwencje cięć nie ograniczają się wyłącznie do studentów. Dotykają również 1,5 tys. nauczycieli akademickich i badaczy, których praca już teraz odbywa się w trudnych warunkach. Zagraża to nie tylko jakości nauczania, ale także prestiżowi i międzynarodowej konkurencyjności uniwersytetu. We Francji coraz częściej młode pokolenie decyduje się na podjęcie studiów za granicą, wybierając uczelnie oferujące lepsze zaplecze badawcze, wyższy prestiż lub korzystniejsze perspektywy rozwoju zawodowego.

Szczególnie niepokojącym zjawiskiem jest rosnący odpływ kadry naukowej z Francji do Chin. Mimo że kraj ten nadal boryka się z takimi problemami jak cenzura czy ograniczenia ideologiczne, wielu badaczy znad Sekwany podejmuje decyzję o wyjeździe, kierując się względami pragmatycznymi. Przede wszystkim zaś liczą na możliwości prowadzenia pracy naukowej w warunkach gwarantujących stabilność finansową, i dostęp do nowoczesnej infrastruktury. Nie bez znaczenia jest też szacunek dla zawodu naukowca.

Delaporte zadaje w interpelacji pytanie, czy resort zamierza w trybie pilnym zwiększyć budżet uczelni oraz jakie działania zostaną podjęte, by przeciwdziałać pogłębiającemu się kryzysowi odczuwalnemu w całym systemie szkolnictwa wyższego. Bo choć w centrum uwagi znalazła się Sorbona, nie jest ona przypadkiem odosobnionym. Ponad 67 francuskich uczelni przedstawiło w tym roku budżety początkowe z deficytem. Problemy dotknęły także Sciences Po – w dziedzinie nauk politycznych to druga po Harvardzie uczelnia na świecie.

Między prestiżem a ubóstwem

Także system kształcenia doktorantów we Francji uwidacznia wiele problemów, a podobne dotykają naukowców w innych państwach Unii Europejskiej. Nad Sekwaną, aby rozpocząć doktorat, kandydat musi zdobyć finansowanie, co samo w sobie okazuje się bardzo trudne. Ma zatem trzy możliwości:

- tzw. kontrakt doktorski (wynagrodzenie ok. 1,5 tys. euro netto), czyli comiesięczne stypendium od macierzystej uczelni, przyznawane bardzo selektywnie;
- finansowanie zewnętrzne, od podmiotów prywatnych lub publicznych, co uzależnia badania doktoranta od wymogów sponsora;
- tzw. autofinansowanie, co w większości przypadków oznacza brak finansowania, utrzymywanie się albo dzięki pomocy rodziców, albo z pracy dorywczej.

W każdym z trzech przypadków młody naukowiec jest narażony na ubóstwo (poza finansowaniem prywatnym, które jest znacząco wyższe niż publiczne i wynosi niewiele ponad najniższą krajową).

Uczelnie, w tym tak prestiżowe jak Sorbona czy Sciences Po, alarmują o zawieszonych projektach badawczych i braku środków na utrzymanie nowych kampusów.

W tym samym czasie francuski rząd próbuje promować kraj jako miejsce przyjazne dla naukowców z zagranicy. Na początku roku prezydent Macron publicznie zachęcał amerykańskich badaczy do przeniesienia się do Francji, wskazując na jej infrastrukturę badawczą i otwartość.

Tego rodzaju deklaracje wzbudziły kontrowersje zarówno opinii publicznej, jak i opozycji. Jak zauważyli politycy z ugrupowania La France insoumise, ponad 60 z 74 francuskich uniwersytetów działa dziś na deficytowych budżetach, co prowadzi do zwolnień i zastępowania etatowych pracowników doktorantami zatrudnianymi na umowach śmieciowych.

Trudno wobec tego mówić o realnej gotowości do przyjmowania naukowców z USA, którzy są przyzwyczajeni do wielokrotnie wyższych nakładów na badania i znacznie lepszych warunków finansowych. Istnieje także obawa, że ewentualny przypływ naukowców zza oceanu stanie się pretekstem do dalszej komercjalizacji europejskiego

eprasa.pl e1f36635af

szkolnictwa wyższego, co mogłoby jeszcze bardziej zmarginalizować badaczy, którzy nie mają dostępu do prywatnych funduszy.

Warto raz jeszcze podkreślić, że wielu francuskich profesorów, mimo tytułów i doświadczenia, boryka się z brakiem środków na prowadzenie badań. Budżety laboratoriów są coraz bardziej ograniczane, a granty trudne do zdobycia i często uzależnione od priorytetów politycznych lub interesów sponsorów zewnętrznych. Zdarza się, że badacze zmuszeni są finansować część projektów z własnej kieszeni: opłacać wyjazdy, sprzęt czy publikacje. Dla wielu oznacza to konieczność rezygnacji z bardziej ambitnych projektów, co nie tylko obniża jakość badań, ale i prowadzi do narastającej frustracji kadry akademickiej.

Aby rozpocząć doktorat, kandydat musi zdobyć finansowanie, co samo w sobie jest bardzo trudne.

Ideologizacja akademii

Prezydent Macron konsekwentnie przedstawia się jako obrońca wolności akademickiej. Tymczasem polityka jego rządu uczyniła z uniwersytetów wspólnego wroga, traktując je jako rzekome siedlisko „islamo-lewactwa" i „wokeizmu". Była minister nauki i szkolnictwa wyższego Frédérique Vidal wyszła nawet z propozycją wszczęcia dochodzenia w sprawie obecności tych zjawisk na uczelniach, co w praktyce oznaczało zagrożenie dla wolności słowa i zasady neutralności instytucji akademickich.

W tym kontekście szczególnie znamienna jest decyzja o odebraniu regionalnego finansowania uczelni Sciences Po, czego powodem były studenckie protesty propalestyńskie. Było to posunięcie o wyraźnie politycznym charakterze – wywołało wiele dyskusji zarówno w środowisku naukowym, jak i wśród opinii publicznej.

Warto pochylić się nad samym konstruktem retorycznym używanym przez władze. Określenie „islamo-lewactwo" stanowi nie tylko ideologiczny oksymoron, ale również narzędzie delegitymizacji ważnych nurtów badawczych, takich jak studia postkolonialne czy teoria krytyczna.

Rządzący nie wahają się sięgać po najbardziej abstrakcyjne i upraszczające etykiety, byle tylko utrzymać polityczne status quo i znaleźć pretekst do dalszych oszczędności w tym w sektorze. W rezultacie uczelnie, zamiast być przestrzenią swobodnej debaty i rozwoju myśli, stają się celem politycznych ataków oraz ideologicznych rozliczeń.

Prywatyzacja czy dzika liberalizacja?

Kryzys w szkolnictwie wyższym sprzyja rosnącemu udziałowi sektora prywatnego zarówno w finansowaniu badań, jak i w rozwoju prywatnych uczelni. Proces ten nasilił się po wprowadzeniu w 2007 r. ustawy o autonomii uniwersytetów, która przekazała instytucjom odpowiedzialność za własne budżety, wcześniej finansowane bezpośrednio przez państwo. Jednocześnie zwiększyła się kontrola nad systemem rekrutacji, co w praktyce wpłynęło na ograniczenie swobody wyboru przez kandydatów.

Przykładem jest platforma Parcoursup, czyli narzędzie, przez które przechodzi każdy student starający się o miejsce na studiach licencjackich i magisterskich. Algorytm tej platformy ma za zadanie równoważyć nabór między uczelniami publicznymi i prywatnymi, co w praktyce zmienia zasady rekrutacji i zwiększa wpływ centralnych instytucji na kształt szkolnictwa wyższego.

Jak podkreśla prof. Étienne Boisserie, dyrektor Ośrodka Badań Europy i Eurazji oraz pełnomocnik ds. rzetelności naukowej paryskiego Narodowego Instytutu Języków i Kultur Orientalnych (INALCO), „szkolnictwo wyższe staje się rynkiem, na którym spierają się dwa podmioty: publiczny, który uległ osłabieniu, oraz prywatny, któremu państwo przekazało wszystkie narzędzia niezbędne do rozwoju".

Warto podkreślić, że obecność podmiotów prywatnych na uczelniach publicznych (szczególnie w kontekście finansowania badań) nijak się ma do rozwoju i utrzymania tychże. Podmioty prywatne wspierają wyłącznie te inicjatywy (konferencje itp.) czy prace badawcze, które przyniosą im zysk w przyszłości, natomiast całe wydatki związane z codziennym funkcjonowaniem muszą być zapewnione przez uniwersytet, któremu drastycznie brakuje środków.

Prof. Étienne Boisserie zwraca uwagę na postępujący spadek realnych wynagrodzeń nauczycieli akademickich, których pensje – przy rosnących kosztach życia – nie nadążają za inflacją. Na domiar złego ograniczenie liczby zajęć dydaktycznych na studiach przełożyło się bezpośrednio na obniżenie wynagrodzeń kadry akademickiej – w niektórych przypadkach nawet o 8%. Nie zastępuje się także profesorów, którzy odchodzą na emeryturę, tylko zatrudnia się doktorantów na wspomnianych wyżej śmieciówkach.

Sytuacja francuskich uczelni jest dziś bez wątpienia krytyczna. Ograniczanie finansowania publicznego, które w 2025 r. osiągnęło apogeum, wskazuje, jeśli ten trend się utrzyma, nastąpi niebezpieczny zwrot w stronę pełnej prywatyzacji szkolnictwa wyższego.

Taki scenariusz niesie poważne zagrożenie nie tylko dla równości dostępu do edukacji, ale przede wszystkim dla wolności akademickiej. Jeśli bowiem finansowanie badań zostanie w przeważającej mierze oddane w ręce podmiotów prywatnych, uczelnie stracą niezależność intelektualną i rolę krytycznego obserwatora społecznego. W dłuższej perspektywie może to prowadzić do systemowej cenzury myśli, wykluczania niewygodnych tematów i wypaczenia misji uniwersytetów jako przestrzeni wolnej debaty, innowacji i poszukiwania prawdy.

Sarah Bomba

eprasa.pl e1f36635af

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jestem terrorystą! Mam na to dekret Trumpa

Dokładnie od tygodnia. Od poniedziałku 22 września mogę o sobie mówić (nie wiem, czy sądzić), że decyzją administracyjną amerykańskiego prezydenta o nazwisku Trump (może już Państwo o nim słyszeli) jestem terrorystą. Chociaż to nie dokument imienny ze zdjęciem i odciskami palców (na razie), ale jedynie dekretacja dotycząca większej, acz niedookreślonej grupy.

Otóż ów Trumpowy dekret mówi: „Antifa rekrutuje, szkoli i radykalizuje młodych Amerykanów, by angażowali się w przemoc i tłumienie działalności politycznej, stosuje skomplikowane środki i mechanizmy w celu ochrony tożsamości swoich działaczy i ukrycia źródeł finansowania i działalności, co ma utrudnić egzekwowanie prawa i umożliwić rekrutowanie nowych członków". I dalej: „Osoby powiązane z Antifą i działające w jej imieniu współpracują z innymi organizacjami i podmiotami w celu szerzenia, podżegania i propagowania przemocy politycznej, a także tłumienia wolności słowa. Te zorganizowane działania mające na celu osiągnięcie celów politycznych przez przymus i zastraszanie stanowią krajowy terroryzm. Ze względu na wyżej wymieniony schemat przemocy politycznej mającej na celu tłumienie legalnej działalności politycznej i utrudnianie funkcjonowania państwa prawa niniejszym uznaję Antifę za krajową organizację terrorystyczną".

Byłem co prawda raz w USA, dość dawno, ponad 25 lat temu, ale wówczas nie zajmowałem się działaniami politycznymi na terenie Stanów, chyba że za takie uznać zaspokojenie podczas spaceru po Manhattanie potrzeb fizjologicznych w Trump Tower. Od lat jestem jednak zaangażowany w działania grup antyfaszystowskich w Polsce, wspieram je, identyfikuję się z ich przekazem oraz inicjatywami. To wszystko ewidentnie podchodzi pod szeroki i niejednoznaczny termin Antifa, która poza tym, że jest szerokim, nieformalnym ruchem społecznym o bardzo wielu przejawach i kierunkach zaangażowania, jest też ruchem ponadgranicznym, żeby nie powiedzieć internacjonalistycznym. Ale powiedzmy: to internacjonalistyczny ruch sprzeciwu i niezgody na działania i istnienie grup skrajnie prawicowych, często o jednoznacznych afiliacjach faszystowskich.

Tradycja tego oporu sięga lat 20. i 30. minionego wieku, rodziła się w Niemczech przedhitlerowskich jeszcze oraz we Włoszech Mussoliniego. Antyfaszyści całego świata walczyli od 1936 do 1939 r. w obronie republikańskiej Hiszpanii przeciw faszystowskiemu puczowi gen. Franco. Ci, którzy wtedy zrzucali bomby na Hiszpanię, chwilę później zrzucali je na Polskę i całą Europę. Potem była wielka koalicja antyfaszystowska w czasie II wojny światowej, partyzantki antyfaszystowskie Jugosławii, Grecji, Francji, Włoch, Polski. Pod wpływem zimnej wojny i żelaznej kurtyny antyfaszystowskość przechodziła powoli do sfery pamięci i muzeum. Nie sądzono zresztą wówczas, że hydra faszyzmu podniesie jeszcze swoje czarne łby. Ale tak się stało. Neofaszystowskie ruchy pojawiały się od schyłku lat 60., przez 70. i 80., w całej Europie Zachodniej, idąc ręka w rękę z kapitalistycznym modelem świata wyzysku. Radykalnie lewicowe formacje dawały im odpór, niekiedy prowadząc także walkę zbrojną jak Czerwone Brygady, Action directe czy RAF. Policyjny kapitalizm się wówczas „obronił". Kontrkulturowe lata 80. i 90. stworzyły Antifę, mniej więcej taką, jaką znamy dziś: bogaty, nieredukowalny do jednej wizji, niehierarchiczny, oddolny ruch sprzeciwu antysystemowego, demonstrujący, edukujący, pomagający tym, którym należało pomagać.

Dobrze być w tym terroryzmie.

W kapitalistycznej retoryce oblężonej twierdzy „Antifa" – a tak naprawdę wszystko, co lewicowe – zaczęła odgrywać rolę niewyobrażalnie groźnego potwora. Obecność w polityce kogoś takiego jak Trump i jego fanatyczne, skrajnie prawicowe zaplecze (w tym tzw. milicje – uzbrojone po zęby) uaktywniła tradycję antyfaszystowskiego oporu. Widać, Trumpa zabolało. Obecne wzmożenie, którego owocem jest przywoływany dekret, narodziło się wraz z histeryczną reakcją na zastrzelenie Charliego Kirka, skrajnie prawicowego radykała i aktywisty. Cała prawicowa scena polityczna spod znaku MAGA wie, że winna jest lewica, na liście bestsellerów króluje pojęcie „lewicowej przemocy". Dekret Trumpa jest więc zapisem mokrych snów prezydenta i pretekstem do pacyfikacji najróżniejszych, najdalszych od niego, krytycznych środowisk, grup i działań.

Cóż, „Antifa", czymkolwiek jest i będzie, Trumpa przeżyje, a kto przy okazji oberwie, to będzie dzień po dniu się okazywać. Dobrze być w tym terroryzmie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

epraso.pl e1s3e55a

Bułgarska fabryka wakacji

Kraj o własnej bogatej kulturze i historii stawia atrapy Paryża, żeby ucieszyć masowego klienta

Bojan Stanisławski
Korespondencja z Bułgarii

Polacy szturmują bułgarskie wybrzeże – co roku setki tysięcy wybierają Morze Czarne zamiast Grecji czy Hiszpanii. Masowa turystyka wiąże się jednak z dramatyczną przemianą regionu w przyozdobioną kiczem betonową pustynię tylko dla obcokrajowców.

Bułgaria od dwóch dekad pozostaje jednym z ulubionych kierunków wakacyjnych Polaków. Tanie loty, katalogowe pakiety, obietnica taniego wypoczynku bez komplikacji to, jak widać, oferta znakomita. Ale kryje się za nią także inna historia – dewastacja nadmorskiej przestrzeni, prymitywna turystyka niskiej jakości coraz częściej zamknięta w enklawach, gdzie nie uświadczysz już Bułgara. Nawet w obsłudze pracują głównie Mołdawianie, Ukraińcy, Tadżycy…

Polacy przyjeżdżają nad Morze Czarne na tydzień, w formacie all inclusive – to najpopularniejsza formuła od wielu lat. Niektórzy starają się zostać na dłużej, jakoś się tam zadomowić. Nawet kupują mieszkania, inwestują w apartamenty, próbują się zakotwiczyć w bułgarskim krajobrazie ekonomicznym, społecznym i kulturowym. Wciąż jednak stanowią mniejszość. Z jednej strony, dowodzi to atrakcyjności kraju: klimatu, kuchni, geograficznej bliskości. Z drugiej – odsłania mechanizm nierówności i uderzający w samych Bułgarów bum spekulacyjny na rynku nieruchomości.

Dlaczego Bułgaria stała się dla Polaków tak kuszącym miejscem? Rok 2025 tylko przypieczętował trend, który kształtował się od dawna: Bułgaria jest fabryką masowej turystyki. Do końca sierpnia przyjechało tu prawie 10 mln turystów zagranicznych, o 4% więcej niż w roku poprzednim. Branża chwali się rekordami, ministerstwo turystyki mówi o „najlepszym sezonie w historii", a sektor liczy zyski. Ale równocześnie każdy, kto przejedzie się wzdłuż wybrzeża, niedługiego wszak, zobaczy cenę owego rekordu – totalną betonozę oraz drastyczną degradację krajobrazu i ekosystemów.

Miniatura wieży Eiffla w centrum Złotych Piasków.

Polak – pewny i leniwy

Polacy od lat są jedną z największych grup turystów – ponad 438 tys. przyjazdów w 2023 r. to rekord potwierdzony w kolejnym sezonie. Jeśli chodzi o rok bieżący, dane pojawią się dopiero za kilka miesięcy, jednak można założyć, że będzie to sporo ponad pół miliona ludzi. Polskie biura podróży i tanie linie lotnicze uczyniły z Bułgarii swój priorytetowy kierunek: Warszawa-Burgas, Katowice-Warna, Kraków-Burgas – rotacja co kilka dni, od razu z transferem autokarowym „pod hotel".

Od dawna nie ma tu miejsca na różnorodność, nie mówiąc już o jakiejkolwiek egzotyce. Bułgaria to po prostu tania alternatywa dla Grecji czy Hiszpanii, sprzedawana w katalogach obok Krety czy Majorki. Różnica polega i na tym, że w Bułgarii jest łatwiej i bardziej „swojsko" – animacje prowadzone są w naszym języku, menu w hotelach jest przetłumaczone na polski, a sklepy i bary przygotowane są specjalnie pod oczekiwania turystów z Warszawy, Poznania czy Pomorza.

Lokalny biznes wie, że Polak to klient pewny i leniwy: przyjedzie, zapłaci, ile trzeba, byle podsunąć mu pod nos coś, co uzna za rodzaj ekskluzywnej konsumpcji. Nie będzie też poszukiwał, zostanie w kompleksie, peregrynując z telefonem komórkowym i robiąc sobie zdjęcia przy basenie, w barach, w restauracji, na placu zabaw, przy zejściu na zarezerwowany dla niego sektor na plaży.

eprasa.pl e1f36635af

Beach party w Złotych Piaskach. W ofertach all inclusive zamiast dostępu do morza – chlorowana woda w basenie.

Dwa wzorce, oba negatywne

Jak mówi Rajko Domagarow, właściciel jednego z tysięcy biur, które świadczą podwykonawstwo i zapewniają realizację usług dla zagranicznych agencji turystycznych, w wielu miasteczkach na południowym wybrzeżu Bułgarii dominują dwa wzorce. – Najwięcej polskich turystów, którzy przechodzą przez moje biuro i dla których muszę znaleźć kwaterunek we wskazanym standardzie, to all inclusive: hotel, basen, restauracja, bar. Wydzielony kawałek plaży albo w ogóle brak dostępu do morza – zamiast tego chlorowana woda w basenie pół kilometra od plaży. Całość tak zaprojektowana, żeby nie przypominała Bułgarii – ma wyglądać jak „bezpieczny Zachód". Ma być nowocześnie, może być trochę kiczu. Estetyka właściwie nikogo niemal nie obchodzi. Ważne jest, by było wszystkiego dużo lub żeby dużo opcji było w pakiecie. Poza konsumpcją np. jakieś wyglądające na duże zniżki na wejścia do klubów czy wycieczki – podsumowuje. – Drugi model zaś to model imprezowy. Słoneczny Brzeg i Złote Piaski. Dyskoteki, kluby, drinki za grosze, tydzień kompletnego szaleństwa. Tanie, choć teoretycznie nielegalne, narkotyki, używki, prostytucja – uzupełnia.

Polacy od lat są jedną z największych grup turystów w Bułgarii – ponad 438 tys. przyjazdów w 2023 r. to rekord.

W obu przypadkach taki turysta nie ma żadnego kontaktu z krajem, w którym przebywa. Przestrzeń między hotelem a basenem lub tym czy innym słynnym klubem przy plaży to cała Bułgaria, jaką zobaczy. Reszta pozostaje schowana za zasłoną all inclusive lub ustawicznego odurzenia.

Trudno o lepszy symbol tego zjawiska niż miniatura wieży Eiffla w centrum Złotych Piasków, na którą można wjechać windą i zjeść „francuskiego croissanta". To parodia turystyki: kraj o własnej bogatej kulturze i historii stawia atrapy Paryża, żeby usatysfakcjonować masowego klienta o takich właśnie oczekiwaniach. Wokół – plastikowe neony, kicz, kasyna, bary i domy publiczne. Zamiast bułgarskiej kuchni – kebaby, fastfoody stylizowane na zachodnie sieci i pseudofrancuskie kawiarenki.

Segment letniej bułgarskiej turystyki, w którym dominują obcokrajowcy, w tym Polacy, jest po prostu jednym wielkim przykładem konsupcjonizmu, takiego na naszą miarę.

Bułgarzy wywłaszczeni

Nikomu nie przeszkadza, ani w Słonecznym Brzegu, ani w Złotych Piaskach, że w tych kurortach nie spotka się choćby jednego Bułgara. Oni unikają tych miejsc, to przestrzenie przejęte przez cudzoziemców, oderwane od reszty kraju. Jeśli Bułgarzy chcą naprawdę odpocząć, jadą niekiedy do Grecji

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl e1f36635af

albo Turcji, bo tam jest spokojniej i paradoksalnie taniej, jeżeli stronić od ośrodków turystycznych – zostali więc praktycznie wywłaszczeni ze swojego wybrzeża.

Polacy, Niemcy, Brytyjczycy, Skandynawowie, ostatnio także obywatele Izraela – ich jest najwięcej. Wszyscy korzystają z tego samego modelu. Mechanizm jest identyczny i powtarzalny, łatwy do skalowania, gwarantujący pełne obłożenie. Dla branży – czyste złoto. Dla kraju i społeczeństwa – pogłębiająca się degradacja kultury i przestrzeni. To turystyka niskiej jakości, bardzo prosta, oparta na tandecie i odcinająca przyjezdnych od kraju. Polacy jednak odnajdują się w tym formacie wyjątkowo dobrze.

Początki masowej obecności Polaków nad Morzem Czarnym sięgają jeszcze czasów Ludowej Republiki Bułgarii, kiedy państwo to zbudowało od zera całe zaplecze wypoczynkowe – z emblematycznym Słonecznym Brzegiem włącznie. Projekt powstał na piachu i wydmach. W tamtej epoce uchodziło to za wzorcowy przykład racjonalnego planowania przestrzeni wypoczynku – od komunikacji po gospodarkę wodną. Słoneczny Brzeg był kiedyś symbolem rozwoju dziedziny zwanej urbanistyką wypoczynku, w skład której wchodziły przestrzenie między osiedlami, pasy zieleni, porządek zabudowy, standard usług. Dziś jest żywą ilustracją tego, co transformacja potrafi zrobić z przestrzenią: ścisnąć ją do granic, przykryć krzykliwą reklamą, zapełnić przypadkowymi formami hotelowej deweloperki. Dawne symbole – kultowe restauracje, pomosty, charakterystyczne hotele – zostały wchłonięte przez kicz albo po prostu zniknęły. W efekcie Polak ląduje w miejscu, które udaje dowolny zachodni kurort, i dlatego natychmiast „wie, co ma robić": szwedzki stół, leżak, drink, dyskoteka.

Kolejny impuls to wejście tanich linii i rozkwit czarterów w pierwszej dekadzie XXI w. Kiedy Wizz Air i Ryanair zaczęły łączyć polskie lotniska z Warną i Burgas, a touroperatorzy dorzucili pełne pakiety z transferami, Bułgaria z „fajnej ciekawostki" stała się łatwo dostępną rutyną. I ta rutyna trwa: wylot, autokar, hotel, opaska na ręku. Zero wysiłku po stronie turysty, zero ryzyka, ale też zero różnorodności.

Wyższościowe urojenia

Powody są oczywiste: ceny, bliskość, klimat, prostota organizacyjna. Chorwacja i Hiszpania są droższe, a Bułgaria przez lata dawała podobny „produkt" wakacyjny za mniejsze pieniądze. Ale to nie wszystko. Bułgaria dostarcza również pewnego komfortu psychologicznego: przyjeżdżający z Polski czują się tu cywilizacyjnie lepsi. Trudno to przyznać, ale daje o sobie znać w rozmowach, na forach internetowych, w uwagach podsłuchanych przy barze hotelowym. W Bułgarii można bezkarnie uruchomić mentorski ton – pouczyć, pożartować z „zakonserwowanej komuny", wyrazić wyższość moralną i oburzenie na Bułgarów, którzy „kochają ruskich", wyjaśnić, „jak powinno być".

Bułgaria, z bliznami po transformacji, które są znacznie bardziej dolegliwe od polskich, o peryferyjnej pozycji w gospodarce europejskiej, bywa lustrem, w którym Polak chętnie się przejrzy – ale tylko po to, by utwierdzić się w przeświadczeniu, że „u nas jest lepiej" i „wiemy lepiej". Dynamika jest bardzo prosta. Najpierw stereotyp o „zaszłościach komunistycznych", potem doczepia się „rusofilię", a całość przyprawia grymasem na widok dziurawego pobocza czy nieskoszonego skweru przy trasie z lotniska. Tak powstaje swoiste urojenie wyższościowe.

Tłem tego są dosyć poważne różnice bułgarskiej i polskiej pamięci historycznej. Dla Bułgarów wojna rosyjsko-turecka końca XIX w. to mit założycielski nowoczesnej państwowości. Bułgarski pobratymczy stosunek do Rosji zderza się z polską rusofobią. Do tego dochodzi socnostalgia – w Bułgarii całkiem powszechna, nawet w środowiskach nacjonalistycznych, czego Polacy zupełnie nie są w stanie pojąć, więc zadzierają nos jeszcze wyżej. Skutek jest łatwy do przewidzenia. Polacy uchodzą za turystów rozkapryszonych i roszczeniowych: chętnie składają wielostronicowe reklamacje, ostentacyjnie komentują niedociągnięcia, głośno porównują, „jak to jest u nas". Histerycznie reagują na opóźnienia, np. lotów.

Kiedy polski turysta recytuje na plaży dykteryjki o „komunie" i „rusofilii", nie zauważa, że robi to w miejscu, które przez pół wieku zapewniało dostępny wypoczynek setkom tysięcy obywateli, a dziś zostało poddane rynkowemu przypadkowi i maksymalizacji krótkoterminowego zysku. Nie dostrzega, że „gorsza infrastruktura" nie spadła z nieba – to skutek konkretnych decyzji i porażek transformacyjnych, w których Bułgaria musiała się odnaleźć w roli kompletnych peryferii, będąc wcześniej kluczowym państwem Układu Warszawskiego i bloku wschodniego.

Historia polskiej obecności nad Morzem Czarnym to zatem opowieść o wygodzie, o ograniczonych ambicjach, ale i o psychologii społecznej. W efekcie powstał model, w którym Polak przyjeżdża nie tyle do kraju, ile skonsumować usługę, która akurat tam jest w stosownej cenie i otoczce możliwa.

Bojan Stanisławski

eprasa.pl e1f36635af

Polacy rodacy

Maria Janssen

Po polsku i po niemiecku są dwa wyrazy mi obce: rodak i Landsmann. Landsmann to raczej krajan, rodak natomiast to słowo sięgające trzewi, wnętrzności, misterium narodzin i samego porodu. Jest określeniem wykluczającym inne pochodzenie. Landsmann natomiast jest pojęciem na siłę włączającym, akcentującym raczej geograficzną niż etniczną przynależność do danego kraju. Zgodnie z tym Niemcem jest każdy, kto żyje w Niemczech i poddaje się dominacyjnym zapędom tzw. przewodniej kultury niemieckiej (Deutsche Leitkultur), zawłaszczającej inne etnie. Stąd właśnie dawne kategorie Volksdeutsche i Heimkehrer (powracający do domu). Aby należeć do narodu niemieckiego, wystarczy przyjąć niemieckie obywatelstwo i przystosować się kulturowo.

Z rodakami jest zupełnie inaczej. Nie można „zostać" rodakiem. Aby nim być, trzeba się urodzić Polakiem z Matki Polki. W tej kwestii, nieprzypadkowo podobnie jak u Żydów, decyduje głównie linia matrylinearna (mater certa est – matka pewną jest). Nie mówię tu o przypadkach sławnych ludzi, mocą swych niepoślednich zasług „przyswojonych" niejako do narodu polskiego, jak Lelewel, Słowacki, Mickiewicz czy Miłosz, lecz o przeciętnych, niewyróżniających się Polakach, zwykłych zjadaczach chleba. Ich specyficzną cechą i powodem dumy jest przynależność do rzeszy Rodaków.

Rodacy z definicji powinni mieć „wyłącznie" polskie pochodzenie, najlepiej włosy blond i jasną cerę oraz czerpać satysfakcję z narodowych klęsk. Tak zarysowane cechy, pozwalające zaliczyć ludzi do rodaków, budzą jednak wiele wątpliwości. Pierwsze pojawiają się na gruncie archeologicznym – bo np. neolityczna populacja kultury pucharów lejkowatych, która występowała od 5 tys. do 4 tys. lat temu na Kujawach i w Wielkopolsce, wywodziła się od przybyszów z Azji Mniejszej, a ci po osiedleniu się w nowym miejscu nigdzie dalej nie wyruszyli.

Po najeździe Hunów wielu mieszkańców Małopolski odziedziczyło tzw. znamię Dżyngis-chana, które do tej pory występuje niekiedy na skórze noworodków, w miejscu gdzie „plecy tracą swą szlachetną nazwę", i zanika w wieku około trzech lat. Znamię jest znakiem pochodzenia od Dżyngis-chana, który był niespotykanym drapieżnikiem seksualnym.

Wszelkie najazdy i wojny sprawiały, że pojawiało się obce DNA, gwałty w charakterze działań wojennych stosowano bowiem od zarania ludzkości.

Poza tym wskutek prześladowań różnych grup etnicznych lub religijnych (Żydzi), czy też z uwagi na nędzę i klęski głodu, niektóre populacje migrowały na bardziej gościnne i obiecujące ekonomicznie obszary. Do takich należało Królestwo Polski i Litwy, dysponujące mniej zaludnionymi przestrzeniami niż kraje zachodnioeuropejskie i zainteresowane napływem imigrantów. Toteż Korona i Litwa stały się na kilka stuleci celem częstokroć pieszych wędrówek zachodnioeuropejskich „banitów" religijnych i biedaków, niejednokrotnie – jak często Szwabi – ciągnących za sobą wózek z całą skromną chudobą. Taka migracja nasilała się szczególnie w dobie wojen w Europie, np. podczas wojny 30-letniej.

W Wielkopolsce i na Kujawach o protestanckiej imigracji menonickiej świadczą choćby wsie o nazwie Olędry, Olendry czy Holendry, a w Polsce północnej m.in. Gdańsk i Żuławy. Menonici zajmowali się głównie hodowlą bydła.

Krzyżacy byli przede wszystkim zakonem niemieckim, aczkolwiek pewna część rycerzy pochodziła z innych krajów europejskich. To, że w oficjalnej nazwie widniało słowo Orden (zakon), nie oznaczało jednak wcale, że stosowali się do ślubów czystości, tzn. do obowiązku wstrzemięźliwości seksualnej.

Wielokrotne najazdy tatarskie i wojny polsko-tureckie spokrewniły rodaków z tymi bliskowschodnimi nacjami.

Okresem następnego napływu obcego DNA były wojny szwedzkie i północne oraz polsko-rosyjskie konflikty zbrojne. Zabory również nie sprzyjały zachowaniu czystości etnicznej Polaków, podobnie jak napoleońska kampania rosyjska, wskutek której setki tysięcy żołnierzy francuskich przemierzało obszary polskie, pozostawiając na pamiątkę swego szlaku nie tylko słowo kapota od capote (kurtka piechoty francuskiej).

XIX-wieczne pamiętniki arystokratek świadczą o tym, że stosunki Polek z zaborcami polegały nie tylko na patriotycznym odcinaniu się od nich, lecz miewały także romansowy charakter. Należy przypuszczać, że również relacje kobiet z niższych warstw społecznych z rosyjskimi, austriackimi i pruskimi urzędnikami oraz żołnierzami garnizonów niekoniecznie były platoniczne. Sam Bismarck miał m.in. polską kochankę.

> Między bajki należy włożyć opowieści o „rodowitej krwi" rodaków Polaków.

W Polsce międzywojennej żyło wiele mniejszości narodowych, w tym Żydzi, Ukraińcy, Litwini, Niemcy, Rosjanie i Ormianie. Co dziesiąty obywatel przedwojennej RP był Żydem. Sam rachunek prawdopodobieństwa przemawia za tym, że w tych warunkach tylko nieliczni Polacy nie mają domieszki „obcej" krwi. Między bajki należy więc włożyć opowieści o „rodowitej krwi" rodaków Polaków. Niechęć do „obcych", czyli ksenofobia, jest najpewniej reakcją wypierania powyższego faktu. Czyli niechęcią skierowaną wobec samych siebie.

Maria Janssen zajmuje się tłumaczeniami pisemnymi i konferencyjnymi, jest członkinią Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich, pracowała w PAP jako tłumaczka i dziennikarka w Redakcji dla Zagranicy

eprasa.pl e1f36635af

Panda podbija świat

W Chinach panda wielka wspiera lokalny rozwój ekonomiczny

Piotr Parzymies

Nowo narodzona panda wielka przebywająca w inkubatorze w Ośrodku Badań nad Rozrodem Pandy Wielkiej w Chengdu. Obecnie niekiedy udaje się odchować również trojaczki – jedyny taki przypadek miał miejsce w 2014 r. w Chimelong Safari Park w Kantonie.

Ochrona pandy wielkiej w XXI w.

Podczas trzeciego narodowego liczenia pand wielkich w latach 1998-2001 wielkość populacji oszacowano na 1596 dzikich osobników. Jednak jeszcze w połowie lat 90. XX w. biolodzy zajmujący się ochroną przyrody marnie oceniali szanse pandy wielkiej na przetrwanie. Tego typu pesymistyczny nastrój przekazał m.in. George Schaller na łamach znanej książki „The Last Panda" (Ostatnia Panda) z 1994 r. Do 1988 r. największym zagrożeniem dla pand wielkich było niszczenie siedlisk i kłusownictwo, jednak to drugie nie jest już właściwie w ogóle praktykowane, głównie dzięki Ustawie o ochronie dzikich zwierząt z 1988 r. Od połowy lat 90. zaczęliśmy za to notować znaczący wzrost naszej wiedzy na temat biologii i ekologii pandy wielkiej, co daje powody do optymizmu. Optymizm ten utrzymuje się także na początku XXI w. I tak np. w 2010 r. rezerwaty przyrody obejmowały ponad 70% siedlisk odpowiednich dla pand. W przypadku ochrony pandy wielkiej bardzo dobrze sprawdziło się zaangażowanie miejscowej ludności, która monitoruje siedlisko zwierzęcia i dostaje za to wynagrodzenie.

Powierzchnia siedlisk odpowiednich dla pandy wzrosła od 1,39 do 2,58 mln ha w latach 1980-2013, głównie dzięki wysiłkom zmierzającym do ochrony przyrody. Obecnie w Chinach znajduje się 67 rezerwatów pand, w których żyje 1246 osobników (68% z całej populacji pand szacowanej na 1864 osobników). Mimo wszystko w 2013 r. w obrębie zasięgu pand znajdowało się 319 hydroelektrowni, 1339 km dróg, 269 km linii wysokiego napięcia, 984 dzielnice mieszkaniowe i 479 kopalń. Wszystkie tego typu rozbudowy prowadzą do wzrostu fragmentacji siedliska, co stanowi jedno z głównych zagrożeń dla dzikich populacji. Kolejnym jest rozwój turystyki.

Jednak obecnie na terenach zajmowanych przez pandy wielkie najpoważniejszym zagrożeniem jest wypas zwierząt gospodarskich, wprowadzany także przez niektóre programy rządowe. Prowadzi on do spadku jakości siedlisk pandy, a także wypierania samych pand wielkich, co może stać za niedawno zaobserwowanym trendem przenoszenia się tych niedźwiedzi na wyżej położone obszary. Wynika to poniekąd z niezaspokojonych potrzeb miejscowych społeczności, związanych m.in. z niewystarczającą ekokompensacją. Co więcej, niektóre niedawne decyzje chińskiego rządu, np. reforma systemu praw do lasów kolektywnych (…) z 2008 r., poluzowały nieco przepisy odnoszące się do pozyskiwania zasobów z obszarów chronionych, a także wypasu zwierząt gospodarskich na tychże obszarach, co może stanowić dla miejscowej ludności kolejną zachętę do kontynuowania tego typu działalności.

W przyszłości na stan pand wielkich wpłynąć mogą również zmiany klimatyczne, gdyż szacuje się, że w ich następstwie zniknie 6 z 16 gatunków bambusów spotykanych na obszarze siedlisk pand wielkich. Mogą one doprowadzić do 50% spadku powierzchni tychże siedlisk, przez co dolna granica wysokości bezwzględnych, na których występują pandy wielkie, wzrośnie nawet o 500 m.

W 2014 r. przeprowadzono ostatnie dotychczas badania liczebności dzikiej populacji pandy, które po raz kolejny zakrojone były na szeroką skalę (Chiny zainwestowały ponad 60 tys. osobodni w celu przebadania ponad 4 mln ha) i przyczyniły się do polepszenia ochrony zwierzęcia. Wykazały one, że populacja dzikich pand wielkich wynosi 1864 osobniki. Badanie to pokazało, że w porównaniu

eprasa.pl e1f36635af

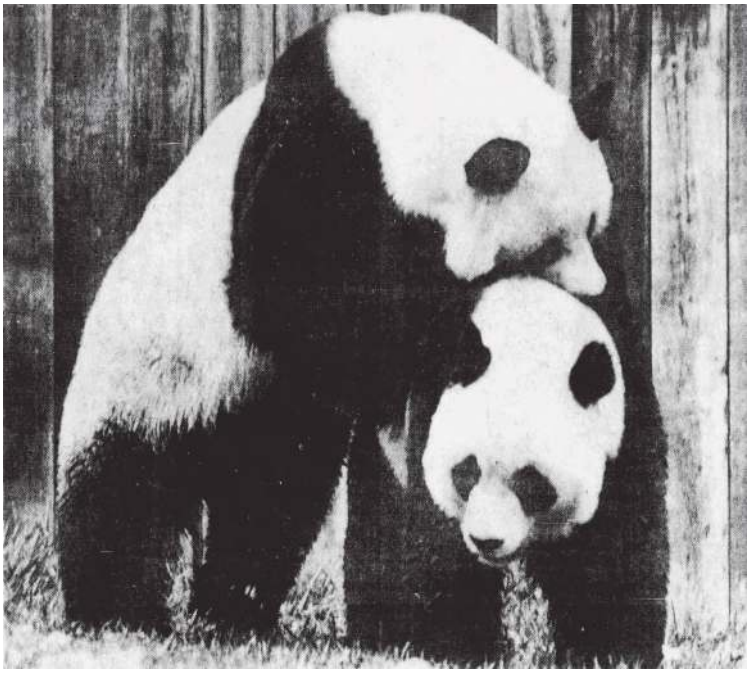

Pandy Ling-Ling i Hsing-Hsing.

z poprzednim liczeniem wzrost populacji dzikich osobników wyniósł 17%, a powiększenie się ich siedlisk – 14%.

Obecnie pandy żyją w 33 subpopulacjach, z czego 18 ma mniej niż 10 osobników. Największa z tych 33 obejmuje za to 400 osobników. Ogólny wzrost w rozmiarach populacji pand dostarcza również powiewu optymizmu, jeśli porównać go z sytuacją dzikiej przyrody na świecie. Szacuje się, że w latach 1970-2014 doszło do 60% spadku ogólnych rozmiarów populacji gatunków na ziemi, a w antropocenie prawie jednej piątej kręgowców zagraża wyginięcie. Stosunkowo niedawno (w 2016 r.) Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody (IUCN) zmieniła status pandy wielkiej z gatunku zagrożonego wyginięciem (Endangered, EN) na gatunek narażony na wyginięcie (Vulnerable, VU), tak samo postąpił chiński rząd. Nie oznacza to jednak, że pandzie w magiczny sposób przestało zagrażać wyginięcie.

W Czerwonej Księdze Gatunków Zagrożonych IUCN kryteria, według których nadaje się dany stopień zagrożenia, są jasno określone i rygorystyczne – należą do nich rozmiary populacji, trendy w liczebności czy zasięg. W przypadku pandy wielkiej obniżenie statusu na „narażony" (Vulnerable, VU) spowodowane było po prostu niedawno odnotowanym wzrostem liczebności osobników dorosłych. Należy jednak zauważyć, że panda stała się praktycznie synonimem pojęcia „zagrożony wyginięciem", natomiast owa zmiana statusu może doprowadzić do mylnego przeświadczenia, że dzikiej populacji nic już nie zagraża. Jest to jednak cały czas zwierzę „zagrożone wyginięciem". Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody za gatunki „zagrożone wyginięciem" (threatened) uznaje mające w Czerwonej Księdze status krytycznie zagrożonych (CR), zagrożonych (EN) i narażonych (VU), które będzie polegało na naszych próbach ochrony.

Być może pandom poświęcane będzie nieco mniej uwagi, ale naukowcy mają nadzieję, że próżnia ta zostanie wypełniona przez inny gatunek. Podczas jednej z ostatnich aktualizacji Czerwonej Księgi Gatunków Zagrożonych stwierdzono, że na każdy gatunek ssaka, któremu obniżono stopień zagrożenia, przypadło aż 10 gatunków, którym ów stopień podniesiono, co pokazuje, że zagrożonych zwierząt niestety nie brakuje. Panda wielka może więc stać się synonimem wezwania do działania i zarazem dowodem, że ratowanie gatunków jest możliwe.

Gdy byłem na rodzinnym obiedzie w Zibo (prowincja Shantung), mieście, z którego pochodzi moja żona, udało mi się dość niespodziewanie zdobyć dane kontaktowe do Diao Kunpenga – chińskiego biologa, dyrektora agencji ochrony przyrody Qingye Ecology, specjalisty od pand wielkich. Skwapliwie z tej okazji skorzystałem, pytając Diao o jego spostrzeżenia dotyczące ochrony pandy wielkiej w Chinach. „Ogólna sytuacja pand jest względnie optymistyczna. Jednak cały czas mamy dużo wyzwań. Najpoważniejszym z nich jest brak chętnych (szczególnie młodych ludzi) do pracy w terenie". Co ciekawe, jak dodaje Diao: „Kolejne badanie liczebności pand wielkich miało zostać przeprowadzone w 2024 r., jednak do niego nie doszło. Obecnie szacuje się, że osobników na wolności jest ponad 1900, a ich liczba zdecydowanie wzrasta".

Park Narodowy Pandy Wielkiej

W 2006 r. UNESCO wpisało siedliska pand (…), zajmujące prawie milion hektarów w górach Qionglai i pobliskich Jiajin, na listę Światowego Dziedzictwa. W ostatnich latach Chiny wprowadziły także kilka zmian prawnych oraz programów mających na celu ochronę zasobów naturalnych. Jednym z takich rozwiązań jest ambitny system obszarów chronionych, pokrywający 17% powierzchni kraju. Ostatnie badania wykazały, że rezerwaty ochrony pand spełniają wreszcie swoją funkcję (czyli nie są już jedynie „parkami na papierze") – działalności takie jak wypas zwierząt gospodarskich, uprawa roli czy górnictwo mają miejsce znacznie rzadziej wewnątrz rezerwatów niż poza

Obecnie w Chinach działa 67 rezerwatów pand, w których żyje 1246 osobników.

eprasa.pl e1f36635af

nimi. Ponadto, co powinno napawać optymizmem, przypadki wycinki drzew stały się zdecydowanie rzadsze na obszarach znajdujących się zarówno na terenie rezerwatów, jak i poza nimi.

W 2013 r. w pobliżu miasta Ya'an miało miejsce kolejne trzęsienie ziemi, w następstwie którego zginęło prawie 200 osób, a ponad 15 tys. zostało rannych. Podczas analizy planu rekonstrukcji obszaru władze Ya'an zasugerowały, aby wybudować park narodowy specjalnie dla pand wielkich. W sierpniu 2017 r. zaakceptowano program pilotażowy dla Parku Narodowego Pandy Wielkiej (…), w ramach którego ponad 80 rezerwatów z Syczuanu, Shaanxi i Gansu zostałoby włączonych do parku narodowego. I faktycznie, Park Narodowy Pandy Wielkiej (…) został otwarty w 2020 r. W jego obrębie występuje co najmniej 3440 znanych gatunków roślin oraz 640 gatunków kręgowców. Jego powierzchnia (27 134 km kw.) jest trzy razy większa niż powierzchnia Parku Narodowego Yellowstone i obejmuje prawie 88% populacji dziko żyjących pand wielkich, a także 22 gatunki chronione klasy I, takie jak rokselana złocista, irbis śnieżny czy pantera mglista.

Jednym z głównych zadań Parku Narodowego Pandy Wielkiej jest zwiększenie łączności między odizolowanymi populacjami, ułatwienie migracji osobników i genów, a także zmniejszenie utraty różnorodności genetycznej wśród subpopulacji. (…)

Park ten jest jednym z 10 pilotażowych parków narodowych zainicjowanych w Chinach i ma ambitny cel ustandaryzowania metod ochrony pandy wielkiej na rozległym obszarze, aby osiągnąć „jeden obszar chroniony o jednej nazwie, jednym prawie i z jedną agencją zarządzania". W niektórych częściach parku wykazano, że obszary chronione doprowadziły do sytuacji „win-win" – ochrony przyrody z jednoczesnym rozwojem gospodarczym miejscowej ludności. Obszary te przyczyniły się do wzrostu aktywności pand, zwiększenia poszycia lasu, rozwoju ekoturystyki, a także wzrostu dochodów rolników. Ponadto nie przyczyniły się do zniszczeń ekologicznych i biedy na obszarach

Basi, jedna z pand uratowanych podczas kwitnięcia bambusa w 1983/1984 r.

znajdujących się poza obszarami chronionymi.

Co ciekawe, w 2020 r. utworzony został „pandzi sąd", który zajmuje się przestępstwami dotyczącymi pand i innych gatunków zamieszkujących Park Narodowy Pandy Wielkiej. W 2021 r. Chiny poszły za ciosem i utworzyły kolejnych pięć parków narodowych, a także poprawiły jakość powietrza w wielu dużych miastach. Co więcej, według danych chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w latach 2015-2020 w Chinach oczyszczono aż 98% zanieczyszczonych zbiorników wodnych.

Reintrodukcja pand wielkich

Kolejnym rozwiązaniem stosowanym przy ochronie pand w XXI w. jest reintrodukcja (czyli ponowne wypuszczenie) osobników na wolność, w czym pomaga niewątpliwie wzrost populacji pand wielkich w niewoli. (Na początku 2024 r. było to 728 osobników).

Pomysł ten pojawił się na początku lat 2000., a wkrótce potem Chiński Ośrodek Badań nad Ochroną Pandy Wielkiej w Wolong zaczął tworzyć konkretne plany. Wybrano w tym celu młodego samca o imieniu Xiang-Xiang, urodzonego w 2001 r., który od 2003 r. przygotowywany był przez pracowników Wolong do życia na wolności. 28 kwietnia 2006 r. odbyła się oficjalna uroczystość wypuszczenia Xiang-Xianga na wolność, jednak już na początku 2007 r. jego nadajnik przestał wysyłać sygnały. 19 lutego 2007 r. znaleziono ciało Xiang-Xianga, który zmarł z niewiadomych przyczyn, walcząc uprzednio z kilkoma innymi samcami.

Dotychczas przynajmniej 10 pand zostało reintrodukowanych na wolność, z czego co najmniej jedna, Luxin, przystąpiła do rozrodu i spłodziła potomstwo. Bardzo znany badacz pand wielkich Fuwen Wei, wraz ze swoimi pracownikami, zaproponował Państwowemu Biuru Leśnictwa (dawniej: Ministerstwo Leśnictwa) dwufazową strategię: pierwszy etap polegałby na przetransportowaniu uratowanych dzikich pand do populacji docelowych, aby zbadać, czy będą w stanie przetrwać, drugi – na wypuszczaniu z niewoli osobników, które przeszły uprzednio odpowiednie przygotowanie. Osobniki powinny być wypuszczane przede wszystkim w małych i odizolowanych populacjach. Poza tym, wypuszczać powinno się głównie samice, które mogą być lepiej przygotowane do reintrodukcji.

W 2022 r. pandy wielkie w Syczuanie pomogły prowincji wygenerować 370 mld juanów dochodów z ekoturystyki.

Priorytetami, jeżeli chodzi o ochronę pand wielkich, powinny być przede wszystkim ochrona siedlisk i ich odbudowa, następnie programy reintrodukcji i budowa korytarzy między populacjami, wreszcie – nasilone monitorowanie i badania naukowe, mające na celu lepsze poznanie pand wielkich i ich zwyczajów. Jak dodaje Diao Kunpeng, chiński biolog, ekspert od pand wielkich: „Reintrodukcja przynosi pewne

eprasa.pl e1f36635af

wyniki, jednak jej koszty są bardzo wysokie. Liczba wypuszczonych na wolność osobników nie jest duża. Pewne problemy, takie jak przeżywalność wypuszczonych osobników oraz trudności z ich rozrodem, nie zostały jeszcze rozwiązane". Co ciekawe, jak przyznaje Diao, planowano również wypuścić osobniki w prowincjach takich jak Jiangxi czy Hubei, gdzie pandy wielkie niegdyś występowały, jednak ostatecznie nie wcielono tego planu w życie. (…)

Gospodarka pand

W Chinach rola pandy wielkiej jest tak znacząca, że stworzono nawet specjalne pojęcie „gospodarki pand" (…), opisujące wykorzystywanie motywu naszej bohaterki do wsparcia lokalnego rozwoju ekonomicznego, co szczególnie widoczne jest w prowincji Syczuan. I tak np. panda He Hua (znana również jako Hua Hua), żyjąca w Ośrodku Badań nad Rozrodem Pandy Wielkiej w Chengdu, doprowadziła do wzrostu uwagi poświęcanej tej instytucji, a także rozwoju turystyki wokół bazy.

W związku z opóźnieniem rozwojowym prawa noga Hua Hua nie jest wystarczająco sprawna, aby zwierzę mogło szybko biegać i wspinać się na drzewa. Panda ta ma wyjątkowo białe futro, a plamki wokół jej oczu mają rzadko spotykany kształt łez. Hua Hua spożywa bambus w bardzo powolnym tempie, przez co inne pandy niekiedy okradają ją z pożywienia. Wszystkie te cechy sprawiają, że cieszy się ona wielką popularnością, a kolejka chętnych, aby zobaczyć Hua Hua, zaczyna tworzyć się już o 7 rano.

Ponadto ośrodek ten współpracuje z firmami, które opracowały produkty z motywem Hua Hua, jak zabawki czy odzież. Podczas święta pierwszomajowego wielu Chińczyków wybiera się właśnie do Chengdu w celu zobaczenia Hua Hua. W 2023 r. w niektórych sklepach w tym czasie obroty wzrosły o 700%. W 2024 r. z okazji 1 Maja Chengdu odwiedziło prawie 20 mln turystów, a zyski wyniosły 15 mld juanów. Jedna z fabryk produkujących lalki pandy wielkiej sprzedała w pierwszym kwartale 2024 r. produkty o wartości przekraczającej 6 mln juanów.

Gospodarka pand obejmuje także inne obszary. I tak niektóre firmy opracowały przyjazne dla pandy wielkiej środki czyszczące, a szkoły uruchomiły kursy ochrony pandy wielkiej skierowane do dzieci. Sam Ośrodek Badań nad Rozrodem Pandy Wielkiej w Chengdu w 2019 r. dostarczył ponad 30 tys. miejsc pracy w zawodach takich jak: hodowcy, weterynarze, ale także przewodnicy wycieczek czy fotografowie. W Chengdu na każdym kroku można spotkać sklepy sprzedające lalki pand, ale i murale z pandami czy opaski z pandami na głowach turystów lub desery w kształcie pand w kawiarniach. W mieście tym można nawet kupić produkty wyprodukowane z… odchodów pandy wielkiej. Podczas uniwersjady w Chengdu maskotką była z kolei panda Rongbao, a w sklepie detalicznym uniwersjady pojawiało się dziennie średnio 10 tys. klientów.

Szacuje się, że wydatek 50 juanów w Ośrodku Badań nad Rozrodem Pandy Wielkiej w Chengdu wiąże się z wydatkiem 1450 juanów na lokalny transport, zakwaterowanie oraz wydatki konsumpcyjne. W 2022 r. pandy wielkie w Syczuanie pomogły prowincji wygenerować 370 mld juanów dochodów z ekoturystyki, czyli prawie jedną czwartą PKB całej prowincji.

Zyski generowane są również przez ośrodki hodowlane pand wielkich, które oferują możliwość opieki nad trzymanymi tam zwierzętami. I tak np. w ośrodku Dujiangyan za 700 juanów (prawie 400 zł) można zaopiekować się przez jeden dzień pandą (czyli m.in. przygotowywać jej pokarm czy czyścić klatki). Co więcej, badania z 2010 r. wykazały, że tzw. usługi ekosystemowe (usługi zapewniane przez dziką przyrodę, mające korzyści dla ludzi) związane z pandą wielką i jej rezerwatami dostarczyły 2,6-6,9 mld dol. Oznacza to, że ich wartość była aż 10-27 razy większa niż koszty ochrony pandy wielkiej! (…) Badania wykazały również, że ekoturystyka z udziałem miejscowych społeczności w Syczuanie doprowadziła do zwiększenia dochodów i dobrostanu domostw, szczególnie tych na wyżej położonych obszarach. Ponadto wpłynęła na podniesienie świadomości potrzeby ochrony przyrody, ale niestety doprowadziła także do wzrostu w liczbie zasobów pozyskiwanych ze środowiska.

Duże zyski finansowe czerpane z produktów związanych z pandą nie są zarezerwowane wyłącznie dla Chin. W Japonii narodziny Xiang Xiang w 2017 r. dostarczyły do 2024 r. zysków szacowanych na 178 mln dol. w ramach tzw. gorączki pand. ■

Jak to możliwe, że zwierzę, które tak bardzo kojarzy się z Chinami, jeszcze 80 lat temu było w Państwie Środka praktycznie nieznane? I w jaki sposób stało się jednym z symboli tego kraju. Wraz z Wydawnictwem Akademickim Dialog zapraszamy do podróży śladami pandy wielkiej w towarzystwie biologa Piotra Parzymiesa, autora książki „Historia pandy wielkiej. Z bambusowego lasu na dyplomatyczne salony", który w przenikliwy sposób łączy wiedzę biologiczną z dogłębną znajomością Chin. Dzięki temu powstała pełna faktów opowieść o życiu i zwyczajach pandy, jak i o jej szczególnej roli w chińskiej kulturze i… dyplomacji.

Książkę można kupić na stronie: wydawnictwodialog.pl.

Więcej informacji: redakcja@wydawnictwodialog.pl, tel. 22 620 87 03.

Czytając tę książkę, pomagasz pandzie. Złotówka z każdego sprzedanego egzemplarza zostanie przekazana Fundacji Rozwoju Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego „PANDA".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl e1f36635af

Wojciech Kuczok

Upadki i upodlenia

Glosa do transferu Benjamina Mendy'ego

Ma dopiero 31 lat, zdobył mistrzostwo świata z reprezentacją Francji, mistrzostwo Francji z Monaco, a potem czterokrotnie mistrzostwo Anglii z Manchesterem City, który wykupił go za niemal 60 mln euro. Lewy obrońca w tym wieku i z takim dorobkiem został właśnie nowym zawodnikiem... Pogoni Szczecin. Choć Ekstraklasa w tym sezonie poszła na rekordowe zakupy, ten transfer trudno nazwać wisienką na torcie. A to dlatego, że do Pogoni przyszedł Benjamin Mendy, piłkarz złamany. Nie kontuzjami, choć tych mu w karierze nie brakowało, łącznie z najcięższym zerwaniem więzadeł w kolanie, ale fałszywymi oskarżeniami, z powodu których trafił do aresztu z groźbą wyroku dożywocia.

Siedem pań utrzymywało, że zaprosiwszy je do swojej posiadłości, Mendy uprawiał z nimi seks niekonsensualny, ergo zgwałcił je. Oskarżenia posypały się jedno po drugim. Jedna z pań chwaliła się wcześniej koleżankom, jak to zabawiała się ze sławnym piłkarzem, druga zapomniała, że sypialniane igraszki z Mendym nagrywali na kamerkę. Sędziowie musieli obejrzeć i przeanalizować sex tape jako dowód, który rozwiał wątpliwości co do charakteru zbliżenia.

Mendy od początku bronił się, twierdząc, że zawsze uprawiał seks za zgodą partnerek, był niewinny, więc nie czuł zagrożenia. Ba, do tego stopnia nie miał świadomości, co mu grozi, że pomylił oznaczenie celi VP (vulnerable prisoner – dla osadzonych szczególnie narażonych na przemoc ze strony innych więźniów) z VIP i cieszył się, że będzie siedział w luksusowych warunkach. Wzmożenie libidalne piłkarzy nie zawsze idzie w parze z rozwojem intelektualnym, przez co stają się łatwymi ofiarami – nie tylko dziewcząt, które ich doją, póki kariera u szczytu, a potem puszczają z torbami, ale także oskarżeń o przemoc seksualną, wobec której z automatu są stosowane środki zaradcze w postaci przedłużanego tymczasowego aresztu.

Uznany za niewinnego Benjamin Mendy opuszcza sąd w Chester, 14 lipca 2023 r.

Benjamin Mendy oczyszczony z zarzutów próbował wrócić do futbolu, grał z umiarkowanym powodzeniem w Lorient, a potem zupełnie bez powodzenia w Zurychu – dzisiaj nie jest nawet cieniem samego siebie sprzed załamania kariery. I choć zdrowotnie nie można go nazwać wrakiem piłkarza, mentalnie wciąż się nie pozbierał. Trudno przypuszczać, by odbudował się sportowo właśnie w Szczecinie, zwłaszcza że nawet nie wiadomo, kto miałby tego dokonać, bo narwany właściciel Pogoni, kanadyjski milioner Alex Haditaghi, dopiero co zwolnił trenera i drużyna jest obecnie prowadzona przez dotychczasowego asystenta. Gdyby Mendy zaczął grać choćby na pół gwizdka, wciągnąłby Ekstraklasę nosem i z miejsca stał się jej największą gwiazdą, ale szefowi Portowców chyba nie o to chodziło.

Sprowadzenie upadłej gwiazdy francuskiego futbolu jest świetnym ruchem marketingowym – nawet jeśli Mendy w ogóle nie wejdzie na boisko, ma takie zasięgi w socjalach, że pół świata dowie się w krótkim czasie o istnieniu Pogoni i może nawet nauczy wymawiać poprawnie nazwę miasta.

Skądinąd gdyby Haditaghi chciał konsekwentnie stworzyć w Szczecinie ratunkowy port postpenitencjarny dla piłkarzy, właśnie wyszedł z paki drugi najbardziej utytułowany piłkarz w historii futbolu. Mistrz świata, mistrz olimpijski, dwukrotny mistrz Ameryki Południowej, trzykrotny zwycięzca Ligi Mistrzów,

eprasa.pl e1f36635af

dwukrotny zwycięzca Ligi Europy, trzykrotny klubowy mistrz świata, sześciokrotny mistrz Hiszpanii, dwukrotny mistrz Francji, mistrz Włoch – a to tylko najważniejsze z 44 trofeów Daniego Alvesa.

To jeden z najlepszych prawych obrońców w historii, to on przed kilkunastu laty ostatecznie poszerzył rolę bocznego defensora do funkcji wahadłowego – w nowoczesnej piłce to już niejako obligatoryjne, masz zaiwaniać na całej długości boiska, mieć żelazne płuca i perfekcyjną technikę dośrodkowań – Alves przez lata swojej kariery spełniał te wymogi w stopniu doskonałym. I byłby sobie jeszcze trochę pograł w piłkę – gdy go zwinęli, miał już 38 lat, ale może w meksykańskim Pumas dałby radę zgarnąć jakiś puchar i utrzymać miano piłkarza z największą liczbą trofeów w historii – przesiedział jednak ponad dwa lata w pierdlu, bo dziewczyna, z którą się bawił na sylwestrowej, ostro zakrapianej imprezie, oskarżyła go o gwałt w toalecie. Stracił żonę, majątek, dobre imię i 839 dni życia pod celą, a teraz został uniewinniony. Czyli jest niewinny, w świetle prawa takie są fakty, oskarżenie uznano za fałszywe.

Inna gwiazda brazylijskiej piłki, Robinho, niegdyś snajper Realu Madryt, w piłkę już sobie może pograć tylko szmacianką na spacerniaku. Z więzienia prędko nie wyjdzie, bo dostał dziewięć lat za udział w zbiorowym gwałcie. Tu akurat dowody były bezlitosne, odnaleziono nagrania rozmów, na których Robinho z koleżkami knuje, jak zastraszyć ofiarę, żeby nie złożyła doniesienia. Chłopięce oblicze Robinha okazało się twarzą bestii.

Jeszcze inny geniusz współczesnego futbolu, Ronaldinho, w zeszłym tygodniu wręczał Złotą Piłkę Ousmane'owi Dembélé, ale ma już za sobą penitencjarny epizod, bo kilka miesięcy w paragwajskim kiciu, a potem pół roku w areszcie domowym za posługiwanie się fałszywym paszportem. A używał go, aby ominąć zakaz wyjazdu z kraju, którym został objęty za przekręty gospodarcze i podatkowe. Sam Dembélé, uhonorowany najbardziej prestiżowym indywidualnym wyróżnieniem w futbolu, też przez lata uchodził za trudnego zawodnika, lekceważącego obowiązki, na domiar złego kontuzjogennego. Jemu akurat się poszczęściło, choć należy do grona piłkarzy ze „słabą głową" i nie jest powiedziane, że na jego drodze żadnych wiraży już nie będzie.

Czas geniuszy futbolowych, którzy przez kilkanaście lat dzielili między sobą Złotą Piłkę, definitywnie minął.

Świat podzielił się na miłośników talentu młodziutkiego Lamine'a Yamala, którzy są obrażeni na gremium przyznające nagrodę, i na tych, którzy uznali wyższość gracza PSG, ale jedno jest pewne – czas geniuszy futbolowych, którzy przez kilkanaście lat dzielili między sobą Złotą Piłkę, niemal nie dopuszczając konkurencji, definitywnie minął. Choć Messi i Ronaldo wciąż grają i wszyscy mamy nadzieję zobaczyć ich na przyszłorocznym mundialu, nie doczekali się następców na miarę swoich talentów. Yamal jest dziś najbliżej wejścia na trwałe na tak kosmiczny poziom, ale na swoje trofeum będzie musiał jeszcze poczekać.

Co do żwawych 40-latków, bohaterem minionego tygodnia okazał się niespodzianie Łukasz Piszczek. Zaprawdę mało kto miał świadomość, że niegdysiejszy gwiazdor Borussii Dortmund i kadry narodowej, człowiek, który zagrał pełne 90 minut w finale Champions League, wciąż jest aktywnym piłkarzem. W roli grającego trenera prowadzi w trzeciej lidze LKS Goczałkowice, swój macierzysty klub, w który od lat inwestuje i w którym stworzył szkółkę piłkarską Borussii.

Wybrałem się do Goczałkowic na pucharowy mecz rezerw tego klubu (grają na szóstym poziomie rozgrywkowym!) z drugoligową Stalą Stalowa Wola i ze zdumieniem obserwowałem, jak 40-latek przez bite dwie godziny zarządza z boiska drużyną i prowadzi ją do zwycięstwa w dogrywce. Chłop nie odstaje kondycyjnie, a mądrością gry i techniką oczywiście przewyższa kolegów – na prowincjonalnym stadioniku z trybunką dla 300 widzów, szumnie nazwanym Areną Panattoni, wciąż można zobaczyć w grze jednego z największych naszych graczy w XXI w. Widać, że Piszczek jest maniakalnym wprost wyznawcą roli bramkarza jako gracza z pola – golkiper LKS nieustannie wybiega w pole, aby odbierać piłki rywalom nawet w połowie boiska, a także – to już prawdziwe kuriozum – niezależnie od wyniku i czasu gry wybiega w pole karne przeciwnika podczas rzutów rożnych. Ze słabiutką Stalą ta goczałkowicka ruletka skończyła się szczęśliwie, ale przy silniejszych rywalach może się okazać zgubna. Tak czy owak, Piszczek wciąż bawi się futbolem w najlepsze, teraz już na poziomie centralnym, w jednej szesnastej Pucharu Polski.

Bohaterem minionego tygodnia okazał się niespodzianie Łukasz Piszczek.

Pierwsza runda PP ominęła naszych europejskich reprezentantów, którzy w minioną środę rozegrali między sobą zaległe mecze i wyszli na idealny remis. Raków podzielił się punktami z Lechem (z nadprogramowym udziałem varu, który nie uznał w tym meczu czterech goli), a Legia z Jagiellonią. Żadna z naszych eksportowych drużyn w tych meczach nie pokazała niczego, co mogłoby przestraszyć zagranicznych przeciwników, mimo to najbliższy czwartek może być jedynym, w którym nasi pucharowicze sięgną po komplet punktów. Wszystkie cztery mecze rozegrają u siebie z ekipami z Rumunii, Malty, Austrii i Turcji – to rywale jak najbardziej do ogrania, choć Rapid do Poznania i Samsunspor do Warszawy jadą zapewne z taką samą myślą. ■

FOT. PETER POWELL/PRESS ASSOCIATION/EAST NEWS

eprasa.pl e1f36635af

Dlaczego śmiecimy w kosmosie?

Wokół naszej planety orbituje 13 tys. ton odpadów

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Media donoszą, że bardzo zanieczyściliśmy okołoziemską przestrzeń kosmiczną. Liczba odpadów przekracza już 100 mln sztuk.

– To zależy, o jakiej wielkości odpadach mówimy. Według danych różnych agencji (m.in. Europejskiej Agencji Kosmicznej) do kategorii śmieci zaliczane są zarówno odpady bardzo małe, mikroskopijne – choć ich także nie należy bagatelizować, bo pędzą po orbitach z prędkością 28 tys. km/godz. – jak i te większych rozmiarów, które mogą zagrażać obiektom latającym. Tych o wielkości przekraczającej 10 cm może być ponad 40 tys. Ogólnie szacuje się, że wokół naszej planety orbitują śmieci o masie ok. 13 tys. ton. Jednak żadnych odpadów nie należy lekceważyć, bo mogą się przyczyniać do niszczenia sztucznych satelitów lub rakiet.

I co wobec tego?

– Problem z odpadami kosmicznymi sprawił, że opracowano różne metody ich zwalczania. Robi się to na wiele sposobów. By uniknąć niekorzystnych zderzeń, nowe obiekty wysyła się na te orbity, które jeszcze są wolne od śmieci. Zdarzało się też, że rozpoczęcie nowej misji kosmicznej, np. wystrzelenie promu, przekładano, gdy w danym przedziale czasowym groziło niebezpieczne spotkanie z odpadami. Kolejny sposób unikania kolizji polega na tym, że obiekty, które dysponują taką możliwością, lekko zmieniają położenie. Na przykład satelity telekomunikacyjne Starlink, służące do łączności internetowej na całym świecie, w ciągu roku dokonały kilkudziesięciu nagłych uników, dzięki niewielkiej zdalnej modyfikacji ich położenia. Trzeba jednak pamiętać, że takie operacje wymagają zużycia pewnej ilości energii, a jej ubytek sprawia, że żywot tych drogich obiektów znacznie się skraca.

Niebezpieczne śmieci w kosmosie są efektem działalności człowieka. Dlaczego tak bezmyślnie zaśmiecamy i tę przestrzeń?

– Materiały odpadowe pojawiają się w kosmosie z kilku powodów. Źródłem śmieci kosmicznych są np. silniki rakietowe – kolejne ich segmenty odpalane w trakcie lotu, które nie spłonęły w atmosferze. Niektóre spadają na Ziemię, wpadają do oceanów, a znamy nawet przypadek z Polski – w lutym br. fragment rakiety Falcon 9 spadł na las w Wielkopolsce. Inne odpady wchodzą na niską orbitę okołoziemską i krążą na niej. W kosmosie jest również sporo sprzętu porzuconego przez dawnych użytkowników, w tym wyeksploatowane i uszkodzone satelity.

Kiedyś nie przejmowaliśmy się tak bardzo tymi śmieciami, ale wraz ze wzrostem ich liczby w latach 90. zaczęto rozpoznawać problem i dlatego powstawały instrumenty prawne mające regulować to zjawisko, a także wpływać na ograniczenie ilości odpadów. Już na początku lat 90. powstał Międzyagencyjny Komitet Koordynacyjny ds. Odpadów Kosmicznych. Pierwsze normy wewnętrzne wprowadziła w połowie lat 90. NASA. Później opisano wskazówki dotyczące ograniczania powstawania odpadów. Są też normy ustalone przez ONZ w 2010 r. – a zatem dosyć świeże. Najstarszy dokument regulacyjny to Międzynarodowy traktat o przestrzeni kosmicznej z 1967 r., a więc z czasów, gdy jeszcze nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z wagi problemu. Już tam znalazły się normy i zapisy dotyczące odpowiedzialności za obiekty wysłane w kosmos.

Dziś jednak sprawa jest już chyba wystarczająco rozpoznana i nowych odpadów nie przybywa w takim tempie jak dawniej?

– Wydaje się, że przyhamowano niekontrolowane zaśmiecanie przestrzeni okołoziemskiej, ale przy tej liczbie obiektów wysłanych na orbity wciąż zdarzają się kolizje. Obiektów w przestrzeni kosmicznej jest bardzo dużo. Według różnych szacunków do tej pory wokół Ziemi krążyło 7 tys. statków i rakiet. Wysłaliśmy w kosmos 20 tys. satelitów. Jeśli

DR HAB. MACIEJ NYKA
– profesor Uniwersytetu Gdańskiego, wiceprzewodniczący Komisji Badań Kosmicznych PAN

Dr hab. Maciej Nyka na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego pełni funkcję kierownika Katedry Prawa Gospodarczego Publicznego i Ochrony Środowiska, jest zastępcą rzecznika ds. równego traktowania i przeciwdziałania mobbingowi w zakresie spraw studentów i doktorantów. Autor wielu publikacji z dziedziny praw człowieka i ochrony środowiska, sekretarz czasopisma „Polish Law Review".

eprasa.pl e1f36635af

Znane śmieci kosmiczne

W 1958 r. USA wystrzeliły satelitę Vanguard 1 na średnią orbitę okołoziemską – pozostaje on śmieciem o najdłuższym stażu na orbicie. Śmieci często też powstają w wyniku spacerów kosmicznych. Wśród nich mogą się znajdować: rękawica zgubiona przez astronautę Eda White'a podczas pierwszego spaceru kosmicznego w 1965 r., kamera Michaela Collinsa zgubiona koło statku Gemini 10, worki ze śmieciami z radzieckiej stacji Mir wystrzeliwane przez 15 lat, klucz francuski i szczoteczka do zębów.

zatem jakiś obiekt zostanie uderzony dużym odłamkiem, rozpada się na wiele części. Zjawisko nazwane syndromem Kesslera to sytuacja, gdy zderzające się w przestrzeni kosmosu szczątki generują nowe śmieci, które – ponownie się zderzając – tworzą jeszcze więcej odłamków. Trudno później ustalić, co było pierwotną przyczyną ich powstania i kto odpowiada za generowanie setek czy tysięcy odłamków.

Jednak głównymi odpowiedzialnymi za pozostawienie śmieci w kosmosie są Rosja i USA?

– Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w latach 60. USA i Rosja testowały broń satelitarną i zestrzeliwały obiekty w kosmosie, co znalazło odbicie w nazwie gwiezdne wojny, to tak właśnie jest. W 2007 r. podobne testy wykonywały Chiny. Dziś liczba krajów zaangażowanych w badanie przestrzeni kosmicznej jest dużo większa, a do kategorii śmieci dolicza się przypadki porzucania czy przypadkowego gubienia sprzętu, np. podczas tzw. spacerów kosmicznych. Nie można też zapominać o celowym wysyłaniu poza Ziemię jakichś materiałów czy ładunków w celu pozbycia się ich lub zyskania popularności. Przykładem tego ostatniego działania jest wysłanie w 2018 r. na orbitę… samochodu Tesla Roadster z siedzącym w nim manekinem, „Starmanem". Ponoć ten ładunek, dołączony podczas lotu testowego do rakiety Falcon Heavy, może niebawem spaść na Ziemię...

Zanieczyszczanie kosmosu wymaga więc pilnej regulacji prawnej i stworzenia mechanizmów zabezpieczających przestrzeń okołoziemską.

– To skomplikowany problem, bo w traktatach dotyczących kosmosu stronami są państwa. Nie wszystkie zobowiązują się przestrzegać narzuconych reguł, a wiele z tych, które się zgadzają, nie prowadzi ani nie zapowiada prowadzenia w przyszłości jakichś badań w kosmosie. Obecnie obowiązują normy prawa kosmicznego z lat 70. i 80., które mają już 40-50 lat; jest układ z 1979 r. o działaniach prowadzonych na Księżycu. Wszystkie ▸

Syndrom Kesslera to sytuacja, gdy zderzające się w kosmosie szczątki generują nowe śmieci, które – ponownie się zderzając – tworzą jeszcze więcej odłamków.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e1f36635af

późniejsze regulacje zawierają jedynie rekomendacje i sugestie, są więc dosyć „miękkie", bo nie przewidują mechanizmów egzekwowania postanowień. Państwa z ambicjami kosmicznymi ustalają często własne normy krajowe, które te sprawy regulują inaczej niż normy prawa międzynarodowego lub... w ogóle ich nie regulują.

Co ważne, obecnie większość działań w kosmosie podejmują podmioty prywatne i nawet NASA korzysta z usług firm komercyjnych, które mogą operować z takich lokalizacji, gdzie prawo jest dla nich najbardziej korzystne albo nie będą związane obowiązkami wynikającymi z traktatów. Na szczęście obecnie urządzenia wysyłane w kosmos są tak zaprojektowane, aby ryzyko powstawania odpadków było jak najmniejsze. Tak jest np. z najnowszymi typami rakiet, które same lądują, a przynajmniej większa ich część ląduje.

Pozostaje jednak problem śmieci już znajdujących się na orbitach. Czy można je jakoś usunąć?

– Pomysłów jest wiele. Mówi się, że można odpady wypalać laserem albo łapać w magnetyczne pułapki. Można też tak zmieniać ich orbity, by wpadały w atmosferę i tam się spaliły. To jednak projekty, które pozostają w fazie eksperymentu. Generalnie technologie usuwania odpadów dzieli się na aktywne i pasywne. Te drugie koncentrują się na takim projektowaniu obiektów kosmicznych, aby nie generowały odpadów, a po wykorzystaniu spaliły się w atmosferze.

Obecnie obowiązuje kilka traktatów regulujących status prawny wszechświata, w tym określających zasady działalności państw, ich prawa i obowiązki w kosmosie. Wiele unormowań zostało opracowanych pod auspicjami powołanego w 1959 r. przez Zgromadzenie Ogólne ONZ Komitetu ds. Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej. Pierwszym traktatem, który te sprawy regulował, ale nie dotyczył tylko kosmosu, był układ moskiewski z 5 sierpnia 1963 r. o zakazie prób z bronią jądrową w atmosferze, pod wodą oraz w przestrzeni kosmicznej.

Jest jeszcze problem obecności w kosmosie materiałów radioaktywnych i broni nuklearnej.

– Według prawa międzynarodowego przestrzeń kosmiczna powinna być zdemilitaryzowana. Rzecz w tym, że każdy rozumie to w inny sposób. Kolejną kwestią jest to, że przestrzeń kosmiczna nie służy tylko badaniom naukowym, rysuje się bowiem perspektywa rozwoju turystyki kosmicznej. Misje naukowe wymagają oczywiście innego traktowania, choć i tutaj obecny jest składnik komercyjny, ale w przypadku lotów o charakterze rekreacyjnym, gdzie głównym kryterium będzie rachunek zysków, wkroczymy w zakres problemów etycznych. Pojawia się pytanie, czy po to tylko, żeby przez krótki czas dobrze się bawić, warto ryzykować oddanie lotów kosmicznych operatorom, którzy nie muszą przestrzegać istniejących zaleceń.

Sprawa kosmicznych śmieci zejdzie więc na dalszy plan?

– To byłoby ze szkodą dla nas wszystkich.

Bronisław Tumiłowicz

INSTYTUT MYŚLI POLITYCZNEJ IM. GABRIELA NARUTOWICZA POLECA

Michael Colborne
Z pożarów wojny
Ukraiński Ruch Azow i globalna skrajna prawica 2014-2021
tłum. Tomasz Krzyżanowski

Historia Ruchu Azow, która jest pod wieloma względami historią całej postkomunistycznej Europy. Największym hołdem w stronę sowieckiej i rosyjskiej spuścizny w tej części świata było (ponowne) zaakceptowanie nacjonalizmu i dawnych organizacji nacjonalistycznych, takich jak OUN, reinterpretacja tożsamości narodowych w celu (ponownego) wzmocnienia władzy, a także przekonanie, że najbardziej godną podziwu cechą obywatela jest patriotyzm. Ten ruch służył i nadal będzie służyć jako model i inspiracja dla innych skrajnie prawicowych organizacji na całym świecie.

Mark Sedgwick
Przeciw nowoczesnemu światu
Tradycjonalizm i sekretna historia intelektualna XX wieku
tłum. Jakub Jedliński

Omówienie filozofii politycznej i społecznej tradycjonalizmu, jego teologii, antropologii filozoficznej, a także działania mniej znanych środowisk tradycjonalistycznych. Autor analizuje tradycjonalizm w kontekście historycznym, kulturowym i biograficznym. Wyznaje, że kiedy pisał tę książkę ponad 20 lat temu, nie przewidział, jak bardzo idee wywodzące się z tego nurtu zyskają na znaczeniu w szerokich kręgach politycznych i kulturalnych. Jesteśmy bowiem świadkami rosnącej popularności ruchów politycznych i idei krytycznych wobec powojennego zachodnioeuropejskiego konsensusu liberalnego.

Eva Illouz
Emocjonalne życie populizmu
Jak strach, odraza, resentyment i miłość osłabiają demokrację
tłum. Paweł Świerczek

Socjologiczna i psychologiczna analiza społeczeństwa izraelskiego i jego drogi do poparcia populistycznych rządów Benjamina Netanjahu. Izraelska socjolożka opisuje też międzynarodówkę populistyczną: Trump, Putin, Orbán, Modi, Kaczyński, Netanjahu, ich wzajemne powiązania i przyczyny irracjonalnej popularności opartej głównie na resentymencie pokrzywdzonych warstw społecznych.

(es)

eprasa.pl e1f36635af

Oko w oko

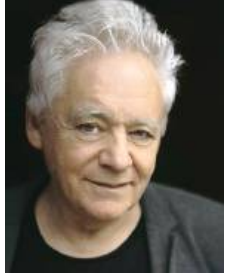

Tomasz Jastrun

Losy ludzkie

Rzeźba Igora Mitoraja stanęła tymczasowo na placu Trzech Krzyży, ktoś dopiero co kupił ją za 7 mln zł. Ale nie postawi jej egoistycznie przed swoją posiadłością, czego się bałem. Miasto będzie mogło rzeźbą dysponować. Teraz tylko problem, gdzie tę głowę postawić. Byle nie sknocić takiej szansy.

•

Na premierze „Najlepsze miasto świata. Opera o Warszawie". Wariacje o zniszczeniu i odbudowie Warszawy. Połączono różne gatunki: śpiew, chóry, w tym chór dzieci, balet, teatr, muzykę. Imponująca scenografia. Jechaliśmy na spektakl samochodem przez miasto tak mi bliskie, tak zmienione na lepsze w ostatnich latach. Kiedy aktorzy wyszli na scenę po oklaski, jeden trzymał flagę Ukrainy, a kobieta palestyńską. To ostatnie jednak mnie zniesmaczyło, Izrael jest krajem demokratycznym, który znalazł się w sytuacji, gdy każda decyzja jest tragicznie zła. Gaza jest zarządzana przez Hamas, czyli przez organizację podobną do hitlerowskich, a Rosja to satrapia.

•

W poprzednim felietonie pisałem o wrażeniach z gdańskiej wystawy „Nasi chłopcy", kpiąc z kreatur politycznych i głupców, którzy potępiają ją jako antypolską. Miałem mało miejsca, więc tylko zasygnalizowałem temat. Jest na wystawie gablotka ukazująca sprawę dziadka Donalda Tuska. Dobrze, że jest, pomówienia PiS powinny być wyeksponowane w różnych gablotach, jak kiedyś znajdą się w podręcznikach historii ku przestrodze.

Miałem dwóch wujków, obaj mieszkali na Śląsku, a po wojnie w Kanadzie. Jeden służył w Wehrmachcie, drugi w RAF-ie. Wujek Edek, ten z Wehrmachtu, ukrywał to skrzętnie. Diana, jego córka, a moja kuzynka, znalazła po śmierci ojca jego zdjęcie w niemieckim mundurze i wyszło szydło z worka. To też są polskie losy. Ale w Wehrmachcie służyło 2 mln nie-Niemców, w tym prawie 500 tys. Polaków. Zwykle nie z własnej woli. Dlaczego o tym nie mówić? Czy to nie byli nasi chłopcy? Że to kalanie własnego gniazda? „Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala / Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?", pisał Norwid.

•

Niepokoi, że taka cisza zapadła nad trumną katastrofy smoleńskiej. Zamach nie został udowodniony, mimo niezwykle „kompetentnej" komisji Antoniego Macierewicza, pełnej „wybitnych autorytetów", nie tylko polskich, mimo przekonania prezesa, że to był zamach na jego brata, a prezes przecież nigdy się nie myli. Ale to tylko świadczy o tym, jak wyrafinowana to była robota, jak perfidnie Tusk zawiązał spisek z Putinem. Im mniej dowodów na zamach, tym pewniejsze, że był to zamach. Już nawet nie ma o czym mówić.

•

Donald Trump zna się na klimacie: „Zmiany klimatyczne to największy przekręt na świecie". Ale staje się też wybitnym lekarzem, ogłasza, że paracetamol może powodować autyzm, więc nie radzi, by go łykały kobiety w ciąży. Fachowcy pukają się w czoło. Takie kretynizmy ukazują jego wolę mocy: chce być jak Stalin, który znał się na wszystkim, pisano o nim także jako o wybitnym językoznawcy. Trump jest durniem, ale zarazem jest przebiegły. To, jak widać, da się pogodzić, więc obok idiotyzmów będzie czasami załatwiał jakieś ważne sprawy dla Stanów, a nawet dla świata. Zmusił np. Europę, by się zbroiła.

•

Czytam w Onecie: „Stella Banderas, córka Melanie Griffith i Antonia Banderasa, zaskoczyła nowymi zdjęciami. Wszystko wskazuje na to, że świętowała swój wieczór panieński. Od 2024 r. jest zaręczona z Alexem Gruszynskim, synem polskiego operatora filmowego". Olek Gruszyński był największym przyjacielem mojej młodości. W 1968 r. wyemigrował do Danii (mieszkałem u niego w Kopenhadze kilka miesięcy), potem wyjechał do Stanów. Kręci filmy w Hollywood. Spotykamy się do dzisiaj. Tak myślę sobie: losy ludzkie...

•

W autobusie dobrze zbudowany, wytatuowany kanar łapie młodego chłopaka, dałbym mu 16 lat. Ten od razu podchodzi do automatu i próbuje kupić bilet. Kontroler mu przeszkadza. Chłopiec jest uparty, majstruje przy automacie, kontroler woła drugiego. Robi mi się okropnie żal młodego, tak żal, że aż boli mnie serce. Jakaś kobieta staje w jego obronie. Czemu ja nic nie mówię? Nie mówię, bo prawo jest po stronie kontrolerów. „Proszę wyjść z nami na przystanek!", woła wytatuowany. Chłopak zdaje się przyspawany do automatu, nic nie mówi, majstruje, kontroler obejmuje go ramieniem, jakby chciał użyć siły. Przystanek, oprawcy machają ręką i wchodzą sami z autobusu. Chłopak ma już bilet i siada, trzymając go w ręce, na wolnym miejscu. Zamknięty w sobie, wątły, wydaje mi się, że jest autystyczny. Zadziwiła mnie siła mojego współczucia i moja bezradność. Co zrobić, żeby prawo miało w sobie też więcej empatii? ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e1f36635af

Chwalili bardziej ciało niż duszę

Wielu ludzi próbowało umniejszać moje dokonania, ale się temu nie poddałam

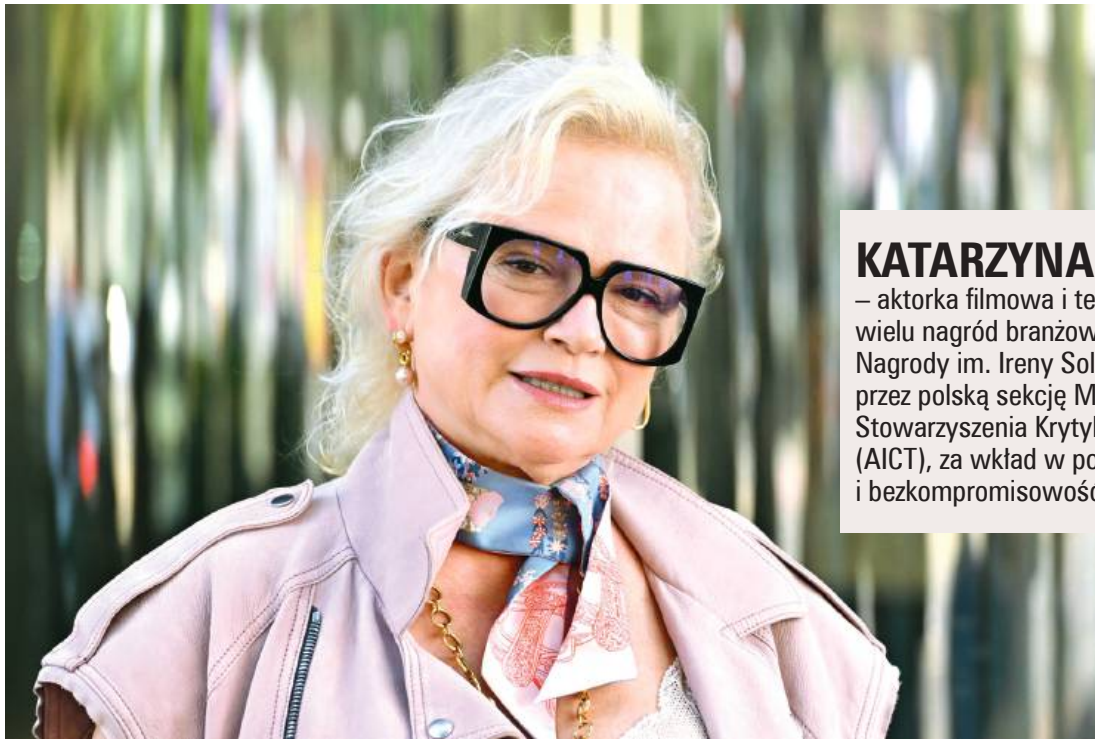

KATARZYNA FIGURA
– aktorka filmowa i teatralna, laureatka wielu nagród branżowych, ostatnio Nagrody im. Ireny Solskiej, ustanowionej przez polską sekcję Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych (AICT), za wkład w polski teatr, odwagę i bezkompromisowość w budowaniu postaci.

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Przed laty, w przerwie sesji okładkowej do „Tele Tygodnia", wyszliśmy na korytarz i wtedy podeszło do pani dwóch młodych mężczyzn, zatrudnionych przy remoncie budynku. Poprosili o autograf. Okazało się, że mają przygotowany flamaster, ale nie mają nawet skrawka papieru, poprosili wobec tego, żeby złożyła pani podpisy na ich plecach.

– I?

Dostali autografy i zachwyceni wrócili do swojej ekipy. Często stykała się pani z takimi prośbami?

– O tak, często dochodzi do podobnych sytuacji. Może nie w tak szczególnej formie, ale jednak. Od kilkunastu lat mieszkam w Trójmieście i stykam się z niezwykle ciepłymi reakcjami ludzi, którzy, widząc mnie, zachwycają się tak, jakbym właśnie zeszła z ekranu i zjawiła się wśród nich, np. w osiedlowym warzywniaku. I nie mogą uwierzyć, że Katarzyna Figura kupuje warzywa. Że ktoś, kogo widzieli w „Kilerze" czy jeszcze wcześniej w „Kingsajzie", jest dostępny na wyciągnięcie ręki. To są bardzo ciepłe spotkania i bardzo je cenię.

Pojawiła się pani na ekranie i niemal od początku nazwano panią polską Marilyn Monroe, kobietą dzieckiem, kobietą demonem, dziewczyną dynamitem, ikoną kina. Jak przyjmowała pani ten deszcz określeń?

– Nie ukrywam, że robiło to na mnie wrażenie. Wychowywałam się, oglądając na ekranie wspaniałe aktorki: Sophię Loren, Ginę Lollobrigidę, Claudię Cardinale, Brigitte Bardot… Chciałam być taka jak one. Ale od początku kariery próbowałam walczyć ze stereotypami. Miałam wrażenie, że krytycy skupiają się na moim wyglądzie, nie na talencie aktorskim. Chwalili bardziej ciało niż duszę.

Powtarzała pani często, że nie chce być gwiazdą, że chce pani po prostu pracować.

– Takie było moje życie – cały czas pracowałam. Nie odcinałam kuponów od tego, że uważano mnie za atrakcyjną czy ładną kobietę. Cały czas szłam za pracą, za rozwojem, czy to w filmie, czy w teatrze. Jestem dumna i usatysfakcjonowana z mojego życia. Nie mam żalu, nawet z tego powodu, że ktoś mnie próbował wciskać w jakieś ramy. Świetnie sobie z tym poradziłam. Zagrałam różnorodne role. Będąc młodą aktorką, grałam starsze kobiety. Teraz, kiedy już jestem starszą panią – mam

eprasa.pl e1f36635af

przecież 63 lata – gram role atrakcyjnych kobiet. Ale gram też role kobiet bardzo zniszczonych przez czas. Jako aktorka, podsumowując swój dorobek, jestem spełniona. I nie mówię tylko o rolach zagranych w Polsce, ale także o tych zagranych za granicą. Wielu ludzi próbowało umniejszać moje dokonania, ale się temu nie poddałam. Uważam, że moja kariera jest nasycona i pełna.

Radosław Piwowarski powiedział kiedyś, że jest pani tytanem pracy i dla pracy zrobiłaby pani wszystko, nawet palec sobie ucięła.

– To zawsze jest zabawne, co mówi Sławek, myślę jednak, że przesadza, ma takie specyficzne poczucie humoru. Pewnie palca bym sobie jednak nie chciała obciąć, ale rzeczywiście moje życie jest niekończącą się pracą. Cały czas rozwijam się i tworzę. Bezczynności i marazmu nie biorę nawet pod uwagę, mimo że już mam swój wiek i formalnie jestem od kilku lat na emeryturze. Emerytura kojarzy się najczęściej z błogim odpoczywaniem, ale dla mnie takie odpoczywanie mogłoby oznaczać zastój, a do tego dopuścić nie mogę. Myślę, że akurat przy mojej energii, przy mojej naturze, nie byłoby to dobre.

Wciąż ma pani w sobie głód pracy?

– To nawet nie jest głód czy niezaspokojenie, to po prostu nieustanna praca nad sobą. Rodzaj aktywności, który jest dla mnie najważniejszy. Tu chodzi o zdobywanie wiedzy, rozwój i ewentualne przekazywanie tej wiedzy, jeżeli ktoś jest na to otwarty. Cały czas czytam. Przeglądam dziesiątki książek, scenariuszy, w wyobraźni buduję sceny. To dla mnie najpiękniejsze i najistotniejsze chwile: czytam książki, popijam wino i przenoszę się w inne światy. Z tego czerpię różne inspiracje. A potem wchodzę albo na scenę, albo przed kamerę, albo podróżuję z tym całym cudownym bagażem nowych odkryć, nowych-starych odkryć, bo to może być literatura, którą znam, ale wciąż do niej z sentymentem wracam.

Tak jak było z „Fedrą". W 1985 r. w spektaklu Teatru Telewizji w reżyserii Laco Adamika grała pani Arycję, a przed kilkoma laty w Teatrze Wybrzeże w spektaklu reżyserowanym przez Grzegorza Wiśniewskiego wykreowała tytułową bohaterkę, którą zachwyciła pani całą Polskę.

– Dziękuję, jestem bardzo wdzięczna za te słowa i za Nagrodę im. Ireny Solskiej. Ale, wrócę, nie byłoby tej nagrody, gdybym od dziecka nie poszukiwała swojej drogi.

Zaczęło się od Kubusia Puchatka.

– A tak, od Kubusia Puchatka. To była moja pierwsza rola w ognisku teatralnym prowadzonym przez Halinę Machulską przy Teatrze Ochoty. Ja byłam Kubusiem, a moja koleżanka ze szkoły, Małgosia Bogdańska, Prosiaczkiem. To Małgosia namówiła mnie, żeby zapisać się do tego ogniska. Wtedy nie myślałam jeszcze o aktorstwie, chciałam zostać pisarką. Jednak poszłyśmy razem z Małgosią na egzamin, przeszłyśmy przez konkursowe sito i zaczęłyśmy przygodę z aktorstwem, która i u mnie, i u Małgosi trwa do dzisiaj. Ciekawe, że po klasyce dziecięcej zdarzyło mi się spotkanie z klasyką dla dorosłych. Miałam 14 lat, kiedy zagrałam w „Śnie nocy letniej" Williama Szekspira Puka – psotnego ducha o nieokreślonej płci. Arycja przyszła później, wtedy już byłam studentką PWST.

W „Fedrze" grała Grała pani u boku Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej, Franciszka Pieczki, Bogusława Lindy...

– Niedawno, właściwie przez przypadek, obejrzałam ten spektakl. TVP wyemitowała go ponownie po śmierci Franciszka Pieczki, który grał Tezeusza. Oglądałam naszą wspólną scenę i nie mogłam uwierzyć, jak ja wtedy, będąc przecież jeszcze na studiach, odważnie partnerowałam tak wspaniałemu aktorowi. Tak pięknie mówiłam wiersz, tak skromnie, bez żadnych zbędnych dodatków. I cudownie wyglądałam. Nie mogłam się nadziwić, że ja to wszystko przy współpracy reżysera i przy tak wspaniałych partnerach jako studentka potrafiłam unieść. Dotrzymałam kroku tym niezwykłym aktorom.

Potrafi pani przyglądać się swojej drodze dociekliwie. Parę lat temu w Słupsku widziałem pani spektakl-performance, spotkanie mistrzowskie. Trudno tu o dobrą nazwę gatunkową, ale była to wędrówka przez pani karierę. Takie „My Way" Katarzyny Figury. Powtarzała pani ten spektakl w innych miejscach?

– Nie, to zdarzyło się tylko raz. Sama nie byłam pewna, jak się potoczy. Spektakl był po części improwizowany, ale rzeczywiście w trakcie przeglądałam się w lustrach swoich ról filmowych i teatralnych.

To była opowieść o odwadze – i artystycznej, i ludzkiej – ilustrowana bogato przykładami, pani dokonaniami artystycznymi. Publiczność bardzo to przeżywała, utożsamiała się z bohaterką.

– To było bardzo spontaniczne. Bez wyraźnie zakreślonych konturów, jak choćby w monodramie. Tam wszystko mogło się zdarzyć. Pewnie należało to poddać większej dyscyplinie, tak aktorzy powinni działać, ale ja jestem totalnym spontanem. Do swojego magicznego pudełka wspomnień wrzuciłam różne ślady przeszłości, a potem je wyciągałam, sama bardzo ciekawa, co z tego wyjdzie. Jakaś alchemia. Miałam świeżo w sobie tę „Fedrę" i film „Chrzciny", który wówczas miał premierę. To wszystko ze sobą połączyłam i rzuciłam się w ten eksperyment. Ale właśnie coś takiego – przekraczanie granic, poszukiwanie – najbardziej mnie interesuje.

Monodram też nie jest pani obcy, to także pole do eksperymentów. Zaczęło się od „Lustra"...

– ...Grzegorza Skurskiego. Potem były „Badania terenowe nad ukraińskim seksem" Oksany Zabużko w Teatrze Polonia, w reżyserii Małgorzaty Szumowskiej, dla której to była pierwsza i bodaj jedyna praca w teatrze.

Wystąpiła pani z ogoloną głową, co szeroko komentowano, a stało się

Cały czas rozwijam się i tworzę.
Bezczynności i marazmu nie biorę nawet pod uwagę.

eprasa.pl e1f36635af

Katarzyna Figura w spektaklu „Badania terenowe nad ukraińskim seksem".

tak ze względu na film, w którym pani występowała.

– I po sztuce w reżyserii Pawła Miśkiewicza „Alina na zachód" w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. To były dwie role przed monodramem Zabużko, w których miałam ogoloną głowę.

Nie bała się pani ekstremalnej zmiany wyglądu?

– Jeśli to było potrzebne, nie bałam się. W westernie „Summer Love" w reżyserii Piotra Uklańskiego mężczyzna upokarza kobietę, którą grałam, obcinając jej włosy. Proponowano mi wystąpienie w „łysce" udającej ogoloną głowę, ale powiedziałam: „nie". Coś jest na rzeczy – pomyślałam – skoro gram dwie role, dwie postacie w tym samym czasie w teatrze i w filmie, które pojawiają się z łysą głową. Muszę tego doznać, muszę poczuć, jak to jest, gdy nie ma się włosów, żeby być wiarygodną, prawdziwą, a nie tylko polegać na wyobraźni. Podobnie zdarzyło się po latach, a nawiązuję do filmu krótkometrażowego Karoliny Porcari „Victoria", w którym moja bohaterka w wieku pięćdziesięciu kilku lat po raz pierwszy w życiu doznaje orgazmu, używając wibratora. Wtedy też postawiłam na eksperyment. Już wcześniej wielokrotnie zagrałam orgazmy. Ale skoro robimy taki film – pomyślałam wówczas – mamy mały budżecik, to możemy sobie pozwolić na eksperyment, bo na to nas stać. Ustaliłam wszystko z reżyserką, ekipa została wysłana na przerwę kawową, pozostali tylko reżyserka i operator. Zostałam sama w pokoju, zrobiono dla mnie konstrukcję niczym szałas – kamera była nade mną, a ja użyłam wibratora i naprawdę doznałam orgazmu, bo chciałam zobaczyć, jak to wypadnie. Mogłam zagrać, ale byłam ciekawa… To było niesamowite doświadczenie. Zrobiliśmy dubel, reżyserka miała do wyboru dwie wersje, a potem dostałyśmy za ten film m.in. Nagrodę im. Elżbiety Czyżewskiej na Festiwalu Filmów Polskich w Nowym Jorku. Teraz odbieram Nagrodę im. Ireny Solskiej, ale Elżbieta Czyżewska to też była niezwykła aktorka i osobowość. Kawał historii polskiego kina.

Mówiono o niej aktorka nieprzewidywalna, zwariowana.

– Panie Tomaszu, ja też jestem zwariowana. Gdybym nie była zwariowana, nie powstałoby tyle moich ról, tyle filmów, przedstawień, nie byłoby niczego. Zawsze miałam w sobie taką piekielną ciekawość, potrzebę doświadczania i rozwoju.

A czy nie ciekawość poznania swoich poprzedniczek o niezwykłej biografii i dokonaniach zawiodła panią kiedyś do Kaliny Jędrusik, a ostatnio do Marleny Dietrich?

To im poświęciła pani dwa ważne spektakle.

– Tak, na pewno. Ale to są też postacie, które do mnie przychodzą, pojawiają się na mojej drodze i domagają ode mnie powrotu na scenę. Więc wracam.

Spektakl o Marlenie Dietrich to ostatnia pani produkcja. Jest wyjątkowy, bo to jednocześnie hołd dla wybitnej, nieżyjącej aktorki Teatru Wybrzeże Joanny Bogackiej. Przedstawienie nosi podtytuł: „Hommage à Joanna Bogacka".

– To produkcja dwuosobowa, gram z Adamem Machalicą, który wprawdzie nic nie mówi, ale jego obecność jest znacząca. Spektakl reżyserował André Ochodlo, twórca Teatru Atelier w Sopocie, który przed laty wystawił „Szarego Anioła" Moritza Rinkego z Joanną Bogacką w roli ikony kina. A teraz, po latach, wrócił do tego tekstu ze mną. To było dla mnie bardzo ciekawe, bo weszłam jednocześnie w buty gwiazdy kina Marleny Dietrich i jej odtwórczyni, wspaniałej aktorki Joanny Bogackiej. Zadanie było karkołomne, ale reżyser powiedział, że przyniosłam do tego spektaklu coś z Bertolta Brechta i coś z Samuela Becketta.

Gdybym nie była zwariowana, nie powstałoby tyle moich ról, tyle filmów, przedstawień, nie byłoby niczego.

Jest pani wierna zasadzie, że trzeba grać odważnie, bo inne granie pani nie interesuje. Krystyna Gucewicz napisała o tym przedstawieniu: „Wielka rola, wielki teatr, wbrew małości czasów". Podobno niebawem zobaczymy panią w dwóch nowych spektaklach w Warszawie?

– Warszawa się o mnie upomniała po latach. Jestem teraz w próbach. Już 18 października czeka mnie premiera „Prezentu" Phila Olsona w Teatrze Komedia, reżyserowanego przez Anetę Groszyńską, a 8 listopada „Wspaniałych horyzontów" Bess Wohl w Teatrze 6.piętro, w reżyserii Rafała Szumskiego.

Otwiera się przed panią nowy etap?

– Na to wygląda.

Tomasz Miłkowski

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl e1f36635af

NA EKRANACH

One to one: John i Yoko,

reż. Kevin Macdonald i Sam Rice-Edwards, prod. Wielka Brytania, już w kinach

Film Kevina Macdonalda i Sama Rice'a-Edwardsa to taka rzetelna robota dokumentalna, która jednak chwilami nie do końca wie, czym chciałaby być. Ale i tak dostajemy kompleksowy portret Johna Lennona i Yoko Ono z ich pierwszych lat w Nowym Jorku. W 1972 r. para zamieszkała razem w apartamencie, który w filmie staje się drugoplanowym bohaterem (miasto zaś trzecioplanowym). To właśnie z rozmów w ich mieszkaniu dowiadujemy się czegoś więcej o kontrowersyjnej dwójce. I wtedy okazuje się, że Yoko Ono nie była wcale tak negatywną postacią, jak ją przedstawiano. Reżyserzy grzebią w archiwach i historię muzyków przeplatają z lekcją historii tego okresu. Stopniowo odkrywamy, w jaki sposób Lennon pracował nad swoją solową karierą i odnajdywał się w Nowym Jorku. Niby nic wielkiego, a ogląda się ten dokument jak najlepsze kino obyczajowe.

Sirât,

reż. Oliver Laxe, prod. Hiszpania/Francja, już w kinach

W „Sirâcie" mamy wszystko: mieszankę „Konwoju", „Ceny strachu", „Drogi", rave'u, czarnego humoru, postapo, piesków i wielu innych smaczków. Dramat Olivera Laxe'a zaczyna się niepozornie. Ojciec i syn wyruszają w podróż, aby odnaleźć zaginioną gdzieś w północnej Afryce córkę. Wydaje nam się, że widzieliśmy takie filmy setki razy. Ale nic bardziej mylnego: tutaj thriller ma apokaliptyczny sznyt, a ta rodzinna wyprawa prędko zamieni się w walkę o życie. „Sirât" to kino żywe, pulsujące, głównie dzięki niesamowitej pracy kamery i kadrowaniu. Już w trakcie otwierającej

sekwencji czujemy się jak uczestnicy tej eskapady – jedynie klimatyzacja w kinie może nas uratować od świecącego na wielkim ekranie słońca. Efekt wzmaga niezapomniana ścieżka dźwiękowa Kangdinga Raya, która w pełni koresponduje z piekielnym klimatem filmu. Nic dziwnego, że Laxe otrzymał za swoją produkcję Nagrodę Jury w Cannes.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI

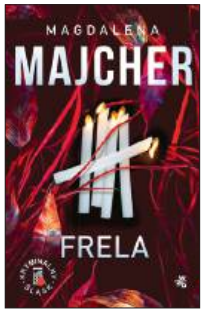

Magdalena Majcher
Frela

W.A.B., Warszawa 2025

Od wydarzeń z „Bajtla" otwierającego serię „Kryminalny Śląsk" minęły dwa lata, Borys Dyrda jest sfrustrowany, bo choć on znalazł zabójcę, nie zrobił na tym kariery. Ten 42-letni dziennikarz, rozwiedziony, z dwójką dorosłych dzieci: córką, z którą powoli odbudowuje relacje, i synem narkomanem egzystującym w podziemiach katowickiego dworca, fatalistycznie sabotuje w dodatku obecny związek. A jednak budzi coraz większą sympatię – i właśnie ta „życiowa" strona czyni „Frelę" szczególnie ciekawą. Mamy bowiem także historię ofiary – aktorki chorej na stwardnienie rozsiane, buntującej się przeciw stopniowej utracie kontroli nad ciałem. No i jest miasto – sprzed 25 lat, spowite smogiem, z młodzieżą słuchającą Paktofoniki i zaszokowaną samobójstwem Magika. Przedwigilijna gorączka przygotowań gra Dyrdzie na nerwach, więc morderstwo po sąsiedzku staje się wybawieniem...

Aleksandra Pańko

KULTURALNE DZIECI

Katarzyna Witt
Po co nam sztuka?

ilustr. Ola Niepsuj
Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa 2025

Muzeum Sztuki Nowoczesnej wydało pierwszą książkę. Jest to podręcznik dla najmłodszych „Po co nam sztuka?" autorstwa Katarzyny Witt z ilustracjami Oli Niepsuj. Nowością w podejściu do zjawiska sztuk pięknych jest odwrócenie tradycyjnej kolejności pokazywania i oprowadzania. Zamiast chronologicznej powiastki: starożytność, średniowiecze, klasycyzm, modernizm, zaczyna się niemal od zera. Od pogiętej linii, którą rysuje dziecko, poprzez plamy, kółka, bałwany, maskotki, do form bardziej skomplikowanych. Nie ma Rembrandta, Caravaggia, Leonarda, są natomiast Abakanowicz, Szapocznikow, a nawet palma Joanny Rajkowskiej z Alej Jerozolimskich. Tymi dziełami też można przybliżyć sztukę.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e1f36635af

Magdalena Stopa

Historia zapisana w tkaninach

Eleonora Plutyńska: polska sztuka ludowa na światowych wystawach

Oryginalność tkanin dwuosnowowych, zwanych też podwójnymi, polega na użyciu dwóch osnów, zazwyczaj każdej w innym, kontrastowym kolorze. Powstają dwie warstwy, łączone podczas tworzenia wzorów nićmi wątku. Obie strony tkaniny są swoimi rewersami, kolor wzoru jednej stanowi kolor tła drugiej i odwrotnie. Same wzory mogą być bardzo złożone.

Eleonora Plutyńska pierwszy raz zetknęła się z podobnymi wyrobami jeszcze na studiach, gdy w 1928 r. prof. Czajkowski przyniósł do akademii tkaninę kupioną na targu w Knyszynie. „Była to podwójna tkanina, z wianuszkiem winogronowym pośrodku, wewnątrz wianuszka, rozrzucone po polu tła, małe gwiazdki i jeszcze mniejsze gwiazdeczki – pisała. – Wśród nich, przesunięte ku czterem rogom tkaniny i ustawione pionowo, cztery dziwne drzewka. Kompozycję zamykała szeroka rama, pięknie wypełniona biegnącą wzdłuż łamaną gałęzią. (...) Tkanina była wełniana, w ostrych czerwono-zielonych kolorach. Po raz pierwszy widzieliśmy taką tkaninę. Oczy nasze przywykłe do wełny barwionej roślinnie raziła surowość koloru. Niemniej, mimo złego barwienia tkanina posiadała wdzięk niezrównany. Przejrzysty, śliczny rysunek drzewka zachwycił nas. (...) Cała zbiorowa mądrość fachowa pracowni nie była w stanie odcyfrować tej techniki, rozplątać jej tajemnicy. Po mylnych śladach wypatrywaliśmy podskarbiego Tyzenhauza i jakichś skomplikowanych żakardów, nie przypuszczając, że tkaniny te były robione na zwykłym czteropodnóżkowym i czteronicielnicowym warsztacie, jaki znajduje się w każdej chałupie okolic Sokółki i Białegostoku”.

By powstała tkanina dwuosnowowa, obie warstwy osnowy nawija się na jeden wał poziomego krosna. Następnie wątek przeplata się w jednej i drugiej warstwie splotem płóciennym, czyli najprostszym splotem tkackim. Obie warstwy łączą się poprzez ręcznie wybierane wzory. „W tym leży umiejętność, a zarazem sens i istota piękna tej techniki – wyjaśniała Eleonora. – Za pomocą tzw. prądka, czyli zakończonej łagodnym szpicem gładkiej, giętkiej, płaskiej listewki, dłuższej niż szerokość tkaniny, wybiera się odpowiednie pary białej osnowy z dolnej warstwy i podnosi je ku górze. Na czarnym tle utworzą one biały wzór, gdy przeplecie je biała nić wątku. Pomysłowość w sposobie przenikania się dwu warstw tkaniny jest cechą zasadniczą tej techniki”.

Tkaczki z Janowa i okolic w 1964 r. W środku Eleonora Plutyńska.

Metodą tą dawniej tkano obrzędowe dywany ślubne. Zdobione wzorami geometrycznymi i kwiatowymi, ujęte były bordiurą, często z motywem roślinnym. Z kolei u dołu tkaniny, na jej dłuższym boku, przedstawiano „korowód weselny, w którym figurki ludzkie przeplatają się z figurkami zwierząt reprezentujących dobytek w wianie panny młodej prowadzony w nowy dom mężowy”. Dywan taki był wianem panny młodej, służył do nakrycia małżeńskiego łoża. Utkanie go było mozolną pracą, wymagającą poważnych umiejętności.

„Wczesnym latem 1934 r., gdzieś koło św. Jana wybrałam się w okolice Sokółki na poszukiwanie... kwiatu paproci – pisała Eleonora nieco poetycko o wyjeździe, który rozpoczął jej spektakularną, kilkudziesięcioletnią pracę z tamtejszymi tkaczkami. – Chodziło o podwójne tkaniny i rozwiązanie zagadnienia: dlaczego tak piękne ongiś, są złe dzisiaj. Poruczono mi misję odnalezienia i wydobycia ze skrzyń dobrych, starych tkanin, zestawienia ich z tkaniną dzisiejszą i stwierdzenia na gorącym uczynku – w czasie tkania – gdzie

eprasa.pl e1f36635af

jest ta pięta achillesowa, gdzie jest ta dziura, przez którą ucieka całe piękno i w ogóle istotny sens rzeczy. Oglądałam piękne stare tkaniny, wyciągnięte ze skrzyń babek, których wnuczki odrabiały z zapałem »kapy« białostockie".

„Odrabiać »kapy« białostockie" znaczyło tyle, ile imitować wzory kap przemysłowo produkowanych w Białymstoku, wówczas dużym ośrodku tkackim. Fabryczne tkaniny – dla mieszkańców podlaskich wsi trudno dostępne ze względu na cenę – były masowo kopiowane na domowych krosnach, właśnie przy zastosowaniu techniki dwuosnowowej. Tkano wówczas z mechanicznie przędzonej wełny o krzykliwych kolorach, uzyskiwanych dzięki łatwym do kupienia barwnikom anilinowym. Zarzucono też dawne, obrzędowe wzory. W efekcie mozolnie, ręcznie tkane wyroby traciły cechy, które wcześniej czyniły z nich sztukę.

Szczegóły początków pracy Eleonory w okolicach Sokółki i Janowa znamy dzięki jej relacjom oraz wielu publikacjom ukazującym się w latach 40. i 50. XX stulecia. W wywiadzie, który po wojnie przeprowadził z nią dziennikarz Jerzy Maciejewski, wspominała siostry Kondówny, tkaczki z Boguszy (przez dziennikarza prawdopodobnie błędnie podanej jako Boguszyce) koło Sokółki. Ich prace były doskonałe pod względem technicznym, ale Plutyńska oceniła je jako „brzydkie i bezsensowne".

„Janosik", 1956, 150×242 cm, tkanina dwuosnowowa; wełna ręcznie przędziona, jednoskrętna, barwiona naturalnymi barwnikami (koszenila, flawina, brzoza).

„Zwierza", 1956, 160×225 cm, tkanina dwuosnowowa, wełna ręcznie przędziona.

Obiekty znajdują się w zbiorach Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.

Prace zespołu Plutyńskiej pokazano na wystawie przemysłu artystycznego w Muzeum Narodowym, następnie w USA, Meksyku i Ameryce Łacińskiej.

Tymczasem okazało się, że tkaniny o dawnych wzorach, wykonane z ręcznie przędzonej wełny, tak cenionej przez Plutyńską, leżą w zapomnianym kufrze.

Sióstr z Boguszyc nie udało się przekonać do porzucenia przyzwyczajeń i powrotu do zarzuconych wzorów, a poszukiwania tkacza, który chciałby współpracować w tej kwestii z Plutyńską, były wyjątkowo mozolne. Dopiero Adolf Jaroszewicz, mężczyzna zajmujący się dorywczo tkaniem dywanów, okazał zrozumienie dla koncepcji Eleonory i podjął to wyzwanie, rozpoczynając powrót do dawnych metod pracy. „On pierwszy, on jedyny zrozumiał moje propozycje – potwierdzała Eleonora. – Zrozumiał, że stare dywany są dobre, a dzisiejsze są złe. Sam pod tym względem miewał już poważne wątpliwości. Postanowiliśmy wspólnie poszukać uzdrowienia. (...) Z Adolfem Jaroszewiczem zawarłam przymierze. Taki był początek".

Nowego współpracownika Eleonory tkać nauczyła żona, a on sam podjął to zajęcie, by pomóc w domu – ze względu na uszkodzenie płuc od gazów bojowych, którego doznał podczas I wojny światowej, był niezdolny do ciężkiej pracy fizycznej, którą zazwyczaj wykonywali mężczyźni.

Poznawszy punkt widzenia Plutyńskiej, Jaroszewicz wyraził własne wątpliwości dotyczące estetyki wykonywanych ówcześnie tkanin: „Ja sam nieraz patrząc na stare derki, którymi nakrywano u nas konie, myślałem, że o ile one są ładniejsze od tych wzorowanych na fabrycznych". Ta wspólnota odczuć estetycznych i praca, choć trudna – Plutyńska przywiozła grubą i nierówną ręcznie przędzoną wełnę, która stale rwała się przy zakładaniu osnowy – pomogły nowym współpracownikom zadzierzgnąć więź. Wkrótce przystąpili do tkania pierwszego dywanu. Wzór powstał na podstawie widzianej przelotnie fotografii dywanu kaukaskiego i był tkany „z głowy", projektowany na bieżąco na krośnie. (...)

Eleonora nie tylko pragnęła, by wiejscy tkacze nie kopiowali wzorów przemysłowych, sugerowała też, by nie rysowali wcześniej wzorów na ▸

FOT. INSTYTUT SZTUKI POLSKIEJ AKADEMII NAUK W WARSZAWIE – ZBIORY SPECJALNE, SYGN. 1749, CENTRALNE MUZEUM WŁÓKIENNICTWA W ŁODZI (2)

eprasa.pl e1f36635af

papierze. Uważała, że jedynie projektowanie bezpośrednio na krośnie pozwala na artystyczną spontaniczność, improwizację, eksperyment. Wyłącznie ta metoda prowadzi do odkryć i wynalazków, umożliwia tkacką twórczość. Właśnie dlatego postulowała pracę, jak ją określała, „z głowy". „To był mój najmądrzejszy wynalazek – pisała. – Mimo oporów rezultat był natychmiastowy. Przypatrywałam się procesowi powstawania dzieła sztuki, w tym przypadku tkaniny, w jego naturalnych warunkach. Później, kiedy już byłam profesorem, starałam się uczniom moim w Akademii te naturalne warunki odtworzyć".

Niestety tkanina Jaroszewicza nie zachowała się. Podobnie jak wiele innych spłonęła w Warszawie podczas powstania. Jednak utkany wówczas motyw Zwierza – na wpół fantastycznego stworzenia z długim ogonem, potężnymi zębami i pazurami – zrobił spektakularną karierę. (…)

W następnych latach, aż do wybuchu II wojny światowej, Eleonora pracowała z wieloma tkaczkami w okolicznych wsiach: w Janowie, Wasilówce, Kuplisku, Jesionowej Dolinie. Większość swoich późniejszych prac artystka stworzyła w technice dwuosnowowej, jednej z najtrudniejszych uprawianych w Polsce, wykorzystując wełnę barwioną na soczyste kolory. Krystyna Kondratiukowa pisała: „Jej »turkusowe«, »rubinowe« czy brunatne wełny mienią się jak prawdziwe klejnoty i są niepowtarzalne, zestawione przy tym z ogromnym wyczuciem i smakiem z inną kontrastową barwą wełny, tworzą doskonałą całość".

Eleonora uczestniczyła we wszystkich wystawach „Ładu", m.in. w Wystawie Tkanin Europy Północnej i Wschodniej w Paryżu w 1927 r., Wystawie Sztuki Polskiej w Brukseli w 1927 r., w Warszawie w lokalu firmy Zdzisław Szczerbiński i Spółka w 1928 r., w Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 r., w 1933 r. w Moskwie, w 1936 r. na wystawie dziesięciolecia „Ładu" w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie, w 1939 r. w Sztokholmie oraz w tym samym roku na Wystawie Światowej w Nowym Jorku. W 1938 r. na Międzynarodowej Wystawie Sztuk i Rzemiosł w Berlinie zaprezentowała zestaw tkanin dwuosnowowych i razem ze swym zespołem zdobyła złoty medal.

•

Już 15 kwietnia 1945 r. w Warszawie zebrała się grupa członków „Ładu", chcąca wznowić działalność spółdzielni. Szczęśliwie urząd naczelnika w powojennym Wydziale Sztuki Ludowej w Ministerstwie Kultury i Sztuki objęła Zofia Czasznicka – członkini „Ładu" specjalizująca się w tkaninie. Dzięki niej szybko udało się powołać nową Radę Nadzorczą i przystosować statut do nowej rzeczywistości. Na tymczasową siedzibę wyznaczono oficynę przy Pankiewicza 31.

Na początku 1946 r. Eleonora, która wciąż należała do spółdzielni, nie zważając na niebezpieczeństwo, zniszczenia i bardzo słabą komunikację, wyruszyła w okolice Sokółki. Udało jej się odszukać część osób, z którymi współpracowała przed

eprasa.pl e1f36635af

wojną. Adolf Jaroszewicz już nie żył, zastała jednak jego żonę Felicję i synową Olimpię. Zamieszkała w ich domu i rozpoczęła wędrówkę od wsi do wsi, by ponownie stworzyć zespół. „Wróciłam na wieś, zamieszkałam w chałupie, pracowałyśmy wspólnie z kobietami wiejskimi – pisała. – Było to jakby wzajemne dopełnianie się, współpraca, wzajemna wymiana, uczenie się od siebie nawzajem".

Zadanie wymagało szczególnej determinacji i hartu ducha. Eleonora podjęła się pracy na przygranicznym obecnie terenie w realiach powojennej nędzy, chaosu i powszechnej na Podlasiu partyzantki. (…)

Eleonora wyszukała i zjednała dla swojej idei życzliwych protektorów, co pozwoliło zapewnić zbyt tkaninom. Swoje powodzenie wyjaśniała lakonicznie: „Mądra, dalekowzroczna opieka Wandy Telakowskiej". Wsparcie otrzymała z Biura Nadzoru i Estetyki Produkcji przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, a z czasem z Instytutu Wzornictwa Przemysłowego – kolejnych miejsc, którymi kierowała Telakowska. (…)

Pierwszą tkaninę dwuosnowową Eleonora przyniosła do Wydziału Wytwórczości w 1946 r. Praca została przez Telakowską entuzjastycznie oceniona. Artystka dostrzegła szlachetność użytych barw i piękno wzorów. Doceniała też to, co wyróżniało dzieło Plutyńskiej na tle projektowanych przez innych europejskich twórców: komponowanie wzoru bezpośrednio na warsztacie oraz wykorzystywanie ręcznie plecionej wełny. Wrażenie było na tyle silne, że zapewniło Eleonorze wsparcie Telakowskiej w pierwszych latach odbudowy kraju, gdy pieniędzy brakowało na wszystko. (…)

Dodatkowo obie twórczynie łączyło zainteresowanie tym, jak działanie zespołowe może korzystnie wpływać na kształt dzieła, łącząc doświadczenia i kwalifikacje rożnych osób. Prace Plutyńskiej były wypadkową jej kapitału – doświadczenia, podróży, znajomości sztuki światowej i talentu – oraz żywiołowej wyobraźni wiejskich tkaczek i ich biegłości w tradycyjnej technice tego regionu. Dzięki temu powstały tkaniny „jednocześnie bardzo wyrafinowane i naiwne, wytworne i pełne żywiołowości, bliskie prymitywnym konwencjom wypowiadania się".

Już rok później, w 1947 r., prace zespołu Plutyńskiej zostały zaprezentowane na wystawie polskiego przemysłu artystycznego w Muzeum Narodowym, następnie ekspozycja pojechała do Stanów Zjednoczonych, Meksyku i krajów Ameryki Łacińskiej. Nie trzeba dodawać, że do tych odległych miejsc podróżowały tkaniny, ale nie ich autorzy. (…)

W 1950 r. w magazynie „Problemy" opublikowano jej artykuł o podwójnych tkaninach, zwanych też dywanami ziemi białostockiej. Pisała: „Sztuka Ludowa jest przejrzysta. Na Sztuce Ludowej prawa Sztuki w ogóle dadzą się łatwiej odczytać i stają się uchwytne. Nikt nie odwróci biegu strumienia. Bieg życia także jest nieodwracalny. Nie do uratowania jest Sztuka Ludowa we właściwym tego słowa znaczeniu, o ile lud przestaje być ludem – a obyczaj wiejski traci swoją odrębność. Ratować jednak możemy choć pewne atrybuty (...); choć pewne części składowe jej rozumnego piękna – jako części składowej wszelkiej Sztuki w ogóle".

•

Rok po zakończeniu wojny zaproszono Eleonorę do pracy na jej macierzystej uczelni, którą nosiła teraz nazwę Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Jako profesor kontraktowy miała uczyć w Katedrze Tkaniny Artystycznej. (…) W 1946 r., nie rezygnując z wyjazdów do podlaskich wsi, Eleonora podjęła pracę na uczelni. Prowadziła Pracownię Tkactwa Ręcznego. Czerpanie inspiracji ze sztuki ludowej nie kolidowało z ideologią nowego systemu, wręcz stanowiło tarczę ochronną. W najtrudniejszych stalinowskich latach dla wielu studentów pracownia ta stała się azylem przed coraz bardziej dotkliwą doktryną socrealizmu i ostentacyjnym upolitycznieniem. Metodę nauczania Plutyńska wyprowadziła ze swych doświadczeń przedwojennych. Jej studentki od początku były wdrażane do komponowania tkanin bezpośrednio na krośnie i samodzielnego ich wykonywania, były też przygotowywane do pracy z tkaczkami wiejskimi. (…)

Do studentek Eleonory należało wiele przyszłych sław polskiego tkactwa: Barbara Falkowska, Jolanta Owidzka, Krystyna Wojtyna-Drouet, Maria Chojnacka-Gontarska, Barbara Latocha, Alicja Francman oraz najbardziej znana – Magdalena Abakanowicz. (…)

„Z pewną niechęcią, przyznam, postanowiłam udać się na akademię do pracowni Profesor Plutyńskiej – pisała Abakanowicz. – Nie lubiłam szkolnego rygoru ani atmosfery pracowni, gdzie każdy ruch ręki może być obserwowany i wywoływać słowo pouczenia. Nie pamiętam treści mojej pierwszej rozmowy z Profesor Plutyńską, bardziej utkwiła mi w pamięci atmosfera tego spotkania, zainteresowanie moimi planami, serdeczność. Spędziłam kilka miesięcy przy warsztacie tkackim, dowiadując się rzeczy nieprzeczuwanych, obcując z całą gamą odczuć dotykowych, których dostarcza ta technika. W rozmowach z Profesor Plutyńską poznałam urodę i tajemnice włókna, jego możliwości ekspresji. Uczyłam się przeczuwać siłę działania wielkiej powierzchni tkanej. Spotkania przy warsztacie nigdy nie miały charakteru korekty, ingerencji w moje poczynania. Były to kontakty, z których mogłam czerpać to, czego chciałam się dowiedzieć, bez przymusu wierzenia w prawdy subiektywne. Poznałam, jak szeroko można widzieć problemy twórczości i włókna".

Magdalena Abakanowicz: „W rozmowach z Profesor Plutyńską poznałam urodę i tajemnice włókna, jego możliwości ekspresji".

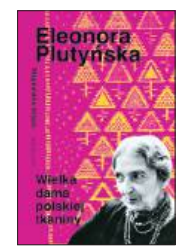

Fragmenty książki Magdaleny Stopy *Eleonora Plutyńska. Wielka dama polskiej tkaniny*, Marginesy, Warszawa 2025

eprasa.pl e1f36635af

Tomasz Szlendak

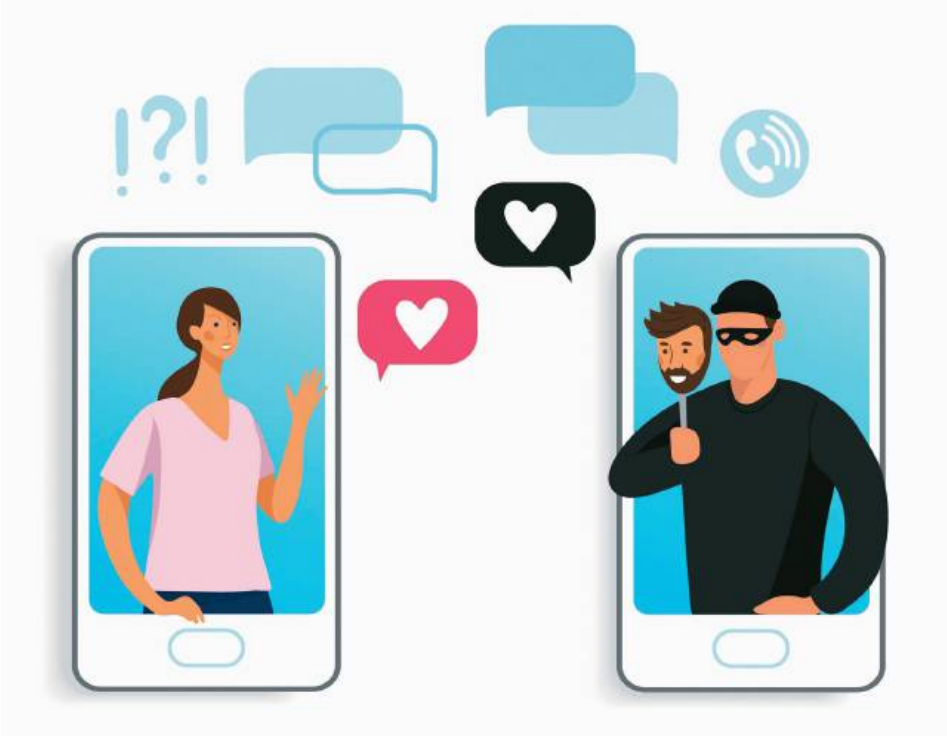

Gody w rytmie softu

Aplikacje randkowe są swego rodzaju lekiem na bolączki współczesności

Między 2010 a 2020 r. na Zachodzie z osób używających aplikacji randkowych zdjęto piętno nieudaczników. Wcześniej uznawano, że korzystają z nich ludzie, którzy mają problemy z „normalnym" nawiązaniem relacji lub są pod względem atrakcyjności jakoś „wybrakowani".

Dzisiaj coraz rzadziej tak się uważa, a świadczą o tym liczby. Na świecie mieszka obecnie 320 mln użytkowników aplikacji randkowych. Sam Tinder gromadzi 50 mln użytkowników i ma silną konkurencję. W 2017 r. z wszelkiego typu aplikacji randkowych korzystało 15% Amerykanów i Amerykanek. Trzy lata później użytkowało je już 32% mężczyzn i 28% kobiet, a 23% mieszkańców Stanów Zjednoczonych przyznało się, że kiedykolwiek poszło na randkę z osobą poznaną za pomocą aplikacji. Z kolei 12% całej populacji wzięło z taką osobą ślub albo weszło w długotrwały związek.

Kiedy jednak przyjrzymy się bliżej tylko tej części amerykańskich respondentów, która zadeklarowała, że stale używa aplikacji randkowych, to dostrzeżemy, że 77% spośród nich poszło z kimś poznanym w ten sposób na randkę, 39% zaś było z kimś poznanym za pomocą aplikacji w dłuższym związku.

Korzystający z aplikacji randkowych to przede wszystkim osoby między 18. a 44. rokiem życia. Apek randkowych używa 70% amerykańskich studentów. Ludzie w wieku 20-35 lat tinderują w autobusach, w metrze, w kawiarniach. Pojawił się w związku z tym specyficzny savoir-vivre, np. nie tinderuje się z kimś, z kim chodzi się na wykłady, by uniknąć sytuacji wprawiających w zakłopotanie.

Jak łatwo się domyślić, powszechność korzystania z aplikacji randkowych maleje z wiekiem, nie spada jednak do zera. W Stanach Zjednoczonych z Tindera i podobnych narzędzi korzysta 19% osób w wieku 50-64 lat i 13% osób, które ukończyły 65. rok życia. Również w Europie na Tinderze jest już „przekrój społeczeństwa", także 60-letni mężczyźni deklarujący, że poszukują miłości. Co równie istotne, aplikacje randkowe są przyjaznym środowiskiem służącym aktywowaniu życia romantycznego osób LGBTQ+. Z aplikacji tego typu korzysta aż 55% amerykańskich gejów, lesbijek i osób biseksualnych (dla porównania – 28% osób heteroseksualnych). (...)

Nie bez powodu można więc odnieść wrażenie, że w powszechnym przekonaniu aplikacje randkowe stają się jedynymi skutecznymi narzędziami do nawigowania po wzburzonych morzach intymności. Są oprzyrządowaniem, bez którego poznanie kogoś interesującego do pary staje się praktycznie niemożliwe, co prowadzi do powszechnej platformizacji intymności, bliskości, romansu.

Apki randkowe – tak jak niegdyś swatka czy rodzice – stają się kluczową dla rynków seksualnych i matrymonialnych instytucją społeczną, czyli społecznym wzorcem postępowania, który zabezpiecza pewną określoną ludzką potrzebę. Oczekuje się, że z jednej strony algorytm dokona racjonalizacji wyboru partnera na podstawie najważniejszych parametrów (tak jak niegdyś swatka), a jednocześnie z drugiej strony sprawi, że połączeni użytkownicy poczują chemię, która odwróci ich uwagę od ewentualnej niekompatybilności.

W świecie, w którym ludzie bezustannie przemieszczają się z miejsca na miejsce i w żadnym nie osiadają na tyle, aby bez pomocy specjalnego oprogramowania znaleźć w nim kogoś do pary, aplikacje stały się podstawowym narzędziem swatania. Nic dziwnego, że namierzenie i zarazem prześwietlenie kogoś w sieci jest dla kolejnych roczników wychowywanych ze smartfonem w ręku czymś znacznie bardziej naturalnym niż zapoznanie się z obcą osobą w świecie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e1f36635af

fizycznym. W sieci ma się również większy potencjalny wybór niż dosłownie obok – w sąsiedztwie, pracy czy w szkole. Nawiązanie z kimś pierwszego kontaktu online jest mniej bolesne i pozwala zaaranżować kontekst spotkania w świecie realnym, a zakończenie relacji, która istniała tylko wirtualnie, jest znacznie mniej kosztowne niż porzucenie toczącej się w realu konwersacji z kimś, kto przed chwilą – owszem – całkiem się podobał, ale po chwili przestał. Grzeczność wymaga przemęczenia się, kurtuazyjnego kontynuowania small talku, krygowania się i – ewentualnie – trudnego zakończenia spotkania. W znajomości zapośredniczonej przez smartfon nie istnieje już taki towarzyski obowiązek. Można ją porzucić szybko, bez emocji i dramy. Ludzie socjalizowani w środowisku nowych mediów, którym aplikacje randkowe służą jako narzędzia poznawcze, często nie potrafią już poznać kogoś w inny sposób. Bez tych narzędzi poznawanie ludzi jest niekomfortowe, dotkliwie bezpośrednie.

I ryzykowne, bo aplikacje typu Tinder dają gwarancję, że obie strony przynajmniej na pierwszy rzut oka przypadły sobie do gustu. Łatwiej więc uniknąć wpakowania się w jednostronną relację, w której durzymy się w kimś bez wzajemności.

Aplikacje randkowe są zatem swego rodzaju lekiem na rozmaite bolączki współczesności, na wiele naszych społecznych niedomagań i przypadłości. Bywają lekarstwem na bolesne rozstania. Na samotność młodych matek i 40-letnich dyrektorek wykonawczych, bo to one sięgają po Tindera najczęściej. Ale także – bo przecież i mężczyzn w tych aplikacjach nie brakuje – na nieatrakcyjność 30-letnich kurierów i brak towarzyskich kontaktów u menedżerów pochłoniętych cały dzień pracą. Apki do parowania mają uporać się z doskwierającymi nam „nadżerkami tożsamości". Jest to przecież rodzaj technologii służącej wzmacnianiu własnej atrakcyjności, a tym samym podbudowywaniu nadszarpniętego ego. Dzięki Tinderowi można relatywnie łatwo ocenić własną „pożądalność" i ustalić, że komuś się jednak podobamy. Do tego aplikacje randkowe poradziły sobie z deficytami sieci społecznych, utrudniającymi odnalezienie tego jedynego czy tej jedynej.

Znaczna część ludzi w świecie zachodnim nie ma pojęcia, jak poznać kogoś bez pomocy Tindera.

Czy faktycznie tak jest? Czy aplikacje są lekiem na kłopoty z intymnością? Czy odnajdujemy dzięki nim miłość?

•

Skoro wydarzenia te opisano na popularnym kalifornijskim portalu, można tu chyba zdradzić – ze szczegółami i nazwiskami – historię pewnego zatrudnienia.

W 2013 r. Jessica Carbino przesunęła w prawo na Tinderze zdjęcie mężczyzny, którego wzrok, jak przyznała, mógłby obalać mury. Przesunęła w prawo – znaczy zadeklarowała zainteresowanie. Okazało się, że był to sam dyrektor generalny Tindera, Sean Rad. On także przesunął wówczas zdjęcie Jessiki Carbino palcem w prawo. Nic romantycznego z tego nie wynikło, co jest doświadczeniem tyleż rozczarowującym, ile świetnie znanym wszystkim tinderowiczom. Takie okazanie zainteresowania rzadko kończy się związkiem czy choćby randką. Tym razem jednak, mimo że interakcja nie miała ciągu dalszego w sferze romantycznej, to w zawodowej zaowocowała karierą. Cóż, widocznie czasami na Tinderze łatwiej o pracę niż o miłość.

W maju 2016 r. Rad zatrudnił Jessicę Carbino na stanowisku pokładowej socjolożki. Jako badaczka wewnątrzkorporacyjna miała się zająć próbą odpowiedzi na pytanie, jakie czynniki decydują o przesunięciu palcem zdjęcia w lewą bądź w prawą stronę. Czyli co sprawia, że odrzucamy możliwość dalszego kontaktu lub na niego liczymy. Carbino miała do tego akademickie kompetencje, bo (…) obroniła doktorat na temat tego, jak dobieramy się w pary w XXI w.

Kiedy Carbino podjęła pracę, Tinder zajmował w Los Angeles znaczą część budynku firmy InterActiveCorp, pod której skrzydłami działało ponad 40 popularnych stron randkowych, m.in. OkCupid, Match.com czy Plenty of Fish. W 2016 r. w Stanach Zjednoczonych funkcjonowały 4 tys. tego rodzaju stron i aplikacji

eprasa.pl e1f36635af

internetowych, które każdego roku przynosiły ponad 2 mld dol. przychodu. Od tamtego czasu Tinder uzyskał na rynku randkowania online pozycję hegemoniczną, i to do tego stopnia, że znaczna część ludzi w świecie zachodnim nie ma pojęcia, jak poznać kogoś bez pomocy tej aplikacji.

Aplikacja Seana Rada przeobraziła rynek narzędzi randkowych, gdy zaproponowała ludziom podjęcie decyzji o spotkaniu z kimś tylko na podstawie zdjęcia. (…) Pomysł wyjściowy był prosty, z czasem producenci aplikacji zapragnęli jednak wiedzieć, co takiego ich klienci i klientki dostrzegają w samych zdjęciach. Dlatego zatrudniono Carbino, która doszła do przekonania – słusznego – że użytkownicy próbują ze zdjęcia wyczytać coś więcej niż samą atrakcyjność fizyczną. Inna sprawa, że często ich ocena jest błędna, bo fotografie bywają mylące, źle wykonane albo niewłaściwie dobrane.

Zrobienie czy wybór zdjęcia podkreślającego własną atrakcyjność wymaga szczególnych umiejętności i nie każdy to potrafi. Bywa też na odwrót: za pomocą sprytnie zrobionego zdjęcia można wyprowadzić innych w pole, sygnalizując cechy, których wcale nie mamy.

Bez względu na to, czy zdjęcie oddaje rzeczywistość czy nie, użytkowniczki próbują z niego wyczytać, czy użytkownicy są rokujący, czy nierokujący – i na odwrót. Nie są to – jak odkryła Carbino – próby szczególnie wyrafinowane. Psychologia społeczna zna te metody oceny od dawien dawna. Że mężczyźni ze słabo zarysowaną linią żuchwy są oceniani przez kobiety jako milsi od tych ze szczęką wyraźną i kwadratową. Że kobiety z makijażem są uważane za atrakcyjniejsze od tych, które się nie pomalowały. (…)

Daleko istotniejszym ustaleniem wynikającym z badań przeprowadzonych przez Jessicę Carbino jest to, że zdecydowana większość amerykańskich użytkowników i użytkowniczek Tindera deklaruje zainteresowanie dłuższą relacją. A zatem, wbrew temu, co sądzą niektórzy, niekoniecznie jest to narzędzie służące do poszukiwania partnera czy partnerki do niezobowiązującej przygody seksualnej. I to nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ponieważ 55% badanych Australijczyków i Australijek twierdzi, że korzysta z aplikacji randkowych, żeby znaleźć kogoś do miłości romantycznej, dłuższego romansu czy związku. Tylko 25% szuka seksualnych przygód, 8% zaś – nieuwikłanych w seks przyjaźni.

Po wnikliwszym przyjrzeniu się działaniu Tindera zaskoczyć nas może jednak, że zarówno ta, jak i inne podobne do niej aplikacje służą głównie realizacji kobiecych potrzeb. Skąd taka teza? Po pierwsze, użyteczną funkcją aplikacji randkowych jest to, że można ocenić ludzi, zanim się ich spotka, zobaczy i usłyszy offline. Jest to funkcjonalność daleko istotniejsza dla kobiet niż mężczyzn. Po drugie, wskazuje na to choćby zestaw informacji o mężczyznach, którego od aplikacji randkowych oczekują kobiety.

Zakończenie znajomości, która istniała tylko wirtualnie, jest mniej kosztowne niż porzucenie tej w realu.

Użytkowniczkom dużo bardziej zależy na możliwości pełniejszego, precyzyjniejszego prześwietlenia potencjalnych partnerów. Dzięki smartfonom czują, że mają większą kontrolę nad związkami, a zwłaszcza nad ich aranżacją.

Producenci aplikacji nie mogli pozostać nieczuli na te „rentgenowskie" oczekiwania kobiet. Najlepszy dowód to fakt, że m.in. w wyniku badań przeprowadzonych przez Carbino dodali do aplikacji nowe funkcjonalności. Podjęcie decyzji o przesunięciu w prawo bądź lewo nie opiera się już wyłącznie na ocenie zdjęcia. (…)

Kiedy przyglądamy się kolejnym pożądanym w aplikacjach randkowych informacjom, różnice między przedstawicielami obojga płci tylko się pogłębiają. Aż 72% kobiet oczekuje wyłożenia kawy na ławę – mężczyzna powinien od razu zadeklarować typ relacji, jakiej poszukuje: długotrwałego związku, przelotnej przygody, przyjaźni, towarzyskiego spotkania czy czegokolwiek innego. Byle wprost. Na takiej bezpośredniej komunikacji zależy natomiast już jedynie 53% mężczyzn.

Wyznaniem religijnym potencjalnych partnerów interesuje się 32% kobiet i tylko 18% mężczyzn, a wykonywany zawód jest istotny dla 27% kobiet i jedynie 8% mężczyzn. I na koniec tego inwentarza oczekiwań cecha, która widnieje we wszystkich spisach kobiecych preferencji erotycznych, opartych na dowolnych badaniach, wykonanych w dowolnym kraju: 22% kobiet oczekuje, że mężczyźni zdradzą w aplikacjach randkowych swój wzrost. Tego samego od kobiet oczekuje tylko 8% mężczyzn. Mężczyźni nie pragną wiedzieć wszystkiego, zanim spotkają się z kimś „na żywo". Kobiety próbują natomiast prześwietlić drugą stronę do kości, zanim podejmą decyzję o spotkaniu. Nic dziwnego, że osobnikiem, z którym zamierzają się spotkać, nierzadko nudzą się jeszcze przed randką.

Co jednak ważniejsze od możliwości zebrania jak największej ilości informacji o mężczyźnie, aplikacje randkowe dają też kobietom kontrolę nad kontekstem pierwszego spotkania. Mogą one wybrać terytorium oraz okoliczności, mogą również – za pomocą pinezki na wirtualnej mapie – poinformować kogoś z bliskich o miejscu nadchodzącej randki z nieznajomym, żeby się ubezpieczyć na wszelki (nieszczęśliwy) wypadek. Kobiety cenią w Tinderze również możliwość stawiania wyraźnych granic, np. zaakcentowania w korespondencji poprzedzającej spotkanie, że nowo poznany mężczyzna nie może zostać u nich na noc. Wszystko to pozwala wyeliminować większość okołorandkowych strachów, czyniąc ten etap doboru procesem kontrolowanym i bezpiecznym, ale jednocześnie… zupełnie oskalpowanym z zaskoczeń. (…)

Fragmenty książki Tomasza Szlendaka *Miłość nie istnieje*, Znak Literanova, Kraków 2025

eprasa.pl e1f36635af

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Jak ominąć korki na dachu

Lato trzymało do ostatniego dnia kalendarzowego, grzechem byłoby nie skorzystać – pojechałem w Tatry, te najbliższe z mojej strony, orawskie, tym razem wyjątkowo jak pan dyrektor przykazał, czyli po szlaku, no bo grani nie znałem, a farbą akurat pochlapana i dostępna dla ludności. Widoki niezrównane, trochę emocji dla turystów, nawet jakieś łańcuchy na eksponowanych stromiznach, w rzeczy samej odcinek między Przełęczą pod Dzwonem a Smutną nazywany jest Orlą Percią Tatr Zachodnich, dalsza część w rejonie Rohaczy też odważnie wyznakowana. Był słoneczny weekend, więc sporo piechurów na szlaku, mogłem wreszcie sprawdzić swoje tempo na tle innych, bo zwykle chodzę po odludziach – pod górę jest całkiem nieźle, wyprzedzam, samotność w obliczu dzikiej przyrody. A poza tym Polacy już tak mają, że góry kojarzą im się z cierpieniem. Na szczęście polskie Tatry niziutkie, można stać i w końcu się człowiek doczeka na swoją kolej, wypełznie po klamrach przez kolejny upłaz, w dodatku za wejście do Tatrzańskiego Parku Narodowego płaci tylko 11 zł, a park ma z takich weekendów bonanzę.

Gorzej jest na Evereście, ludzie stoją w monstrualnej kolejce pod szczytem w strefie śmierci, po bokach widzą zamarznięte zwłoki swoich poprzedników (ok. 200 zwłok zalega na tej górze, bardzo wiele tuż przy klasycznej drodze, którą się zmierza na wierzchołek, niektóre trupy są już punktami orientacyjnymi oznaczanymi na mapach) – a za tę przyjemność muszą płacić z grubsza jakieś 200 tys. zł, oczywiście bez gwarancji zaliczenia dachu świata ani pewności przeżycia.

Wszystko to dzieje się u szczytu himalajskiego sezonu, kiedy najłatwiej o dobrą pogodę – dlatego nasz mistrz narciarstwa wysokogórskiego Andrzej Bargiel wybrał dla swojego projektu jesień. Ten góral z Beskidu Makowskiego właśnie wlazł na Czomolungmę po to, by zapiąć narty i zjechać z najwyższej góry świata – uczynił to jako pierwszy bez użycia butli z tlenem. To facet, który odczarował polski himalaizm. Z wyczynu martyrologicznego, w którym mamy imponujące tradycje, liczone dziesiątkami śmierci, zaginięć lub kalectw, Bargiel postanowił zrobić przyjemny sport. Jest to działanie skrajnie bezczelne w narodzie, który czci każdy odcięty palec człowieka gór jak relikwię, a media interesują się wyprawami równie często jak szychtami rębaczy przodkowych – kiedy dojdzie do katastrofy i rusza wyprawa ratunkowa. Zamiast jechać w góry cierpieć, on postanowił dobrze się tam bawić.

Lubi chodzić po górach szybko. Kondycję ma nieziemską, potwierdził to, chociażby wbiegając na Elbrus w rekordowym czasie trzech godzin i 23 minut. Jako jeden z najlepszych skialpinistów na świecie umyślił sobie, że po prostu zjedzie na nartach z tych wszystkich straszliwych gór, skoro większość wspinaczy ginie podczas zejścia, a to z powodu zmęczenia, a to z nieostrożności. I co? Na Sziszapangmę wszedł na nartach, a potem z niej zjechał. Takoż uczynił z Manaslu. Z Broad Peaku zjechał jako pierwszy narciarz w historii. Potem z K2. Aż wreszcie poszedł na narty na Everest. Szanuję, podziwiam, lubię. ■

w dół już niestety dużo gorzej, wszyscy mnie wyprzedzają, to kwestia kolan niezdrowych i stopy powypadkowej, już nie zbiegam po piargach, jeno się mozolę.

Tak czy owak, wycieczka udana, pomimo ludności na grani bezzatorowa. No i właśnie: przez cały dzień dostawałem od znajomych dramatyczne zdjęcia z polskiej strony Tatr. Gigantyczne kolejki, zatkane szlaki, trzygodzinne oczekiwanie na Orlej – to już pułapka, bo szlak jednokierunkowy i nawet jak się rozmyślisz, cofnąć się nie możesz, choćbyś dał radę ominąć pod prąd ogon piechurów wysokogórskich, samym hejtem zepchną cię w przepaść. Po polskiej stronie Tatr chodzę już tylko pod ziemią, tam korki rzadkie, chyba że się wybierze do trudnej jaskini zbyt duży zespół, wtedy łatwo w ciasnotach o „tramwaj", jak to nazywają speleolodzy, albo czekanie pod studnią na swoją kolej, by się wpiąć do liny. Takie zatory jaskiniowe są jednak nie tylko nieprzyjemne, ale i niebezpieczne – w temperaturze 3 st. i przy 99-procentowej wilgotności powietrza człowiek natychmiast się wychładza, jeśli nie jest w ciągłym ruchu.

Zastanawiam się nad fenomenem turystycznego przeludnienia po północnej stronie Tatr – wszak Słowacy mają obszar czterokrotnie większy, wyższe szczyty, dłuższe doliny, piękniejsze szlaki – niejednokroć chodziłem zupełnie pustą Białą Wodą, podczas gdy po drugiej stronie rzeki, Doliną Rybiego Potoku, wielotysięczna ciżba pchała się ku Morskiemu Oku.

Współczuję wszystkim, którym góry wysokie kojarzyć się będą ze staniem w kolejce na perci, bójkami o miejsca parkingowe w dolinach, morderczym tłokiem i hałasem, ale widać ludzie mają instynkt stadny, raczej przeraża ich

eprasa.pl e1f36635af

Wyspa króla Juliana

Położony w zachodniej części Oceanu Indyjskiego, u południowo-wschodnich wybrzeży Afryki, Madagaskar jest czwartą co do wielkości wyspą świata. Od Afryki oddziela ją szeroki na ok. 400 km Kanał Mozambicki. Odseparowanie wyspy od stałego kontynentu umożliwiło powstanie i rozwój specyficznego ekosystemu, w którym ponad 90% dzikiej przyrody ma charakter endemiczny i nie występuje w żadnym innym miejscu na Ziemi. Niestety, środowisko to jest obecnie zagrożone z powodu szybko rosnącej liczby ludności, rozwoju rolnictwa i przemysłu oraz zmian klimatu.

Obecnie Republikę Madagaskaru zamieszkuje ponad 31 mln mieszkańców. Większość stanowią rdzenni Malgasze (mający za przodków Austronezyjczyków i afrykańskie ludy Bantu), którzy dzielą się na 18 grup etnicznych.

Wyspa odcisnęła swój ślad również w historii Polski – jako niedoszła kolonia. W 1937 r. rząd Francji zwrócił się do polskich władz, bezskutecznie poszukujących zamorskich terenów pod osadnictwo kolonialne, oferując sprzedaż lub 90-letnią dzierżawę Madagaskaru. W Polsce francuska propozycja wzbudziła wielkie zainteresowanie. Na wyspę wysłano nawet kilka wypraw badawczych, w jednej z nich wziął udział Arkady Fiedler. Jednak po wyborach we Francji nowy rząd zaczął wycofywać się z wcześniejszych ustaleń, a definitywny kres kolonialnym mrzonkom położył wybuch II wojny światowej.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e1f36633af

1. Ciekawskie malgaskie dzieci są wszędzie.
2. Powstala w XVII w. Antananarywa jest największym miastem Madagaskaru i jego stolicą.
3. Tradycyjny sposób transportu drewna na opał.
4. Dzięki pyszałkowatemu królowi Julianowi z serii filmów „Madagaskar" lemury na stałe zagościły w popkulturze. Nz. malownicza grupa lemurów katta.
5. Słynna aleja baobabów w Parku Narodowym Kirindy nad Kanałem Mozambickim. Osiągają do 30 m wysokości.
6. Wioska grupy etnicznej Bara.
7. Zwinna jak kot fossa madagaskarska jest największym drapieżnym ssakiem występującym na wyspie. Jej populacja dramatycznie się zmniejsza.

asa.pl e1f36635af

JOLKA

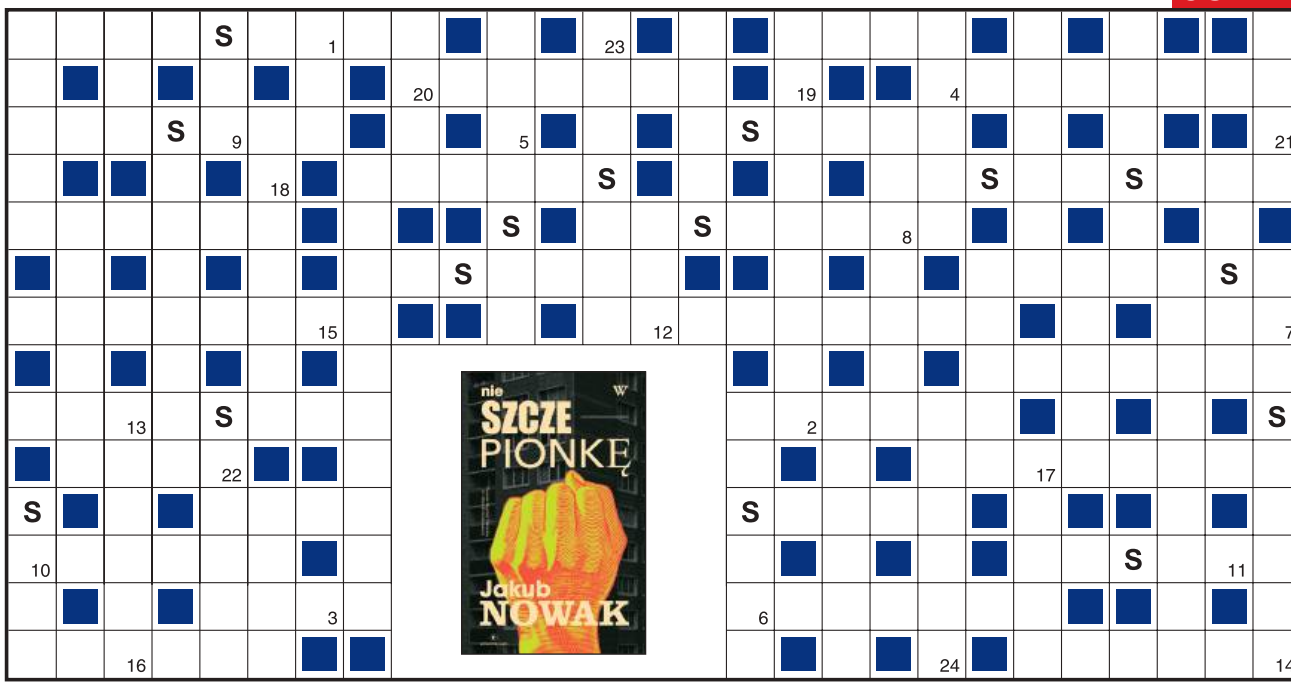

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- nauka o rolnictwie
- glon, wodorost (z łaciny)
- używany do tamowania drobnych krwawień
- kolor różowoczerwony z odcieniem fioletu
- koń ras mieszanych z hodowli w Walewicach
- ćwierćbeczka z winem lub piwem
- na smartfonie instalowana (potocznie tak zwana)
- sposób ujęcia sprawy, punkt widzenia
- jedno z insygniów władzy królewskiej
- stopień Nowickiego z książek o Tomku
- …Brown, autor „Tajemnicy tajemnic”
- wysokoprężny silnik na olej napędowy
- australijskie ssaki z pyskiem jak kaczka
- doradczyni, powiernica męża stanu (z mitologii)
- przedmiot wygrywany na loterii
- ptak z czerwonymi policzkami i brzuszkiem
- lwia lub końska
- tam siedziba Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości
- przesada jako środek stylistyczny
- ułuda, sztuka, co wzrok oszuka
- chroni filar mostu przed krą
- Agnieszka Chylińska w „Mam talent!”
- niosło się zza boru, niepokojąc Laurę
- Nintendo lub Xbox
- kruszyć je – zaciekle się spierać, choć nie warto
- zdobią indora
- poetka Urszula, autorka „Raptularza”
- ziomek, rodak
- o wybitnie zagranej roli
- siedziska kolejki linowej
- iloczyn liczby przez nią samą
- pora roku właśnie pożegnana
- triumfalny lub tęczy
- ozdoba przyczepiana do lodówki
- lalka na nitkach
- na dnie puszki Pandory
- stan wywołany bezczynnością, brakiem wrażeń
- przejaw, oznaka
- gadżet odbijający światła samochodów
- po tym okrzyku rusza pociąg
- usunięcie ze stanowiska jak trzebież zwierzyny
- miejski sport ze skokami przez przeszkody
- organizacja polityczna, ugrupowanie
- plebejusz, grubianin
- w niej komunikanty
- pilnik o grubych nacięciach i wyzwisko
- …wodna – rzeżucha wodna
- o nim i złotej rybce baśń
- starożytna grecka poetka
- w nim mumia faraona
- kilka gemów w tenisie
- wzwyż albo o tyczce
- upiorzyca nawiedzająca mężczyzn we śnie
- wpada w niego medium
- część pożyczki, partia towaru
- lennictwo, podległość
- zarost Chaplina
- mniejsze, konieczne lub wcielone
- krótka zapowiedź filmu, programu
- szczególny równoleżnik

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1241”. Do rozlosowania książki „Nie w szczepionkę” ufundowane przez Wydawnictwo Powergraph. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 października 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1238” z nr. 37: *Potrzeba zaostrza umysł.*
Nagrody otrzymują: Aleksandra Giza z Zastowa, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Tomasz Porowski z Warszawy.

eprasa.pl e1f36635af

Jak oni się dogadują!

Jest nowa opowieść o tym, dlaczego z MSZ musiała odejść Anna Radwan-Röhrenschef i dlaczego zastąpił ją Ignacy Niemczycki.

Zwróćmy uwagę – ta zmiana nastąpiła w wyniku decyzji partii, która Annę Radwan-Röhrenschef rekomendowała do MSZ, czyli Polski 2050. Nie minister zatem ani nie premier miał do niej zastrzeżenia. Ba, minister hucznie ją żegnał – na stronie MSZ został opublikowany w tej sprawie specjalny post. „Ministerstwo Spraw Zagranicznych będzie panią bardzo dobrze wspominało", cytowano słowa Radosława Sikorskiego. Brzmią one szczególnie mocno, gdy zderzymy je z milczeniem, jakim zbywał odejście innych wiceministrów.

Jeżeli więc partia zadecydowała, że Anna Radwan-Röhrenschef ma z MSZ odejść, a zastąpić ją powinien Ignacy Niemczycki, to jakie były powody? Otóż przyczynił się do tego… Władysław Teofil Bartoszewski.

Cofnijmy się do początków roku 2024. Wtedy to, po tygodniach oczekiwania, ostatecznie wiceministrami w MSZ zostali przedstawiciele koalicyjnych partii: Władysław Teofil Bartoszewski (PSL), Anna Radwan-Röhrenschef (Polska 2050) oraz Andrzej Szejna (Lewica). I – jak mówią w MSZ – nastąpił czas ich ustawiania się w ministerstwie. Ustawili się zaś tak, że Bartoszewski wybił się na niepodległość i zbudował własną strefę wpływów, a pozostała dwójka popadła w przeświadczenie, że nic nie może (poza tym, co każe im robić minister). Na przykład Szejna nie miał wpływu nawet na to, kto będzie jego sekretarką. A o kadrach w ambasadach w państwach, które leżały w obszarze jego kompetencji, nawet nie ma co wspominać.

Tymczasem Bartoszewski regularnie zaczął się spotykać z szefem kadr. I tak różne ważne dla niego sprawy (ha, ha…) zaczęły być załatwiane.

Ludzie w MSZ szybko tę różnicę dostrzegli. I przekonali się, że ani Polska 2050, ani Lewica w niczym im nie pomoże. Co poniektórzy ruszyli do szefów tych partii z pretensjami.

Później historia potoczyła się różnymi drogami. I chyba najważniejsze było to, że Ignacy Niemczycki stracił posadę wiceministra w resorcie rozwoju i technologii, zaczął więc intensywnie szukać nowego miejsca na ziemi i wzrok jego padł na MSZ. Co będzie dalej – zobaczymy.

Ta opowieść pokazuje, że Radosław Sikorski nie jest osobą impregnowaną na argumenty. Owszem, niechętnie dzieli się władzą, ale podzielić się potrafi. Potwierdza to zresztą jego niedawna propozycja skierowana do prezydenta Karola Nawrockiego, żeby wspólnie uzgodnić „pakiet" ambasadorów. Na początek chodziłoby o 18 placówek. Co to znaczy? Ano o to, co zawsze – lista 18 placówek leży na stole i jest prosty układ: ja obsadzam 14, a ty – cztery. Albo ja 15, a ty trzy… W historii III RP tak przecież było, kariera Urszuli Doroszewskiej z Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, która była najpierw ambasadorem w Gruzji, a potem na Litwie, jest tego przykładem.

Są też inne możliwości – w III RP bywało i tak, że numer 2 w ambasadzie był człowiekiem prezydenta. Wiadomo było, że jego pozycja jest autonomiczna, że ambasador nie może dociążać go nadmiarem zadań, a pracuje on głównie dla Kancelarii Prezydenta. Wszystko jest więc do załatwienia, Polska za to płaci.

Jeśli zatem, drodzy państwo, słyszycie, że jest gdzieś na szczytach władzy kłótnia i że nie mogą się dogadać, oznacza to tyle, że dogadać się nie chcą.

Attaché

Zmarła ikona filmu Claudia Cardinale. Miała 87 lat. Wystąpiła w ponad 175 produkcjach, takich jak „Lampart", „Osiem i pół", „Rocco i jego bracia" czy „Różowa Pantera". Nz. jako Marie Sarrazin w „Królowych Dzikiego Zachodu".

FOT. FRANCOS FILMS/ ALBUM EAST NEWS

eprasa.pl e1f36635af

PENETRACJE

impact MAGAZINE

OLGA TOKARCZUK,
PISARKA

Lubię taką definicję literatury, że jest to najbardziej wyrafinowany sposób komunikacji międzyludzkiej. To ona wchodzi na ukryte poziomy psychiki, gdzie możliwe jest nawiązanie bezpośredniej relacji z psychiką drugiego człowieka. Wydaje się, że na tym polega przeżywanie opowieści w literaturze. Jeśli myślę o literaturze, to myślę bardziej o obrazach i opowieści niż o strukturze i formie języka. Za dobrą literaturę, dobre kino, dobry spektakl uznaję to, co mnie zmienia na lepsze. Dobra książka to taka, z której wychodzę większa, bardziej refleksyjna, skupiona i po prostu jestem lepszym człowiekiem.

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Palestynie nie potrzeba groteskowego spektaklu zrzutów worków mąki z samolotów, ale powstrzymania ludobójstwa, stanowiącego tylko kulminacyjny moment kolonialnego projektu osadniczego realizowanego przez Izrael od dekad. Żadna ilość mąki nie zasypie ran, które on zadaje. Przede wszystkim jednak nie zatrzyma ludobójczej machiny. Tę zaś może rozbroić tylko działanie polityczne, czyli jednoznaczne wsparcie politycznych aspiracji Palestyńczyków z prawem do samostanowienia, bezpieczeństwa i obrony, także za pośrednictwem walki zbrojnej. W gruncie rzeczy byłoby to absolutne minimum.

VIVA!

KRZYSZTOF MIRUĆ,
ARCHITEKT

Współpracuję z fundacją pani prezydentowej Jolanty Kwaśniewskiej. Na przykład zaprojektowałem mieszkanie przejściowe dla dzieci z domów dziecka. Młody człowiek opuszczający dom dziecka może w nim mieszkać przez dwa lata. Przewinęło się przez nie już siedmioro dzieciaków. I to jest prawdziwe, świetnie wyposażone, przytulne mieszkanie. Luksusowe nawet, a nie jak w akademiku. Okazało się, że wszyscy mieszkańcy dbali o nie jak o największy skarb. Pokazaliśmy im, jak można żyć, i jestem pewien, że ciężką pracą mogą dojść do takiego poziomu, żeby sobie kupić takie mieszkanie.

zwierciadło

TOMASZ KONIECZNY,
ŚPIEWAK OPEROWY, BAS-BARYTON

Jestem pytany, czy my z kolegami śpiewakami – z którymi potrafimy przez miesiąc, półtora spędzać większość dnia na intensywnych próbach albo w trasie – spotykamy się też po pracy. Czy razem świętujemy, czy mamy energię na bycie razem. I ja zawsze odpowiadam, że to jest szalenie trudne, bo my, występując obok siebie na scenie i słuchając siebie nawzajem, wiemy o sobie tak dużo, że potem ciężko pójść gdzieś razem do knajpy i uprawiać small talk. Po doświadczeniu wzajemnego słuchania siebie na scenie wiemy o sobie dużo więcej, niż może byśmy chcieli. To trochę tak, jakbyśmy najpierw w swojej obecności płakali, byli ogromnie wzruszeni czy wzburzeni, a potem ot tak, jak gdyby nigdy nic, szli na piwo.

FOT. AMEM, POLSKA ORKA POLITYCZNA, SARKA FARKA (2)

eprasa.pl e1f36635af

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter

1. JAK + ELA =
2. SOK + ZAD =

Wyrazy z **siedmiu** liter

3. KINO + GAZ =
4. LINA + IWA =

Wyrazy z **ośmiu** liter

5. DESA + PAKA =
6. DERA + TROK =

ROZWIĄZANIA: ALEJKA, SZKODA, ZAGONIK, WANILIA, ESKAPADA, REDAKTOR

Aby język giętki…

MAREK BOROWSKI O KONIKU KACZYŃSKIEGO
Kontrola nad sądami. Zawsze bał się niezależnych sądów, bo wiedział, że jako polityk przekracza granice prawa.

BOGUSŁAW CHRABOTA O MEDIACH
Mącenie ludziom w głowach zastąpiło profesjonalny przekaz.

PROF. STANISŁAW OBIREK O ANDRZEJU DUDZIE
Nie tylko całował papieża w pierścień, ale klękał przed nim, gdyż jest reprezentantem tej małopolskiej pobożności.

HENRYK MARTENKA O ROBERCIE BIEDRONIU
Deficyt inteligencji nie pomaga mu pojąć, co robi źle.

MARTA NIERADKIEWICZ O ZALETACH SAMOTNOŚCI
Zyskałam odwagę, a nawet jakiś rodzaj brawury. Chęć próbowania nowych rzeczy, bez skrępowania.

DARIUSZ DZIEKANOWSKI O JANIE URBANIE
Nie kreuje się na gwiazdę, nie skupia na sobie uwagi, ale pomaga piłkarzom pokazać ich atuty.

TOMASZ KOT O NIEZDANEJ MATURZE
Uwalili mnie na ostatnim ustnym i marzenia o szkole teatralnej trzeba było odłożyć na półkę.

KATARZYNA ŻAK O MĘŻU CEZARYM
Lubię Cezarego jako faceta, jego poczucie humoru, dystans, mój mąż wciąż mnie bawi.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl e1f36635af

Ufna

Obrażona

Władysław Szyszko (ur. w 1944 r. w Krakowie), malarz i konserwator, absolwent UJ i krakowskiej ASP, jest też autorem licznych publikacji o sztuce starożytnej. Uczestniczył w ponad 100 wystawach w Polsce i Europie. Jego twórczość, niezależna od mód, łączy realizm z metaforą, groteskę z filozoficzną refleksją. Szyszko czerpie inspiracje z antyku, renesansu i surrealizmu, tworząc pełne erudycji obrazy, w których precyzja rysunku spotyka się z ironią i subtelnym erotyzmem. Wernisaż 1 października o godz. 18, artysta będzie też obecny w trakcie wystawy.

Galeria Floriańska 22 w Krakowie
do 31 października

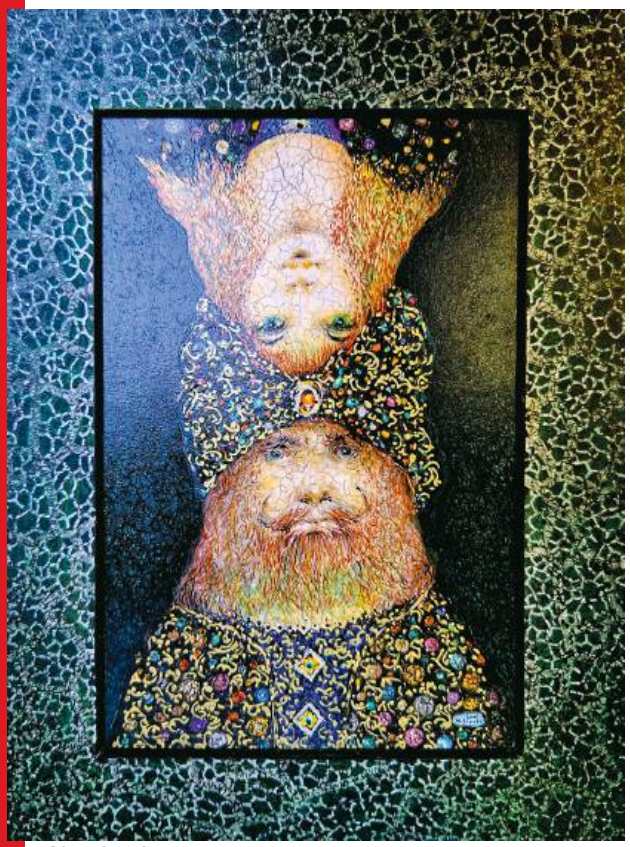

Na głowie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

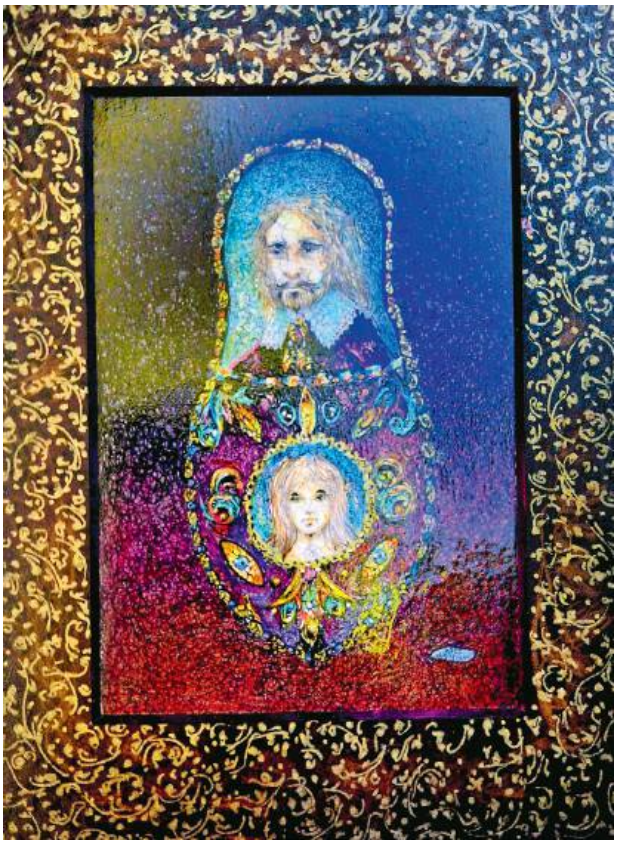

Pantoflarczyk

eprasa.pl e1f36635af

HALESTORM

WITH SPECIAL GUEST BLOODYWOOD

the EVEREST tour

30 PAŹDZIERNIKA • COS TORWAR, WARSZAWA

BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL

NOWY ALBUM EVEREST DOSTĘPNY OD 8.08

LIVE NATION

TEATR CAPITOL

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

POLSKA PRAPREMIERA
wrzesień 2025

PÓŁ ŻARTEM...

tłumaczenie tekstu
i reżyseria
OLAF LUBASZENKO

autor PETER QUILTER

Piotr BONDYRA Jakub DMOCHOWSKI Pola GONCIARZ Robert JANOWSKI Justyna JELEŃ
Jakub KWAŚNIEWICZ Olaf LUBASZENKO Anna-Maria SIEKLUCKA
Jacper SOŁTYSIEWICZ Michalina SOSNA Beata ŚLIWIŃSKA Krzysztof WIESZCZEK

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl e1f36635af